

Moralna strona ludzkiego bytu

Katarzyna Szewczyk-Haake

Moralna strona ludzkiego bytu

O twórczości Józefa Wittlina

BIBLIOTEKA KRYTYKI LITERACKIEJ KWARTALNIKA
„NOWY NAPIS”

REDAKCJA NAUKOWA
Marian Kisiel, Wojciech Kudyba, Józef Maria Ruszar

RECENZJA NAUKOWA
Wojciech Kudyba

AUTOR
Katarzyna Szewczyk-Haake

REDAKCJA NAUKOWA KSIĄŻKI
Wojciech Kudyba

REDAKCJA JĘZYKOWO-STYLISTYCZNA
Adrian Kyć

KOREKTA
Aleksandra Brambor-Rutkowska

PROJEKT KSIĄŻKI I OKŁADKI
Marcin Bruchnalski

NA OKŁADCE
zbiory prywatne, dzięki uprzejmości p. Elżbiety Wittlin-Lipton

SKŁAD I ŁAMANIE
Alicja Stępniaik

INSTYTUT
LITERATURY 



Wydawnictwo Naukowe
UKSW

© by Instytut Literatury, Poland, 2019

wydanie I

WYDAWNICTWO NAUKOWE
UNIwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

ul. Dewajtis 5, 01-815 Warszawa

INSTYTUT LITERATURY
REDAKTOR NACZELNY: Józef Maria Ruszar
KIEROWNIK WYDAWNICTWA: Justyna Pyzia

Kraków–Warszawa 2019
ISBN 978-83-8090-608-2, 978-83-66359-05-5

Wykaz stosowanych skrótów dzieł literackich Józefa Wittlina

- SZ – *Sól ziemi*, opracowanie E. Wiegandt, Wrocław 1991.
- OWP – *Orfeusz w piekle XX wieku*, posłowie J. Zieliński, Kraków 2000.
- PPIIE – *Pisma pośmiertne i inne eseje*, wybór, opracowanie i przedmowa J. Zieliński, Warszawa 1991.
- HY – *Hymny*, Poznań 1920.
- PJW – *Poezje*, wstęp J. Rogoziński, Warszawa 1981.
- ER – *Eseje rozproszone*, opracowanie P. Kądziała, Warszawa 1995.
- ST – *Słowo tłumacza do czytelnika* [w:] Homer, *Odyseja*, Lwów 1924, s. 1–27.
- PPJW – *Przyjaźnie poetyckie Józefa Wittlina*, opracowanie Z. Kubiak, Warszawa 1995.

Rozdział I

Orfeusz w piekle XX wieku

Biografia Józefa Wittlina

Józef Wittlin urodził się 17 sierpnia 1896 roku w Dmytrowie na Podolu w rodzinie pochodzenia żydowskiego. W latach 1906–1914 był uczniem nowoklasycznego VII Męskiego Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki we Lwowie. Z dzieciństwa wyniósł biegłą znajomość języka niemieckiego (macocha pisarza była Niemką) i już w czasach gimnazjalnych tłumaczył poezję niemiecką; wtedy też zadebiutował jako poeta w czasopiśmie „Wici” utworem *Prolog* ku czci Zygmunta Krasińskiego. W tym samym okresie zaprzyjaźnił się z Janem Sturem, poetą i teoretykiem związanym później z ekspresjonistyczną grupą Zdrój.

Po wybuchu pierwszej wojny światowej Wittlin wstąpił na ochotnika do Wschodniego Legionu; formacja została jednak rozwiązana na skutek odmowy złożenia przysięgi rządowi austriackiemu. Kolejne lata spędził w Wiedniu, gdzie zdał maturę i podjął studia na uniwersytecie: poeta przez dwa lata uczęszczał na wykłady z filozofii (u Josefa Klemensa Kreibiga), historii sztuki (u Josefa Strzygowskiego) i psychologii (u Aloisa Höflera). Okres wiedeński to także czas uczestnictwa w bogatym życiu kulturalnym stolicy cesarstwa, który między innymi przyniósł Wittlinowi znajomość z Karlem Krausem (eseistą, satyrykiem i redaktorem). Wtedy pisarz zaprzyjaźnił się z Josephem Rothem, którego powieści przekładał w kolejnych dziesięcioleciach; wówczas też odkrył dla siebie poezję Rainera Marii Rilkego. W 1916 roku wraz z nim Wittlin zgłosił się na ochotnika do armii austriackiej. Choć udział w walkach uniemożliwiła mu choroba, nie oznaczało to braku innej aktywności: w wojskowym szpitalu rozpoczął pracę nad przekładem *Odysei* (pierwsze wydanie w 1924 roku). Służbę wojskową odbywał poza frontem, między innymi był tłumaczem jeńców włoskich.

W 1918 roku Wittlin wrócił do Lwowa, gdzie kontynuował studia na uniwersytecie. Był świadkiem wybuchu wojny polsko-ukraińskiej i walk o miasto; przeżyciom tym oraz związanym z nimi emocjom i rozważaniom poeta dał wyraz w debiutanckim tomie *Hymny*,

wydanym w Poznaniu nakładem Zdroju (organu wydawniczego poznańskich ekspresjonistów) w 1920 roku, dwukrotnie wznawianym w Warszawie w 1927 i 1929. Doświadczenia wojenne i przemyślenia z tym związane przełożyły się także na tematykę powstałych w kolejnych latach esejów (tom *Wojna, pokój i dusza poety*, 1925) oraz powieści *Sól ziemi* (wydanej w 1935 roku z datą 1936) – pierwszej części planowanej trylogii *Powieść o cierpliwym piechurze*.

W latach 1919–1921 Wittlin pracował jako nauczyciel języka polskiego w gimnazjum we Lwowie. Później (1922–1923) mieszkał w Łodzi, gdzie był kierownikiem literackim tamtejszego Teatru Miejskiego. W 1924 roku ożenił się z Haliną Handelsman, w 1932 roku przyszła na świat ich córka Elżbieta. Od 1927 roku młodzi małżonkowie mieszkali w Warszawie. W latach 20. i 30. pisarz odbył wiele podróży zagranicznych do Włoch (1925–1926, szczególnie istotny okazał się pobyt w Asyżu), Francji (1929–1932), Jugosławii (1932), w czasie których powstały liczne eseje i projekt książki o św. Franciszku z Asyżu.

W dwudziestoleciu Wittlin drukował wiersze i szkice między innymi w „Wiadomościach Literackich”, „Skamandrze” i prasie codziennej. Ogłaszał też przekłady: prócz *Odysei* przetłumaczył (z niemieckiej transkrypcji) starobabiloński epos *Gilgamesz* oraz szereg powieści Josepha Rotha (na przykład *Ucieczka bez kresu*, *Zipper i jego ojciec*, *Hiob. Powieść o człowieku prostym*).

W 1939 roku autor *Soli ziemi* wyjechał z Polski na skutek agresywnych wypowiedzi prasowych środowiska ONR wymierzonych przeciwko pisarzom pochodzenia żydowskiego. Wybuch drugiej wojny światowej zastał go we Francji, dokąd udało mu się sprowadzić żonę i córkę. Przez kilkanaście miesięcy Wittlinowie zmieniali miejsca pobytu we Francji, następnie przez Hiszpanię przedostali się do Portugalii, skąd w styczniu 1941 roku wyruszyli statkiem do Stanów Zjednoczonych. Podczas pełnej dramatycznych zdarzeń (między innymi nagłej choroby Elżbiety Wittlin i ratującej jej życie operacji w lizbońskim szpitalu) wojennej tułaczki zaginęła część szkiców i fragmentów powstałych wcześniej, a niepublikowanych dzieł pisarza, w tym szkice kolejnej części *Powieści o cierpliwym piechurze*.

Dotarłszy do Ameryki w 1941 roku, Wittlinowie zamieszkali w Nowym Jorku, gdzie pisarz pracował najpierw w redakcji „Tygodnika

Polskiego” (wraz z Janem Lechoniem, Kazimierzem Wierzyńskim, Zenonem Kosidowskim), a od roku 1950 w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, gdzie nagrywał audycje o tematyce literackiej i kulturalnej. W roku 1953 Wittlin przyjął sakrament chrztu świętego w obrzędzie rzymskokatolickim, wybierając imię Franciszek. Jego katechetą był ks. Johannes Oesterreicher, konwertyta żydowskiego pochodzenia, kapłan działający na rzecz pojednania żydowsko-katolickiego.

Pisarz aktywnie brał udział w emigracyjnym życiu literackim: współorganizował PEN Club Centre for Writers in Exile, uczestniczył w pracach The European PEN in America. W roku 1943 za *Sól ziemi* (przełożoną na angielski po raz pierwszy w 1941 roku) otrzymał nagrody American Academy of Arts and Letters oraz National Institute of Arts and Letters. Wyróżniało go także środowisko emigracyjne: w 1957 roku został nagrodzony za całokształt twórczości przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, a w 1965 roku przez Fundację Alfreda Jurzykowskiego.

Po raz pierwszy po wojnie Wittlin pojechał do Europy w 1958 roku na kongres PEN Clubów w Monachium. W kolejnych dziesięcioleciach podróżował regularnie na Stary Kontynent, odwiedzając Francję, Hiszpanię, Włochy i RFN.

Do 1948 roku Wittlin godził się na druk swoich utworów (dawnych i nowych) w prasie krajowej. Decyzja o pozostaniu na obczyźnie sprawiła, że związał się z emigracyjnymi instytucjami i obiegiem literackim. Spośród czasopism emigracyjnych nie wszystkie jednak wydawały mu się odpowiednie do podjęcia współpracy: pisarz unikał udziału w przedsięwzięciach politycznych i stronił od takich deklaracji czy manifestacji, czyniąc wyjątek dla twórczych środowisk opozycyjnych walczących o wolność słowa w Europie Środkowej, których działalność wspierał. Najczęściej ogłaszał swoje utwory w „Wiadomościach” i „Kulturze” (rzadziej w „Tematach”, „Oficynie Poetów”, „Na Antenie”, „Dzienniku Polskim”). Współpraca z „Kulturą” i jej redaktorem Jerzym Giedroyciem doprowadziła do opublikowania fragmentu drugiej części *Soli ziemi* (rozdział zatytułowany *Zdrowa śmierć*, „Kultura” 1972, nr 7/8) i edycji tomu *Orfeusz w piekle XX wieku* (Biblioteka „Kultury”, Paryż 1963) – eseistycznego *opus magnum* artysty. W latach powojennych pisarz ogłosił także

gawędę wspomnieniową *Mój Lwów* (Nowy Jork 1946) i zmieniony przekład *Odysei* (Londyn 1957). W tym czasie Wittlin wiele uwagi poświęcał przekładom poezji: przetłumaczył między innymi utwory W.H. Audena, Salvatore Quasimoda, E.E. Cummingsa, Robinsona Jeffersa, Langstona Hughesa, Hermanna Kestena, Carlosa Bousoña, Miguela Hernandezza, José Hierry. Pisarz zmarł 28 lutego 1976 roku w Nowym Jorku.

W powojennej Polsce Wittlin podlegał zapisowi cenzury, jego dzieła nie były więc ani wydawane, ani omawiane i stopniowo ulegały zapomnieniu. Dopiero w 1978 roku ukazały się w Polsce *Poezje*, rok później – wznowienie *Soli ziemi*. Po roku 1989 sytuacja się zmieniła: opublikowano *Pisma pośmiertne i inne eseje* (1991), *Sól ziemi* w Bibliotece Narodowej (1991), wybór przekładów poetyckich *Przyjaźnie poetyckie Józefa Wittlina* (1995) i eseistyki *Eseje rozproszone* (1995), *Wybór poezji* (1998) oraz wreszcie pierwsze krajowe wydanie *Orfeusza w piekle XX wieku* (2000). Sukcesywnie publikowana jest też imponująca rozmiarami korespondencja pisarza (między innymi z Jerzym Giedroyciem, Witoldem Gombrowiczem, Tymonem Terleckim, Jarosławem i Anną Iwaszkiewiczami, Mieczysławem Grydzewskim, Romanem Brandstaetterem). Szybko rośnie również liczba opracowań historycznoliterackich poświęconych dziełu Wittlina. Recepcja jego pisarstwa staje się obecnie intensywniejsza także poza Polską. W ostatnich latach ukazały się w kilku krajach nowe przekłady dzieł twórcy: hiszpańskie tłumaczenie wybranych esejów i prozy (2015), a także włoski (2014) i angielski (2018) przekład *Soli ziemi*.

Rozdział II

„Świat zawsze wygląda tak” albo „groza naszego istnienia” O twórczości Józefa Wittlina

Wittlin był pisarzem uprawiającym z powodzeniem różne gatunki i rodzaje literackie. Jego powieść *Sól ziemi*, wydana po raz pierwszy w 1935 roku, to wprawdzie jedyne ukończone przez pisarza dzieło epickie (stanowi ono pierwszą część planowanej, lecz nigdy niesfinalizowanej trylogii *Powieść o cierpliwym piechurze*) – ale za to dzieło znakomite. Warto o Wittlinie mówić jako o autorze pierwszorzędnej eseistyki oraz poezji, pisanych z różną intensywnością przez całe życie; był również twórcą niezachowanych dzieł dramatycznych¹. Dorobek ten nie przytłacza objętością: składają się nań jedna powieść, kilkadziesiąt (około sześćdziesięciu) wierszy ogłoszonych drukiem oraz bardzo obszerny zbiór esejów; do tego należałoby dodać jeszcze liczne przekłady z kilku języków, obejmujące epikę i lirykę.

Równocześnie ta twórczość, stosunkowo skromna rozmiarem, zdobyła jednoznaczne uznanie odbiorców – i to nie tylko krytyków i historyków literatury. W dwudziestoleciu międzywojennym, a zatem w okresie, kiedy dzieła Wittlina ukazywały się w pierwodrukach i były swobodnie dostępne w krajowym obiegu czytelniczym, *Sól ziemi* zdobyła nagrodę „Wiadomości Literackich” (co więcej, książka została w 1939 roku przedstawiona do Nagrody Nobla, której jednak w tym roku z powodu wybuchu wojny nie przyznano). Debiutanckie *Hymny* – o czym była wcześniej mowa – miały w dwudziestoleciu międzywojennym trzy wydania, co dowodnie świadczy o popularności, jaką się cieszyły. Podobny los – trzy wydania, każde nieco zmienione – spotkał Wittlinowski przekład *Odysei* (wyd. 1924, 1957, 1982). *Sól ziemi* wznawiana była w latach 1936–1939 aż trzykrotnie i została przetłumaczona na trzynaście języków. Można wywnioskować, że

¹ Jedynym ogłoszonym drukiem fragmentem dramatycznym Wittlina jest scena z dramatu *Barabasz* („Sygnały” 1939, nr 66); o innych (niepublikowanych i najprawdopodobniej zaginionych) napomyka Wittlin w eseju *Wspomnienie o Józefie Rocie* (OWP 572).

dzieła Wittlina najwyraźniej były czytającym potrzebne, fakt zaś, że po wojnie pisarz zniknął ze świadomości kulturalnej w kraju, wynikał przypuszczalnie z braku dostępu do nich, a nie był wynikiem naturalnego odejścia mało znanych utworów do „literackiego czyścca”. Przeciwnie: wskazywać można, że dzieła Wittlina należą do tych utworów literatury światowej, które nie uległy dezaktualizacji wśród gwałtownych przemian dwudziestowiecznej rzeczywistości i pozostają aktualne do dzisiaj.

Co takiego sprawia, że powieść Wittlina, a także jego wiersze i eseistyka były i są czytelnikom potrzebne? Z pewnością decydują o tym na równi wielka językowa uroda tych utworów, ich formalna i kompozycyjna pierwszorzędność, jak i Wittlinowska umiejętność ukazywania jednocześnie zagadnień uniwersalnych i przypadków jednostkowych, łączenie perspektywy bacznej i współczującego obserwatora ludzkiej rzeczywistości z optyką ponadczasową. To ona powoduje, że Wittlin potrafi jednocześnie zapytywać o „człowieka w ogóle” (ludzką naturę i kondycję), a także o losy i odpowiedzialność jednostek w ramach nowoczesnej rzeczywistości. Zadaje więc pytania, które każdy człowiek – o ile chce własny los traktować poważnie – zmuszony jest zadawać samemu sobie i poszukiwać na nie odpowiedzi.

I. Wobec zła

Świat ludzki opisywany przez Wittlina jest światem naznaczonym przez zło w wymiarze moralnym i fizycznym. To rzeczywistość XX wieku srodze doświadczona przez historię: nękana wojnami i rewolucjami,znaczona obozami zagłady, osnuta cieniem Holocaustu i przymusową emigracją milionów ludzi. To świat podlegający kulturowym i cywilizacyjnym przemianom, takim jak zanik horyzontu metafizycznego, technicyzacja, biurokratyzacja, zatrata wagi słów w pośpiesznej i niedbającej o prawdę komunikacji masowej. Wszystkie te zagadnienia interesowały pisarza i do wszystkich tych przejawów zła odnosił się w swoich dziełach, deklarując w jednym z najważniejszych swoich esejów zatytułowanym *Ze wspomnień byłego pacyfisty*: „[...] zajmuje mnie przede wszystkim moralna strona ludzkiego bytu” (OWP 83).

1.1. Pacyfizm

Na ten właśnie, moralny aspekt twórczości Wittlina zwracano uwagę po wielokroć. Już debiutanckie *Hymny*, pisane – jak dowiadujemy się z autorskiej adnotacji pod tekstem – „we Lwowie r. 1919–1920” (H 97), niosą w sobie wyraźny ładunek moralnej niezgody na wojnę, wyniszczającą ludzkie ciała i skazującą na śmierć (stąd często wiązano je z ideologią pacyfistyczną):

Ja ci chcę dać łyżkę ciepłej zupy,
 Zamarznięty w obcej ziemi bracie,
 Co się wlokłeś przez trzy długie zimy,
 Coś wędrował przez trzy skwarne lata
 Obszarami nieobeszłych pól –
 I szedł, i szedł,
 I bez końca ciągleś szedł, i szedł,
 I na mokrej grudzie głowę kładł,
 I w wagonach na bydlęta gnił,
 I spleśniałe chleby w rowach jadł,
 I tabakę z krowich gnojów żuł,
 I z cuchnących bagien wodę pił,
 I szedł, i szedł –
 A wciąż ciebie żarły rude wszy
 I kasały ołowiane kule,
 Aż wypła cię łaknąca śmierć.
 (*Hymn o łyżce zupy*, PJW)

Hymny sięgają jednak poza horyzont elementarnej, odruchowej niezgody na brutalność wojennego konfliktu i cierpienie przezeń wywołane: śmierć w okopach, strach i upokorzenie walczących. W wierszach z tego tomu wyraźnie wybrzmiewa także niezgoda na retorykę usprawiedliwiającą wojenne działania oraz upomnienie się o ratunek dla zrujnowanego wojną ludzkiego sumienia – w utworze *Pochwała miecza* wyartykułowane między innymi za pośrednictwem ironii:

Oto jest oręż z damasceńskiej stali,
 wykuty ręką słynnego płatnerza;
 pod jego ciosem jak pięknie padali
 mężowie w boju wielce doskonali,
 ach, jak przepięknie padali!

[...]

A jak mistrzowsko umiał ścinać karki!
A jak wspaniale dźgał tam, w samo serce,
ten miecz święcony, miecz najpierwszej marki,
ach, jakże bosko dźgał w serce!

[...]

Oto jest miecz ów, który gromił, karał,
oto jest oręż, co mścił i nawracał,
rozgrzeszał grzesznych, z szatanem się parał,
ziemie zdobywał, nosił wybawienie,

[...]

A oto serce Jezusowej Matki
siedmiu mieczami siedmiokroć przeklute,
a oto męka i śmierć Jezu Chrysta
oplute.

(*Pochwała miecza*, PJW)

Charakterystyczną cechą Wittlinowskiego pisarstwa będzie odąd właśnie głęboka analiza zła panoszącego się w ludzkim świecie, interesować go będą jednak nie tylko owego zła przejawy i gwałtowny protest przeciwko nim, lecz także dociekanie przyczyn – i ocena możliwych środków zaradczych.

Pochwała miecza to utwór wart odnotowania także z innego powodu. Zastosował w nim Wittlin chwyt, z którego dobrodziejstw korzystać będzie często: umieszczając w obrębie tomu powstałego (co sam poeta podkreślał) w związku z brutalnymi walkami polsko-ukraińskimi we Lwowie wiersz, którego świat przedstawiony sytuuje się w półbaśniowych, półmitycznych realiach jakiejś dawnej, przednowoczesnej z pewnością wojny, umiejętnie wskazał na ponadczasowe elementy natury ludzkiej, którymi są pycha, przekonanie o własnym wybraństwie, okrucieństwo i tendencja do samousprawiedliwiania się – nieodmiennie prowadzące do krwawych konfliktów. Pisarz przedstawia zatem kwestie aktualne „na terenie absolutnym, nie licząc się z miejscem ani czasem” (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 74) i strategii tej pozostanie wierny, osiągając interesujące rezultaty literackie.

W eseistyce z lat 20. – zwłaszcza w ważnych tekstach *Wojna, pokój i dusza poety* (1923–1924), *Barbarzyństwo* (1924) i *Ze wspomnień byłego pacyfisty* (1929) – śledzić można bieg myśli pisarza, który analizuje

ohydę wojennego konfliktu z większego już dystansu, niż czynił to w *Hymnach*. Wittlin pokazuje, że ludzkość nie wyciągnęła wniosków z tragicznych wydarzeń sprzed kilkunastu lat („Myśmy [...] za życia byli w piekle, ale po powrocie z niego zachowujemy się tak, jakbyśmy byli w kabarecie”, OWP 87), wciąż bowiem stosunki społeczne i relacje między państwami układane są według prawa silniejszego, stając się katalizatorem konfliktów i rewolucyjnych przemian.

Początkowe nastawienie antywojenne i antymilitaryistyczne, jakie daje znać o sobie w *Hymnach*, ulega w eseistyce pogłębieniu. Cechująca tom emocjonalność, uwydatniona ekspresjonistyczną poetyką wielu wierszy, a odzwierciedlająca gwałtowność przeżyć doznanych w ogarniętym wojną rodzinnym mieście, zastąpiona zostaje intelektualnym rozważaniem pacyfizmu jako problemu osobistego, narodowego, ogólnoludzkiego, wreszcie – religijnego. Z perspektywy dziesięciu lat Wittlin precyzyjnie określa tragiczny w swej istocie charakter konfliktu będącego udziałem znękanych wojną światową młodych mieszkańców Lwowa, których nadzieje na pokój zostały w 1919 roku raz jeszcze rozwiane. Wybór pomiędzy patriotyzmem a pacyfizmem, którego rozstrzygnięcia dokonał Wittlin na korzyść pierwszego z nich, jest wyborem tragicznym, albowiem każda z niedających się pogodzić racji moralnych była mu droga. Dokonanie wyboru oznaczało porzucenie jednej z dwóch bliskich sercu idei moralnych, skutkując uczuciem klęski i tragizmu własnej sytuacji duchowej, które z kolei legły u podstaw napisanego wówczas tomu poezji:

W owych pamiętnych dniach listopadowych 1918 roku, jak każdy mieszkaniec Lwowa, postawieni zostaliśmy wobec kategorycznego pytania: czy Lwów ma być polski, czy ukraiński? Trzeciego wyjścia z sytuacji nie było, na ulicach Lwowa już strzelano. Obaj pacyfiści – śp. przyjaciel mój Jan Stur i ja – odpowiedzieliśmy bez namysłu: polski. W takim razie należało popierać tę wojnę, która już była faktem dokonany. Nie uczyniliśmy tego. Nasz sentymentalny patriotyzm za mocno kolidował z pacyfizmem. Trzeba było na poczekaniu stworzyć hierarchię uczuć. I to się nie udało. W sprzecznych uczuciach naszych panowała zupełna równowaga: nie mogliśmy ani pacyfizmowi poddać przywiązania do polskiego Lwowa, ani na rzecz tej polskości zrezygnować z pacyfizmu. W końcu padliśmy ofiarą tragicznego rozdwojenia, z którego jedynym wyjściem była poezja. Co do mnie, z żadną rzeczywistością nie mogłem się pogodzić (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 77–78).

Oddanie się twórczości literackiej uznał młody poeta za jedyne wyjście z tragicznej sytuacji aksjologicznej. Warto wszakże zauważyć, że „ucieczka w poezję” nie ma charakteru do końca eskapistycznego. Przeciwnie nawet, wydaje się, że to na terenie literatury próbuje Wittlin udzielić zadowalającej moralnie odpowiedzi na nękające go pytania – odpowiedzi, która nie mogła zostać udzielona w realnym świecie.

W owym czasie, ulegając wewnętrznym nakazom, napisałem *Hymn niewiści, Kołysankę, Trwogę przed śmiercią, Hymn o łyżce zupy, Tęsknotę za przyjacielem i Grzebanie wroga*. „Treść” do tych utworów czerpałem ściśle z rzeczywistości, ale nie w tym celu, aby jej schlebiać, jak to dziś czynią niektórzy młodzi poeci (słowiańscy i germańscy), lecz po to jedynie, aby tę rzeczywistość, potworną i haniebną – przez poezję przezwyciężyć i unicestwić. [...] Pamiętam ów wieczór, kiedy wraz ze śp. Janem Sturem wracałem z „grzebania wrogów”. Był to Poniedziałek Wielkanocny, po okrutnej zimie pierwsze powiewy wiosenne roznosiły trupią woń, wracaliśmy pełni żalu i gniewu, i upokorzenia. Pamiętam te łzy, co staczały się po brodzie mego towarzysza, już dziś pochowanego w tej samej lwowskiej ziemi, gdy z pięściami zaciśniętymi ku niebu wygrażał: „Kochać! Kochać!” (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 79–80).

Gest gniewnego zwrócenia się ku niebu w tragiczny Poniedziałek Wielkanocny, choć z pozoru obrazoburczy, jest w istocie wskazaniem, że wobec tragedii wojennego konfliktu i bólu rozdartego sumienia pomocą i odpowiedzi służyć może tylko instancja metafizyczna; aksjologia oparta na ludzkich conceptach (miłość ojczyzny, umiłowanie pokoju) nieodmiennie prowadzi bowiem do aporii. Dlatego też esej, w którym Wittlin zawarł cytowane wspomnienia, kończy się stwierdzeniem:

Jeżeli chodzi o traktaty pokojowe, domagam się jedynie rewizji granic ludzkiego sumienia i ludzkich możliwości (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 91).

Z perspektywy dekady powojennego pokoju Wittlin skłonny był też wyraźniej postrzegać problemy społeczne stające się zarzewiem konfliktu. W eseju *Ze wspomnień byłego pacyfisty* (autoironiczny tytuł nawiązuje do krytycznoliterackiego zaszufładowania debiutu pisarza jako „literatury pacyfistycznej”) Wittlin opisuje, jak nocując w podupadłym nieco folwarku na odległej od cywilizacji wsi, której ludność – biedując w czasach wojny – posuwała się niekiedy do rabowania własności ziemian, wbrew własnym pacyfistycznym

przekonaniom skłonny był pokładać nadzieję na bezpieczeństwo raczej w dubeltówce stróża niż w apelach do mieszkańców okolicy o pokojowe współżycie.

Tam, na owej wsi, zacząłem zastanawiać się nad tym, czy jest możliwe, żeby na tym świecie nie było już o co prowadzić wojny, i jak to zrobić, żeby już nie było takiej rzeczy, której warto bronić. Jak zdevaluować wszystką własność? Jakimi sposobami pozbawić siebie samego chęci posiadania czegokolwiek? Jak nie być wrażliwym na własny głód i ubóstwo? Oczywiście, że takie rozmyślania prowadzą raczej do religijnych konsekwencji, a nie do historycznego materializmu (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 83).

Pisarz nie rozstrzyga zagadnień społecznych nierówności i ubóstwa w sposób, jaki proponowała żywa wówczas ideologia komunistyczna, świadom ułomności proponowanych przez nią rozwiązań i tragicznych skutków jej przyjęcia. Odwraca zatem Wittlin przyjmowany przez materializm aksjomat i twierdzi:

Mam wrażenie, iż będzie raczej na odwrót: ze zmianą moralności może zmieniać się stosunki ekonomiczne [...] (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 83).

Problem pacyfizmu zajmował Wittlina przez wiele lat. Na drodze przemyśleń doszedł on do rozumienia idei pacyfistycznej szerzej niż jako podejmowanie zabiegów antimilitarystycznych i głoszenie konieczności zaprzestania wojen: pacyfizm stanowił dlań jedno z licznych ogniw złożonych procesów społecznych, a kwestię konfliktu i niesprawiedliwości, która do niego prowadzi, ujmował jako zagadnienie antropologiczne, a nie wyłącznie ekonomiczno-polityczne. Zarówno w *Hymnach*, jak i w eseistyce oraz *Soli ziemi* wyraźnie wybrzmiewa odrzucenie wojny jako sposobu rozwiązywania konfliktów i potępienie dla tych, którzy ją wywołują. Zarazem pisarz wskazuje, że w ramach ludzkiej kondycji zło, którego przejawem jest wojna, pozostaje nieuniknione (jak ujmował to w adresowanych do córki, niepublikowanych notatkach: „groza” stanowi „prawdę naszego istnienia odkąd Kain zabił Abla”²), a w dodatku zostaje spotęgowane w warunkach nowoczesnej cywilizacji, porzucającej metafizyczny namysł i upatrującej nadziei w wyrokach

² J. Wittlin, *Raptus Europae*, kopia rękopisu. Cyfrowe Archiwum Józefa Wittlina w Bibliotece Uniwersytetu Rzeszowskiego, nr katalogowy 1.1.1.4., k. 22 v.

ludzkiego rozumu i niepowstrzymanym postępie (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP). Właśnie ta świadomość sprawia, że ważny element debiutanckich *Hymnów*, jakim jest wyraz cierpienia i bólu zrodzonych z autentycznego przerażenia złem, na trwałe określił charakter twórczości pisarza:

Serce mam strute.

Oto kazali mi pogrzebać wroga, co zginął w bitwie.

Do ręki mi dali łopatę, palcem wskazali: wróg!

[...]

Larmo grajcie, trębacz! Larmo przeciągłe a lute

Larmo, larmo – dobosze!

Serce mam strute.

(*Grzebanie wroga*, PJW)

Jako propozycja literacka *Hymny* dlatego właśnie mogą zostać uznane za wyrastające poza swój czas. Pozostają świadectwem bolesnej świadomości, która przez cały XX wiek zyskiwała na sile: przeświadczenia o potędze zła, którego – o czym miały przekonać Wittlina lata międzywojenne – nie można przezwyciężyć ani zakazem produkcji broni, ani poszukiwaniem sprawiedliwych rozwiązań problemów społecznych.

1.2. Święty Franciszek z Asyżu

W swoich refleksjach nad naturą ludzką Wittlin dość szybko dochodzi do punktu, w którym świadomość „tragicznego stanu ludzkiej moralności” (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 83) zmusza albo do kapitulacji, albo do przyjęcia perspektywy antropologicznej, dzięki której możliwe jest opisanie nie tylko zła czającego się w ludzkiej naturze, lecz także dróg wyjścia i przemiany moralnej. Tę ostatnią odnajduje pisarz w chrześcijaństwie. Nie przypadkiem postacią odczaną przez Wittlina szczególną czcią i podziwem był św. Franciszek z Asyżu. Postawę Franciszka, naśladowcy Chrystusa, który „ślepo, posłusznie, jota w jotę usiłował powtórzyć przykład Tamtego” (*Święty Franciszek z Asyżu*, PPIIE 57), wskazuje autor *Hymnów* jako niedościgniony, ale wart nieustannego przypominania wzorzec etyczny.

Co jednak bardzo charakterystyczne, pisząc o swoim ulubionym świętym, Wittlin „zdejmuje aureolę” Biedaczynie z Asyżu. Pierwsze słowa publikowanej we fragmentach książki o świętym brzmią:

Niegodnymi rękami zdejmuję płonąca aureolę z głowy człowieka, którego Kościół katolicki zaliczył w poczet świętych. Wiem, że spalam sobie ręce, a jednak uczynić to muszę, gdyż blask aureoli oślepią moje oczy i nie pozwala spojrzeć w twarz, którą pragnę odmalować (*Święty Franciszek z Asyżu*, PPIIE 55).

Pisarz nie chce więc traktować Biedaczyny jako świętego w rozumieniu Kościoła: przeciwnie, w swej książce „uzwyczajnia” swojego bohatera, nie usiłując wprowadzać czytelników w meandry jego doświadczenia religijnego. Zapewne widać w tym pokłosie nowoczesnej tradycji literackiej (przynajmniej po części w zachowanych fragmentach książki o św. Franciszku), która w ramach świata przedstawionego powieści nie chce obligować czytelnika do wiary w jakiegokolwiek cudowne (w znaczeniu religijnym) zdarzenia³. Wydaje się jednak, że taka szczególna „dyskrecja” względem przeżyć religijnych św. Franciszka świadczy także o przekonaniu, które znajduje wyraz w wielu utworach Wittlina, mówiącym, że próba językowego uchwycenia przeżycia religijnego musi być zawsze chybiona, jest ono bowiem z natury swojej nieuchwytnie, paradoksalne i niemożliwe do adekwatnego opisanie.

Takie ujęcie postaci św. Franciszka sprawia, że staje się on raczej wzorem etycznym niż religijnym. Dzięki temu jawi się jako ponadczasowy (a nie wyłącznie średniowieczny) wzorzec osobowy, człowiek, którego dzieje życia wskazują na wiecznotrwałą mądrość układania stosunków międzyludzkich w sposób bezwzględnie uczciwy i moralnie dobry. Takiego właśnie ideału osobowego poszukiwał Wittlin dla swoich czasów, raczej „świeckiego” niż „świętego”, zdolnego dać przykład najwyższej moralnej doskonałości w zawiązywaniu relacji społecznych. Nie przypadkiem w eseistyce Wittlina pada porównanie świętego z Asyżu i Mahatmy Gandhiego (*Święty Franciszek z Asyżu*, PPIIE 57–58).

Naczelną cechą św. Franciszka w ujęciu Wittlina nie jest zatem jego zadekretowana „świętość”, lecz te cechy, które uczyniły go człowiekiem pokoju i dobra (jak głosi franciszkańska formuła *pax et bonum*), „geniuszem serca i poświęcenia” (*Święty Franciszek z Asyżu*, PPIIE57). Są nimi tęsknota za tym, co dobre, niepokodzenie ze złem

³ Por. I. Watt, *Narodziny powieści. Studia o Defoe’em, Richardsonie i Fieldingu*, tłum. A. Kreczmar, Warszawa 1973.

(także tym obecnym w ludziach, również – własnym złem), bezgraniczna pokora, wzywianie do współczucia.

Wittlin zdaje sobie sprawę, że ten wzorzec osobowy nigdy nie przystaje do ludzkiej rzeczywistości, niezależnie od czasów, w jakich miałyby być realizowany. Dla swoich współczesnych, choć żył w czasach chrześcijańskiego średniowiecza, św. Franciszek pozostał „*vir simplex et idiota*” (Święty Franciszek z Asyżu, PPIIE 101; „prostakiem i głupcem”) dla pokolenia poety – spetryfikowanym świętym coraz odleglejszej religii. Jednocześnie Wittlin wskazuje, że ten właśnie wzorzec jest światu zawsze potrzebny, niezależnie od epoki i rozwoju cywilizacji. Uzasadniając swój zamiar napisania książki o Biedaczynie, Wittlin zapytywał retorycznie:

[...] ta książka nie jest dziełem samotnika odsuniętego od duchowych trosk społeczeństwa, które go wydało. I nie jest to książka o bohaterze, który minął. Bo czy przeszła już do legendy nędza? Czy już zjadaczom chleba skrzydła aniołów wyrosły? Jeszcze dzieci nie pytają rodziców: „Co to był głód?”, a rodzice nie szukają w Larousse’ach pod literą Z umarłego egzotycznego słowa: zabijać. Tzw. kawałek chleba jeszcze ciągle jest przedmiotem i symbolem walki klas. Wszystkie komunały ludzkiego cierpienia nie przestały być aktualne od czasów Świętego Franciszka. Aktualny jest jeszcze ból, krzywda, niezasłużone życie i niezasłużona śmierć. Czasu pokoju i czasu wojny (Święty Franciszek z Asyżu, PPIIE 55–56).

Wskazywanie jako wyjścia z moralnego kryzysu ludzkości franciszkańskich zasad – pokory, pokoju, czynienia dobra – nie ma oczywiście w ujęciu Wittlina na celu uczynienia z ziemi rajy poprzez zmuszenie wszystkich do ich realizacji; niedobrowolne przyjęcie moralnych wytycznych nie może w opinii pisarza stanowić fundamentu trwałej zmiany na dobre. Jest natomiast franciszkanizm sposobem na to, by pogodzić się ze światem, który znamy, czyli zawsze skażonym złem; sposobem na to, by zrozumieć, że choć zmiana świata nie leży w ludzkich możliwościach, to jednak człowiek jest w stanie, w ramach swojej kondycji, nie ulegać złu i dzielić się dobrem. Charakterystyczny pod tym względem jest finał poetyckiej modlitwy zanoszonej do Biedaczyny:

O miłosierny patronie wszystkich, co biorą po gębie,
Ucisż już serca człowiecze, jakoś uciszył gołębie.

Ręką krwawiącą, co boskim przebita była stygmatem,
Uczyni mir wiekuisty pomiędzy mną a tym światem.

(*Skrucha w Asyżu*, PJW)

Świętego Franciszka nie prosi się tutaj o uzdrowienie świata, o spektakularny cud pozwalający dobru w konkretnym, jednostkowym przypadku zatryumfować nad złem. Wierszowa modlitwa jest inna: o pokój serca, które akceptując fakt, że w świecie ludzkim zawsze istniało i istnieć będzie zło, a także w świadomości własnej niedoskonałości moralnej (nie przypadkiem tytuł wiersza brzmi *Skrucha w Asyżu*), nie trwoży się i nie porzuca świata, ale odważnie i pokornie staje się tego świata częścią, próbując przymnażać w nim dobra.

1.3. Zło odwieczne i zło nowoczesne

Pytania o zło w świecie, zawsze aktualne, były szczególnie palące zarówno po pierwszej wojnie światowej (kiedy Wittlin pisał *Hymny*, a później *Sól ziemi*), jak i po drugiej wojnie światowej (podczas której autor napisał między innymi esej pod wiele mówiącym tytułem *O potrzebie nowej moralności*), nakazującej podjęcie refleksji nad nowymi obliczami zła i jego – mówiąc językiem Hannah Arendt – banalnością. Pytania te są ważne i dzisiaj. Problem zła jest bowiem zagadnieniem ponadczasowym, którego każdy człowiek doświadcza w konkretnej, czasowo zdefiniowanej rzeczywistości.

Wittlin w swych dziełach poświęcał wiele uwagi złu własnej współczesności, choć nigdy nie czynił tego w sposób publicystyczny, w duchu osądzenia i rozliczenia winnych. Taki charakter – reakcji na zło w jego konkretnym, namacalnym kształcie – ma wiele wierszy z *Hymnów* oraz liczne późniejsze utwory, z okresu dwudziestolecia (*Gazeta*, *Ludzie w tramwaju*, *Litania*) i późniejsze (*Stabat Mater*, *Na Sądny Dzień żydowski roku 1942* (5703), *Lament barana ofiarnego*). Charakterystyczny dla Wittlinowskiego sposobu podejmowania problematyki zła obecnego we własnej współczesności jest utwór *Litania*, w którym tyleż piętnuje się fizyczne i moralne zło świata, ile wskazuje się na – z moralnego punktu widzenia również zasługującą na potępienie – tendencję (ludzką i pisarską) do unikania mówienia o tym, co złe:

O wszystkim, co się teraz dzieje – milczę.
Milczę o moich bliźnich poniżeniu.
Milczę o bliźnich moich pohańbieniu.
Milczę o Polsce po śmierci Marszałka,
O głodzie głodnych, o sytości sytych,
O wszystkich w boju nierównym pobitych.
Milczę o nędzy wsi i doli chłopa.
Milczę o nędzy miast i bezrobociu.
[...]
Milczę o szczuciu ludzi przeciw ludziom.
Milczę o biciu bezbronnych i słabych.

(*Litania*, PJW)

Złem, które szczególnie poruszało Wittlina, były wszelkie przejawy segregowania ludzi – dzielenia ich na „lepszych” i „gorszych” – oraz wynikające z tego nierówne i niesprawiedliwe traktowanie. Problem ten obserwował pisarz zarówno w rzeczywistości Polski międzywojennej (antysemityzm, którego sam był ofiarą, ale i rążące nierówności społeczne o podłożu ekonomicznym), jak i na emigracji w Stanach Zjednoczonych, gdzie zajmowała go między innymi sprawa segregacji rasowej. Zagadnienie podziałów i niesprawiedliwości skłonny był rozumieć jako problem pojawiający się w świecie w każdym miejscu i o każdym czasie. Co ciekawe, w kategoriach moralnie dwuznacznego dzielenia ludzi na „takich samych” i „innych” traktował pisarz również kwestię konfesyjnej przynależności, wskazując na czające się w tym elemencie religii istotne niebezpieczeństwo. Także w tym kontekście powraca św. Franciszek – jako ideał moralny, zdolny swą postawą bezwarunkowej miłości bliźniego przezwyciężyć każdy rodzaj podziałów – w wierszu *Święty Franciszek i biedni Żydzi*:

Imienia Twego wzywają nadaremno
Bogaci, pyszni, cnotliwi i syci.
A Ty, gdybyś żył,
Przyszedłbyś pewno i do nas, którzy jesteśmy bici.
My biedni, obdarci Żydzi,
My trędowaci na duszy,
Chodzimy w żółtej łacie.
Ty byś nas się nie brzydził,
Ty byś, o święty, gojski patriarcho,

Najnędnieszemu z nas powiedział: bracie,
Bracie parchu!

(*Święty Franciszek i biedni Żydzi*, PJW)

Tematyka żydowska obecna jest w poezji Wittlina również w przejmujących wierszach z czasu drugiej wojny światowej poświęconych zagładzie polskich Żydów (*Żydom w Polsce, Na Sądny Dzień żydowski roku 1942* (5703)) oraz w słynnym, powojennym już utworze *Lament barana ofiarnego*, w którym pytanie, dlaczego „u was zawsze cierpieć / i zdychać musi za winnych – niewinny” (PJW143), nie tylko odniesione zostało do sytuacji Żydów w czasie wojny, lecz także stanowi wskazanie na każdą sytuację, w której ludzie (i Bóg) godzą się na cudze cierpienie.

Pytając o dolegliwość kondycji ludzkiej, Wittlin wskazuje na ponadczasową skłonność ludzi do czynienia zła, zarazem zwracając uwagę na to, co w dwudziestowiecznej cywilizacji stanowiło o szczególnym jego charakterze. O tym w istocie traktuje prozatorskie arcydzieło pisarza, czyli *Sól ziemi*. W warstwie fabularnej opowiedziano tu historię niepiśmiennego Hucula Piotra Niewiadomskiego, tragarza na stacji Topory–Czernelica, który zostaje powołany do wojska cesarskiego wkrótce po wybuchu pierwszej wojny światowej. Powieść dotyczy losów Niewiadomskiego od momentu otrzymania karty powołaniowej do złożenia uroczystej przysięgi wojskowej. Jest to historia stopniowej utraty przez głównego bohatera bezpiecznego, własnego świata huculskiej społeczności: Piotr, powołany do wojska za pomocą listu, którego sam nawet nie potrafi przeczytać, wydany zostaje na pastwę sił, których nie pojmuje i które – co charakterystyczne dla wszelkich nowoczesnych struktur, nie tylko wojskowych – przejmują nad nim kontrolę. Świat armii, w której służą poddani cesarza, to świat, gdzie zamiast zakorzenienia panują umasowienie i mechanizacja, zamiast religii rządzą rytuały wojskowe (kapitalnie opisane w scenie składania przez rekrutów przysięgi – analizowanej w trzecim rozdziale opracowania), a religia wyparowuje, nie mając już mocy kształtowania ani ludzkich sumień, ani międzyludzkich relacji.

Bohater powieści – naiwny i moralnie daleki od doskonałości – w pewnym momencie zaczyna pojmować, że świat, w którym się

znalazł, całkowicie różni się od bezpiecznej rzeczywistości huculskiej wsi i że jego własny los zależy już wyłącznie od decyzji cesarskich urzędników i wojskowych. To uprzedmiotowienie dobrze widoczne jest w chwili, gdy Piotr otrzymuje broń – bagnet numer 46821:

Dumą napełniała Piotra tak potężna liczba, przywiązana do jego osoby, poczuł się ważniejszy niż przedtem, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, iż od tej chwili jest już tylko dodatkowym rekwizytem do numeru 46 821. Ten gwer nie był nowy. Wielu przed Piotrem musiało już służyć numerowi 46 821. [...] Tak, sam Piotr czuł, że gwer ważniejszy od niego. Wagony też były ważniejsze, też duże cyfry były na nich wypisane.

– Ile trupów mogą narobić te wszystkie gwery? – pytał siebie, patrząc na setki karabinów w rekruckich rękach. – Pięć tysięcy? Dziesięć? (SZ 249–250).

Uczynienie z człowieka nietrwałego elementu wymiennego przy długowiecznej maszynie, podobnie jak zadawane sobie przez Piotra pytanie o jej wydajność, narzucają myśl o wojnie jako fabryce, wrzęgniętej w służbę rozwojowi ekonomicznemu i wspomagającej go na swój przewrotny, niszczący ludzi sposób. Wojna jawi się wówczas jako nieunikniona konsekwencja nowoczesnej logiki, która nakazuje potęgować zysk ekonomiczny nawet za cenę życia obywateli, logiki budującej system, w którym maszyny ważniejsze są od ludzi. Głęboka przenikliwość moralna pisarza umożliwiła mu trafne rozpoznanie, w którą stronę zmierzać będzie nowoczesna cywilizacja, rzucona na grunt pod względem etycznym całkiem prymitywny, do czego doprowadzi doskonałość narzędzi w rękach ludzi niezdolnych do refleksji etycznej – Wittlin napisał wszak swoją powieść na kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej, która dowiodła trafności wszelkich tego rodzaju prognoz.

Sól ziemi ma zatem istotną warstwę pacyfistyczną (jak była o tym mowa, Wittlin jest jednym z tych pisarzy, którzy ideę pacyfizmu prze-myśleli najgłębiej i najbardziej rzeczowo ją opisali); równie istotne jest wszelako i to, że powieść stanowi zarazem frapujący opis mechanizmów nowoczesnej cywilizacji, która nie licząc się z pojedynczymi istnieniami i uchylając horyzont metafizyczny, czyni z ludzi bezwolne i mało wartościowe („wymienne”) narzędzia. Dlatego też bohater powieści, skądinąd obdarzony wieloma cechami wątpliwymi moralnie, do którego narrator odnosi się często z ironią, budzi

jednak niezaprzeczalnie głębokie współczucie narratora, a z nim także czytelnika; współczucie wzmocnione przeświadczeniem, że wobec komentowanych przez Wittlina mechanizmów wszyscy ludzie są jednakowo bezradni.

W poetycki sposób, z wykorzystaniem biblijnych odwołań, o złu i jego nowoczesnym i uniwersalnym charakterze opowiada między innymi początek *Soli ziemi*. Pierwszy akapit powieści przynosi misternie skomponowany obraz o znacznej sile oddziaływania. Traktuje on o tym, jak nowoczesność, upostaciowana przez kolej, zagarnia obszary i przestrzenie dotąd ciche i senne:

W głuche zakątki huculskiej ziemi, pachnące miętą w letnie wieczory, w senne wioski, przylepione do cichych połonin, gdzie pasterze grają na długich trombitach – wdziera się kolej żelazna. Ona jedna łączy ze światem te ustronia, zabite od niego deskami. Ona rzuca w ciemną noc barwne światła semaforów i gwałci ciszę, i gwałci dziewiczość wielkiego nocnego spokoju. Wrzaskiem oświetlonych wagonów rozdziera błonę mroku, przeciągłym gwizdem budzi ze snu zajęce i uśpioną ludzką ciekawość. Jak olbrzymia żelazna drabina, przybita gwoździami do kamienistej ziemi – z nieskończoności w nieskończoność ciągną się na drewnianych progach czarne, połyskliwe szyny. Białe domki stacyjne, ujęte w żywopłoty, ogródki, altany i klomby z kolorowymi, szklanymi kulami na ubielonych drążkach, liczne mostki żelazne nad strumykami i gęsto rozsiane budki dróżników zadają kłam pozorom, jakoby na tej ziemi diabeł mówił: dobranoc! (SZ 29).

Podstawowy sens tego fragmentu⁴ wyraża się w subtelnie wplecionej w realistyczny opis metafizycznej refleksji: kolej „gwałci”, „rozdziera”, „wdziera się” na terytoria dotąd spokojne, jest zatem złem, które wprowadzie umożliwi rozwój, jednocześnie jednak wystawia na pokuszenie i zmienia środowisko wcześniej nienarażone na nowoczesne wstrząsy. Spokój „huculskiej ziemi” – przestrzeni przednowoczesnej, nieskażonej cywilizacją – daleki jest wszelako od idylli: to bowiem „głuchy” świat „ciemności”, „ciszy”, „mroku”, spokojny co prawda, lecz z całą pewnością nienoszący szczególnych znamion moralnego dobra czy wybraństwa. Ów cichy świat za sprawą kolei nie ginie jednak, lecz zostaje bezpowrotnie przeobrażony. Najpoważniejszą zmianą jest ta zasygnalizowana w ostatnim

⁴ Analizę początkowego akapitu *Soli ziemi* przedstawiłam wcześniej w książce *Nowoczesna literatura etyczna. Wokół twórczości Józefa Wittlina i Pära Lagerkvista*, Poznań 2017, s. 204–206.

zdaniu, które pozornie konstatające po prostu logikę modernizacji i stwierdzające fakty, w istocie za sprawą uruchomionych wcześniej skojarzeń objawia prawdę głęboko niepokojącą: mrok i senność to odtąd jedynie pozory, a diabeł ożywa w odwróconej logice potocznego powiedzenia i z pomocą stworzonego przez nowoczesną cywilizację narzędzia z nową siłą rozpoczyna wśród ludzi swoje działanie. Dzieło, którego dokonuje kolej, „budzenie ciekawości”, jest však ambiwalentne: dzięki niemu ludzkie społeczności ewoluują, a jednostki się rozwijają. W kontekście językowego ukształtowania fragmentu i wyraźnej stylizacji biblijnej nie sposób jednak zapomnieć, że to właśnie folgowanie własnej ciekawości sprowadziło na człowieka grzech, gdy tylko nadarzyła się do niego okazja. Pokusy nowoczesności, upostaciowane tu jako kolej żelazna, trafiają na podatny grunt: budzą „ciekawość” będącą ludzką cechą od czasów Adama i Ewy i umożliwiającą diabłu skuteczne działanie. Prowadzące „z nieskończoności w nieskończoność” tory dają człowiekowi iluzję przezwyciężenia kary, która spadła na pierwszych ludzi po wygnaniu z raj („niechaj teraz nie wyciągnie przypadkiem ręki, aby zerwać owoc także z drzewa życia, zjeść go i żyć na wieki”, Gen 3,22)⁵. Wizualny kształt symbolizujących modernizację torów kolejowych zostaje wykorzystany przez Wittlina do przekazania innej, dla sensów powieści niezwykle ważnej refleksji metafizycznej. Fenomenalna, plastyczna metafora torów jako „drabiny przybitej do ziemi” sygnalizuje, że zamiast sięgać w górę i łączyć niebo z ziemią niczym ta ze snu Jakuba⁶, nowoczesna drabina złożona z progów i szyn pozwala jedynie poruszać się po powierzchni ziemi, redukując wertykalny wymiar życia i zainteresowań człowieka. „Wychodzący z ciemności” człowiek – jak w powieści został nazwany Piotr Niewiadomski – raz wywołany z pierwotnego stanu ciszy i uspienia, do starego świata nie może już powrócić, bo ów zostaje radykalnie przeobrażony. Te dwa obrazy: siejącej zamęt i zmieniającej oblicze rzeczywistości cywilizacji nowoczesnej oraz niepokojącego „mroku”

⁵ Cytaty biblijne przytaczane za wydaniem: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, wyd. 3 popr., Poznań–Warszawa 1982 [przyp. red.].

⁶ Por. Gen 28,12. Drabina, o której śnił Jakub, wyraża symboliczne połączenie nieba i ziemi, a chodzący po niej aniołowie są posłańcami Bożymi do ludzi, całościowa wymowa snu utwierdza zaś Jakuba w przekonaniu, że w swej wędrówce pozostaje pod Bożą opieką.

obecnego zawsze w ludzkim świecie – to bieguny diagnozowanego w powieści zła ludzkiego świata.

Także na gruncie eseistycznym Wittlin rozprawiał się z mitem nowoczesnej cywilizacji, która miałyby być bardziej humanitarna niż we wcześniejszych stuleciach. Pisał w 1929 roku, podsumowując niejako omawiany tu wątek:

Zwolennicy cywilizacji i postępu, radia i samochodów i inni miłośnicy współczesnych przyjemności wskazują na stałą poprawę stosunków międzyludzkich, na rzekomy wzrost humanitaryzmu, na taylorizm, a ilustrują swą optymistyczną tezę przykładem zniesienia inkwizycji i handlu niewolnikami. Niewątpliwie mają rację, jeżeli chodzi o zmianę metod dręczenia ludzi przez ludzi. Zapominają jednak o tym, że inkwizycja była tylko jedną z form tego samego, do dziś dnia immanentnie tkwiącego w naturze ludzkiej okrucieństwa, którego nie unicestwia ani postęp, ani cywilizacja, ani ateizm, ani naukowa organizacja pracy. Wprost przeciwnie: postęp i cywilizacja udoskonaliły narzędzia tortur, zelektryfikowały je i zracjonalizowały, pozbawiając je cech indywidualnych i teatralnego splendoru (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 88).

Wittlin nie żywi złudzeń, jakie były udziałem wielu nowoczesnych piewców postępu, i uważa nowoczesną cywilizację za równie podatną na zło jak cywilizacja dawnych wieków. Wskazując na ponadczasową cechę natury ludzkiej, czyli skłonność do zła i okrucieństwa, akcentuje zarazem skłonność nowoczesnej cywilizacji do zadawania ludziom cierpień duchowych, słabiej na pierwszy rzut oka widocznych, lecz nie mniej bolesnych niż katusze fizyczne:

Cywilizacja nasza wyśmiewa wieki średnie, że męczyły ludzi o głupstwa, przypuszczalnie wieki średnie wyśmiewałyby współczesną cywilizację z tego samego powodu. [...] I dzisiaj łamię się kołem, i nie tylko nasze fizyczne kości. Współczesna inkwizycja [...] umie również łamać kręgosłupy naszego charakteru, przetrzącać żebra naszej duszy, a współczesny pręgierz opinii publicznej – gazeta – niejednemu już człowiekowi obrzydził życie. Współcześni inkwizytorowie nie zawsze zabijają sami, często zmuszają swe ofiary do samobójstwa (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 88–89).

Podobne obserwacje na temat prasy jako organu „opinii publicznej” zawarł Wittlin w wierszu *Gazeta*. Redakcja pisma, sportretowana niczym współczesny Babilon, to źródło zgorzienia, którego działanie opiera się na zawsze obecnych w ludziach najniższych instynktach i potrzebach:

Homer, homary i humor, szampon, Szampania i szampan:
 Wszystko pochłaniasz, gazeto, królowo krachów i hoss,
 Na katarynce wydarzeń skaczesz z radości jak małpa
 I sprośną łapą tłumowi parszywy podajesz los.

Swatko skandali, kuplerko człowieczych nieszczęść i klęski,
 Matko niesławy, co czynom naszym nadajesz swój kształt,
 Jak trąby Jerycha ochryple rozbrzmiewa twój okrzyk zwycięski:
 – Królestwo dam za morderstwo! Królestwo oddam za gwałt!

(*Gazeta*, PJW)

Wobec apokaliptycznych perspektyw, jakie rysują się przed ludzkim światem, zaprzędanym z własnej woli mechanizmom hołdującym złu czającym się w ludzkiej naturze, wiersz kończy się apelem do Boga, by Ów interweniował i zniszczył szatańskie dzieło. Charakterystyczne jest, że (podobnie jak w przypadku problemu militaryzmu) odpowiedzi na impas, w jakim znalazł się świat wartości dwudziestowiecznego człowieka, Wittlin poszukuje, kierując myśli swoją i czytelnika w rejony metafizyczne.

1.4. Odpowiedź religii

Żywo zajmujący pisarza problem istnienia zła wyjaśniony został na gruncie systemów religijnych. Zgodnie z antropologią chrześcijańską śmierć i cierpienie, będące udziałem ludzi na ziemi, to rezultaty grzesznego nieposłuszeństwa pierwszych ludzi, którzy skuszeni przez diabła, sprzeciwili się Boskim zakazom i zostali wygnani z raju. Do biblijnej opowieści o Adamie i Ewie i o wypędzeniu ludzi z Edenu nawiązywał Wittlin wielokrotnie przy okazji rozważań na temat ludzkiej skłonności do czynienia zła i tęsknoty za utraconym rajem niewinności⁷. Twórca szuka odpowiedzi na pytania o pochodzenie zła i jego miejsce w naturze ludzkiej – w antropologii biblijnej; w niej też szuka Wittlin, choć nie bez wahań, optyki pozwalającej przeciwstawić się złu.

Uruchamiając w wierszach i prozie perspektywę właściwą religijnemu oglądowi świata, pisarz daleki jest jednak od upatrywania w religijnym wykładzie wyczerpującego wyjaśnienia wszelkich

⁷ Por. na przykład wiersz *Z drzewa poznania*; metaforykę „wypędzenia z raju” wykonał pisarz także w eseju *Blaski i nędze wygnania*, w którym omawia kondycję pisarza emigracyjnego

wątpliwości związanych z ludzką kondycją i miejscem zła na ziemi. W wierszach takich jak *Ból drzewa*, *Lament barana ofiarnego*, *Z drzewa poznania* pisarz pyta o fenomeny zła i cierpienia, których przejawy przynosi każde życie, i wskazuje, że religijne wyjaśnienie nie jest w stanie sprostać etycznym wątpliwościom, jakie rodzą się w kontakcie z nimi.

Charakterystycznym zabiegiem stosowanym przez Wittlina w wierszach poświęconych tematowi zła i cierpienia jest przywoływanie moralnie niewinnych bohaterów, których niezasłużone cierpienie nie mieści się w konsolacyjnej perspektywie horyzontu religijnego; tak dzieje się w wierszu *Ból drzewa* (analizowanym w trzecim rozdziale opracowania) oraz ważnym liryku *Lament barana ofiarnego*. Optyka ta jest w poezji Wittlina wzmocniona za sprawą obecnej w niej franciszkańskiej wrażliwości na zwierzęta. Te ostatnie, w przeciwieństwie do ludzi, nie popełniają grzechów, są zatem moralnie niewinne, a ich cierpienia stanowią niewytłumaczalne horrendum, porażające zwłaszcza w sytuacji, kiedy zadający je ludzie usiłują usprawiedliwić je jakąkolwiek ideologią. „Tak, żadne zwierzęta / nie mają duszy, więc nie mogą grzeszyć. / Nas z rajy / nikt nie wyganiał...” – mówi w wierszu baran ofiarny, zapytując o sens cierpienia zwierząt, które „nie mają duszy” i których nie dotyczy żadna religijna konsolacja.

Podmiot mówiący w wierszu to baran napotkany przez Abrahama na górze Moria i zamiast Izaaka złożony w ofierze. Okoliczność ta sprawia, że w utworze istotna okazuje się nie tylko problematyka jednego wymiaru cierpienia, ale także zagadnienie ofiary, niewinnego cierpienia mającego charakter prześlągania za cudze przewiny. Jest to także pytanie o wszelkie niewinne cierpienie, na które Bóg pozwala – i które, jako wpisane w religijną wizję świata, nie budzi sprzeciwu wyznawców. Świadom wszechobecności tych mechanizmów, podmiot liryczny wiersza *Lament barana ofiarnego*, ironicznie pomniejszający rangę własnego cierpienia i śmierci („mój ból się nie liczy, / mój strach nieważny, bo ja nie mam duszy”), zadaje pytanie o sens śmierci milionów ofiar hitlerowskiego ludobójstwa, o Boskie i ludzkie przyzwolenie na nie i o to, dlaczego takie zło w ogóle może się wydarzać:

Dwunożnych kozłów ofiarnych, tych z duszą,
całe narody w krematoriach płoną,
złowne dymy w stropy niebios biją,
lecz aniołowie z nich nie wyfruwają,
by ręce katów powstrzymać od mordy.

(*Lament baranka ofiarnego*, PJW)

Przywołanie w wierszu wydarzeń z góry Moria, a przede wszystkim radykalne rozdzielanie porządku religijnego i etycznego (religijna ofiara jest z punktu widzenia etyki niewytłumaczalnym okrucieństwem; posłuszeństwo człowieka religijnego może być dla człowieka etycznego niepojętym zaniechaniem i zaniedbaniem) przywodzą na myśl filozofię Sørensa Kierkegaarda, myśliciela bardzo Wittlinowi bliskiego. Duński filozof dokonał w dziele *Bojaźń i drżenie* radykalnego odróżnienia postawy religijnej i etycznej, wskazując, że z punktu widzenia etyki religijna postawa Abrahama, gotowego zabić własne dziecko na Boże polecenie, jest szaleństwem i okrucieństwem. Między tym, co etyczne, a tym, co religijne, nie ma więc, zdaniem Kierkegaarda, ciągłości ani wzajemnego zrozumienia. Twórczość Wittlina, pełna etycznego namysłu nad naturą zła, a jednocześnie wychylona w kierunku religijnych poszukiwań, jest polem, na którym nieustannie ścierają się kategorie opisane przez Duńczyka, nie osiągając niemożliwego stanu równowagi, lecz pobudzając nieustannie czytelników do rozmyślenia nad nimi.

Akt wiary, religijnego zawierzenia jest wobec tego w poezji Wittlina zawsze podejmowany wbrew niemożliwemu do zakwestionowania przekonaniu o niewytłumaczalnym, etycznie niepojętym złu świata – przekonaniu, które w nowoczesności, a zwłaszcza w okrutnym XX wieku przybrało jedynie na sile. Wittlinowski wariant teodycei (problemu pogodzenia istnienia dobrego i miłosiernego Boga z istnieniem zła i cierpienia) najdobitniej bodaj wybrzmiewa w wierszu *Psalm*. Utwór ten to parafraza *Pieśni słonecznej* św. Franciszka z Asyżu, wszelako jest to parafraza zdecydowanie nowoczesna. Jej podmiot, zwracając się do Boga w słowach modlitwy, zaświadcza jednocześnie o chwiejnej naturze własnych religijnych przekonań:

Boże poranków, zmierzchów i wichury,
Ojcze niebieski!

Ja, Józef Wittlin, z pokolenia Judy,
staję przed Tobą w nagości mych grzechów,
żeby niegodnymi ustami wybełkotać Twą wielkość.
Ze strachem postrzegam, jak serce moje coraz bardziej
chyli się ku ziemi,
na której coraz rzadziej przebywa Twa stopa.
Zanim się wszystek zatracę w ziemskiej miłości,
chcę Ci resztkami mojego dzieciństwa
zaśpiewać psalm.
Niech on zostanie u Ciebie zakładnikiem mej wiary,
aż do godziny mojej śmierci.
A gdybym kiedyś zaparł się Ciebie –
niech on mnie przed Tobą odkupi.

(*Psalm*, PJW)

Poetycka modlitwa przynosi – niewyartykułowane wprost, lecz wyraźnie sugerowane – pytania o przymioty Boga, który przyzwała na istnienie w świecie bólu i cierpienia:

A pochwalony bądź porykiem wszelkiego bydła,
rzeniem koni, bekiem owiec, szczekaniem psów, miauczeniem kotów
i brzękiem wszelkiego owadu.

A pochwalony bądź śpiewem ptaków:
Tobie niech zawodzi skowronek w słonecznym żarze,
Tobie niech słowik zagorgoli w cichą, jarową noc,
Tobie niech kukułka zakuka i synogarlica niech Ci zagrucha
w codzienny dzień.

[...]

Ale Tobie niech zakracze kruk nad zwłokami żołnierza,
niech zakracze nad padliną pohańbionego człowieka.

[...]

Więc pochwalony, pochwalony, pochwalony
bądź, Wiekuisty Panie, przez wszystkie kolory:
Ciebie uwielbia kolor zielony, którym pomalowałaś trawę,
Tobie się kłania fiolet i biel!
Bądź pochwalony złotem i srebrem, czerwienią ognia i czerwienią
krwi,
a osobliwie
kolorem niebieskim,
którego nazwa dla słodyczy swojej
wzięta jest od Twych niebios!

I pozdrowiony bądź kolorem czarnym,
 który jest smutny, albowiem w nas budzi
 smutek!
 O, piękny jesteś we wszystkich kolorach, których nie widzą ślepi!
 (*Psalm*, PJW)

W związku z tą podstawową dwuznacznością, kryjącą się w „pochwalę świata”, który nie jest wolny od cierpienia niewinnych (w wierszu pojawiają się „pohańbiony człowiek”, „ślepi”, poległy na wojnie żołnierz), w *Psalmie* wielokrotnie mowa jest o utracie wiary, o niewierze wynikłej z konfrontacji z fizycznym złem. W świecie, jakim go znamy – może zaś szczególnie w świecie nowoczesnym – wiara pozostaje „resztkami dzieciństwa” (metafora ta musi kojarzyć się z Kantowskim opisem oświecenia jako stanu porzucenia dzieciństwa właśnie⁸). Jest ona czymś – jak dzieciństwo – pięknym, choć z konieczności nietrwałym, obiektem wspomnień i pamięci, bliższym czaru niż faktyczności, a przecież kształtującym człowieka na zawsze. Zamiast zatem w *Psalmie* wyznawać niezachwianą wiarę (do czego zdawałby się zobowiązywać tytuł – u Wittlina stanowiący jednak raczej element wielogłosowej struktury tekstu niż deklarację), podmiot czyni z utworu jedynie świadectwo możliwości zaistnienia takiej wiary, pytając zarazem o szanse jej zaktualizowania – w planie biografii jednostki oraz historycznych procesów modernizacji. Elementem *Psalmu*, który łączy Wittlina z psalmami biblijnymi oraz *Pieśnią słoneczną*, jest pochwała Boga – Stwórcy wszechświata. Człowiek nowoczesny, jak zdaje się twierdzić Wittlin, utracił wiodącą do Niego prostą drogę religijnego zawierzenia, a jego modlitwa ma zawsze charakter paradoksalny:

Hosanna, Hosanna! Na wieki wieków – Amen.

I bądź pochwalony modlitwą tych, którzy w Ciebie nie wierzą.
 (*Psalm*, PJW)

Religia chrześcijańska pozostawała dla Wittlina ważnym źródłem duchowej inspiracji i propozycją takiego systemu etycznego, na gruncie którego możliwe jest zaistnienie autentycznego „geniuszu

⁸ Oświecenie, zdaniem Kanta, to „wyjście człowieka z niedojrzałości” (I. Kant, *Co to jest Oświecenie?*, tłum. A. Landman [w:] T. Kroński, *Kant*, Warszawa 1966, s. 164), ze stanu zależności od między innymi mitycznych koncepcji religijnych.

serca i poświęcenia” (*Święty Franciszek z Asyżu*, PPIIE 57), jak nazywał św. Franciszka. Jednocześnie uważał wiarę za coś tak osobistego i indywidualnego, że nie uznawał za możliwe ani celowe tworzenia dzieł kaznodziejskich (wiara jest doświadczeniem prywatnym i nie sposób kogokolwiek nakłonić do jej przyjęcia) i wyznawczych (wiara jako doświadczenie osobiste wymyka się przekonującym próbom wysłownienia). Czytelnik zostaje tutaj raczej postawiony wobec pytań otwartych, sprowokowany do intensywnego wysiłku poznawczego, a wszelkie rozstrzygnięcia stanowią jego własne osiągnięcie. Równocześnie pisarstwo to jednoznacznie wskazuje, że bez podjęcia namysłu religijnego i refleksji o charakterze etycznym i metafizycznym niemożliwe jest rozstrzygnięcie najistotniejszych problemów egzystencji ludzkiej w jej indywidualnym i społecznym wymiarze.

2. Zadania pisarza

Wittlin był zdania, że dla uratowania etycznego porządku świata najważniejsza jest „moralność każdej jednostki z osobna” i że jeśli ta zostałaby osiągnięta, wówczas tak idealistyczne pomysły jak pacyfizm miałyby pełną szansę na urzeczywistnienie. Dlatego właśnie twórczość Wittlina nastawiona jest na budzenie moralnej wrażliwości czytelników: na tym, a nie na podawaniu gotowej recepty zwalniającej czytelnika z obowiązku myślenia polega według pisarza zadanie prawdziwej literatury.

U nas, niestety, zwłaszcza w Warszawie, ciągle jeszcze pokutuje zasada, według której pisarz obowiązany jest być rabinem i posiadać w zanadrzu gotowe odpowiedzi na wszystkie pytania, którymi zasypuje go życie prywatne i społeczne. Nie rozumie się u nas jeszcze tego, że sformułowanie i postawienie wielkiego znaku zapytania jest produktywniejsze od wynajdywania odpowiedzi prawie zawsze przekreślanych przez życie. Odpowiedzi, zwłaszcza ogłaszane w tonie proroczym, mogą być mylne, pytania zaś przeważnie bywają trafne (*Ze wspomnień byłego pacyfisty*, OWP 90).

Pisarz obdarzony dużą wrażliwością moralną, wyczulony na kwestie etyczne, a jednocześnie żyjący w czasach rozgrywania się wielu dziejowych tragedii (z których część dotknęła go osobiście) ani w młodzieńczym tomie poetyckim, ani w późniejszych utworach nie porzesał zatem na przyjęciu roli kronikarza tego, co złe, ani

sędziego, zdolnego wydawać wyroki przed trybunałem historii. Jego zainteresowanie „moralną stroną ludzkiego bytu” miało inny charakter i zupełnie inne konsekwencje dla tematyki i kształtu dzieł. Widzący zło natury ludzkiej, wrażliwy na krzywdę i zdający sobie sprawę z mrocznych stron nowoczesnej cywilizacji – pisarz szuka usilnie wyjścia z sytuacji, kiedy to milczeć o złu świata jest złem, ale mówić o złu bez zaproponowania jakiegokolwiek sposobu poradzenia sobie z nim może jedynie zła przymnożyć (to chyba właśnie dlatego podmiot mówiący w wierszu *Litania* deklaratywnie „milczy”, wyliczając przejawy zła właściwe swoim czasom). Współczesną sobie literaturę, pisaną po pierwszej wojnie światowej, a zatem rozliczającą rzeczywistość z milionów ofiar, gehenny żołnierzy, cierpień cywilów i podejmującą się moralnej oceny świata Wittlin traktował z dystansem właśnie z tego powodu.

Umysłowość współczesna coraz bardziej skłania się ku typowi prokuratora. [...]. Jesteśmy mistrzami w tropieniu winowajców, w sztuce zdemaskowania fałszu, kłamstwa i wszelkiej ohydy. Nie zawsze płynie to z nienawiści. Przeciwnie, prawie większość owych krwawych demaskowań pochodzi z głębokiej miłości do „wsypanego”, wyrażając się językiem policyjnym świata. W demaskowaniu marności współczesnego świata wielką wprawę osiągnęła współczesna literatura europejska, dzięki której ludzkość dowiedziała się, że jest jednym ogromnym wieprzem, a nie kolekcją podobizn Stwórcy. Jednakże świadomość ta nie daje ludzkości zadowolenia. Z połamanymi gnatami, z krwawymi oczodołami, oplute, zbite, skopane, wychodzi ludzkie sumienie z salonowo urządzonej kaźni na świeże powietrze i nie wie, co ma teraz z sobą począć, ani w którą zwrócić się stronę (*Święty Franciszek z Asyżu*, PPIIE 56–57).

Wittlin wielokrotnie dawał wyraz przekonaniu, że aby dzieło literackie sprawdziło się jako próba zmiany świata na lepsze, nie może stanowić wyłącznie rozliczenia z tym, co złe w ludzkim życiu, być jedynie aktem potępienia. Komentując z perspektywy kilku powojennych lat literaturę pacyfistyczną okresu pierwszej wojny światowej, skłonny był do jej obrony wyłącznie w sytuacji, gdy jej treści miały wyraźny charakter pozytywny. „Nie można zabijać wojny, jeśli się nie ma w sobie dojrzałego pokoju!” (*Wojna, pokój i usza poety*, OWP 35) – pisał. Także w perspektywie działalności pisarskiej poszukiwanie norm etycznego działania i inspiracji do niego prowadzi zatem Wittlina do postaci św. Franciszka z Asyżu oraz franciszkańskiej dewizy

pax et bonum (pokój i dobro). Zdaniem pisarza literatura musi dawać wyraz etycznym i duchowym poszukiwaniom, inspirować do nich, a nie jest w stanie tego uczynić, wydając wyłącznie głosy potępienia; zobowiązana jest pokazywać dobro i nie odbierać nadziei.

Wszyscy już wiemy, że człowiek nie jest dobry, i być może słowo „ludzkość” w tym znaczeniu, w jakim go używali humaniści, jest dziś już tylko archaizmem. Archaizujemy zatem świadomie. [...] (Istnienie zbiorowej moralności pewno też należy już do anachronizmów) (*Śmierć Barbuse’a*, OWP 508).

Celem pisarza jest więc jednocześnie zachowanie uczciwości w opiniach o naturze ludzkiej i wskazanie podstaw dla rozważań etycznych. Pragnie on mówić prawdę (jak pisał, „nic tak jak to słowo [słowo „prawda” – K.S.H.] nie ekscytuje pisarza”, ER 194), jednocześnie dając nadzieję; nie upiększać ludzkiego świata, ale i nie skazywać ludzi na załamanie własną kondycją.

Także eseistyka Wittlina pełna jest pytań o „moralną stronę ludzkiego bytu”. Pisarz chętnie podejmował etyczne zagadnienia swojej współczesności, snując rozważania między innymi na temat odpowiedzialności pisarza wobec społeczeństwa (*Ostatnia instancja*), sensowności bojkotu niemieckich autorów przez polskich księgarzy (*W obronie książek niemieckich*), kondycji emigranta (*Blaski i nędze wygnania*) czy odpowiedzialności Ameryki za użycie bomby atomowej i tragiczne konsekwencje eksplozji w japońskiej Hiroszynie (*Kapliczka nieczystego sumienia*). Twórczość Wittlina swoją ponadczasową siłą zawdzięcza, jak się wydaje, w pierwszym rzędzie temu, że pisarz, wypowiadając się w sprawach aktualnych, stroni od kuszących, uproszczonych rozstrzygnięć, podejmowane zaś kwestie umieszcza w perspektywie szerszej, docieka przyczyn i szuka rozwiązań, powstrzymując się od ferowania wyroków. Współczując i zawsze stając po stronie słabszego, sprzeciwia się zarówno krzywdzie bliźniego, jak i niewinnego zwierzęcia⁹. Wittlin w swym piśmiennictwie stosuje się do – przywoływanej zresztą wprost w eseju *Święty Augustyn i teatr* (1930) – uwagi św. Augustyna:

⁹ W.S. Woźniak, *Świat – igrzysko ironisty. Rozważania o „Soli ziemi” Józefa Wittlina* [w:] *Etapy Józefa Wittlina*, red. W. Ligęza, W.S. Woźniak, Kraków 2014, s. 91.

„Bo wprawdzie współczuć z kimś nieszczęśliwym jest wywiązaniem się z obowiązku miłości, jednak kto jest istotnie miłosierny, wolałby raczej, by w ogóle nie było przyczyny współczucia” (*Święty Augustyn i teatr*, OWP 441, cytata z *Wyznań* w przekładzie Krystyny Wisłockiej-Remerowej).

Taka postawa wymaga rzecz jasna oparcia się na aksjologii i antropologii wykraczającej poza rzeczywistość, odsyłającej do jakiegoś metafizycznego horyzontu. By czytelnik za sprawą lektury stał się zdolny do jej przyjęcia i praktykowania, literatura, jaką się mu proponuje, musi egzorcyzmować zło, przeciwstawiać mu się. Czyni to jednak nie na drodze wyparcia albo moralistycznego sprzeciwu, lecz poprzez nieustanne uwrażliwianie czytelnika i tym samym otwieranie drogi metafizycznym przeczuciom. Takie jest, zdaniem Wittlina, zadanie prawdziwej literatury – i sztuki:

Albowiem tylko poeta potrafi nadać metafizyczny aspekt grozie i szpetocie ludzkiego istnienia, i ludzkiej śmierci i przez to nawiązać kontakt między ziemią a tą sferą, do której mniej więcej każdy człowiek dąży, świadomie lub nieświadomie, lub podświadomie, z pomocą religii lub bez (*Pochwała fikcji poetyckiej*, OWP 579).

Zadaniem pisarza jest tedy wedle Wittlina wskazywanie ludzkiego zła i przewyżczanie go, jednak nie na drodze potępienia, lecz poprzez budzenie sumień; nie poprzez nauczanie i moralistykę, ale w akcie budzenia współczucia dla innych, którzy są w istocie tacy sami jak my. Celem jest wskazanie na wspólną, ogólnoludzką kondycję, w ramach której nie sposób „rzucić kamieniem”, ale i nie sposób łatwo pogodzić się ze złem. Znakomitym środkiem służącym pisarzowi do „odróżnicowania” ludzi, pokazania, że dzielimy tę samą, dolegliwą kondycję i w jej ramach tworzymy narażoną na takie same przeciwności i jednakowo „upadłą” wspólnotę, jest ironia.

2.1. Ironia

W twórczości Wittlina użycie ironii odgrywa niezwykle istotną rolę. Dotyczy to zwłaszcza *Soli ziemi*, który to utwór – jak pisze Zoya Yurieff – „nie tylko należy uważać za powieść w znacznej mierze ironistyczną, lecz można nawet zaliczyć ją do kanonu ironistycznej literatury”¹⁰. W *Soli ziemi* ironia występuje w wielu odmianach (ironia

¹⁰ Z. Yurieff, *Józef Wittlin*, tłum. M. Szczubiałka, Izabelin 1997, s. 91.

sytuacyjna i werbalna, ironia naiwna i ironia pochodząca z poziomu narratora powieści); ważniejsze od klasyfikowania jej jest jednak ustalenie, do czego służy. Przeanalizujmy konkretny fragment tekstu. Mowa jest w nim o tym, jak huculscy rekruci, wjeżdżając pociągiem na Węgry, prowadzą rozmowę na temat tego kraju i jego mieszkańców, szczególnie zaś ich miejsca wśród narodów CK monarchii oraz ich konfesyjnej przynależności.

Długo dysputowano na tematy religijne. W końcu i Piotr dał się przekonać, że Madziarzy wcale nie są katolikami. W skrytości serca cieszył się nawet z tego, gdyż zrozumiał ostatecznie, dlaczego w tym przeklętym kraju cesarz Franciszek Józef jest tylko królem. Jednocześnie wyjaśniła mu się zagadka pochylego krzyża na koronie świętego Szczepana. Gdzie wiara chrześcijańska upada, tam chyli się i krzyż. Wszyscy krajanie byli bardzo dumni z posiadania aż dwóch argumentów własnej wyższości nad Madziarami. Raz – jako ludzie cesarscy, po wtóre – jako prawowierni katolicy (SZ 164).

Wielowarstwową ironię zawartą w tym fragmencie warto analizować, rozpoczynając od jej poziomu najlepiej widocznego. Narrator ironicznie traktuje Piotra i jego współrozmówców, którzy ewidentnie niedouczeni, popadają w oczywiste błędy merytoryczne (twierdzenie, że „Madziarzy wcale nie są katolikami”), a na ich podstawie formułują konkluzje zupełnie już kuriozalne, choć ubrane w dostojną formę wnioskowania („gdzie wiara chrześcijańska upada, tam chyli się i krzyż” w odniesieniu do kształtu insygniów monarchicznych Węgier). Nazywając rozmowy niepiśmiennych w większości rekrutów „dysputą”, podkreśla narrator swój ironiczny dystans wobec ich intelektualnych możliwości i wobec kierującego nimi ewidentnego, choć nieuzasadnionego niczym poczucia wyższości nad Węgrami („Wszyscy krajanie byli bardzo dumni z posiadania aż dwóch argumentów własnej wyższości”). Takie wykorzystanie ironii – nakierowanie jej ostrza w stronę bohatera – przywodzi na myśl tradycję heroikomiczną (*Sól ziemi* to powieść nawiązująca swą strukturą do epepei¹¹) i służy oczywiście postawieniu Piotra i jego towarzyszy w humorystycznym świetle. Jednocześnie to właśnie w tym miejscu ironia rozszerza nieco swój zakres i każe odbiorcy (zapewne bardziej wyedukowanemu niż Huculi) przyjąć

¹¹ Ł. Tischner, „*Sól ziemi*”, czyli tęsknota do eposu [w:] *Etapy Józefa Wittlina*, s. 13–40.

do wiadomości, że potrzeba „wyższości” jest silnym i niezwykle uniwersalnym motorem ludzkiego myślenia i wartościowania. Po namyśle zaś odbiorca zauważy w komentowanej scenie jeszcze jeden ważny komponent związany z ironią. Pozorny tryumf intelektualny Huculów wpędza ich samych w sytuację ironiczną: czują się wprawdzie „lepsi” od Madziarów, co niewątpliwie poprawia ich samopoczucie, jednak w tej sytuacji – ludzi masowo wysyłanych na front – nie ma to przecież większego znaczenia. Także ten moment ironii narratora bardzo łatwo można zuniwersalizować i nie tylko odnieść do realiów świata przedstawionego, lecz także dostrzec w nim ironiczną przestrożę kierowaną do czytelnika. Każdy bowiem człowiek, niezależnie od własnych wyobrażeń o swojej wyższości nad bliźnimi (Madziarami czy kimkolwiek innym), w istocie jest w swojej kondycji bliźniaczo podobny tamtym, od których czuje się lepszy: tak samo śmiertelny, podatny na zło i zranienie, bezradny wobec zasadzek i niespodzianek niesionych przez los. Takie użycie ironii, które polega na wskazaniu egzystencjalnego podobieństwa między ludźmi (podobieństwa, koniec końców, łączącego także czytelnika z niepiśmiennym bohaterem powieści), pozwala Wittlinowi osiągnąć szczególny efekt etyczny. Za sprawą ironii buduje się tu poczucie egzystencjalnej wspólnoty kondycji ludzkiej, której marności i tragizm znosi się właśnie z ironią, i zamiast rezygnacji czy rozpaczki proponuje się empatię wobec innych ludzi, od których w istocie tak niewiele nas przecież różni¹².

Narrator-ironista w *Soli ziemi* myli tropy, podpowiada sprzeczne wewnętrznie rozwiązania, głosy narratora i bohatera zaś często nie dają się ze sobą uzgodnić. Ironia służy Wittlinowi do tego, by każdy z czytelników jego powieści zmuszony był samodzielnie odpowiedzieć sobie na pytanie o własny stosunek do tego, o czym się opowiada. Podobnie w wielu innych utworach – choć już niekoniecznie w związku z ironią, ale także na skutek stosowania szeregu innych zabiegów, takich jak wielogłosowość (jej ciekawe przykłady znaleźć można między innymi w utworach *Trwoga przed śmiercią*,

¹² Podobnie skonstruowana jest ironiczna sytuacja w wierszu Wittlina *Moja pieśń myśliwska*, choć tam wewnętrzna uczciwość i etyczny namysł skłaniają podmiot liryczny do upatrywania podobieństw nie tylko między ludźmi, ale także między ludźmi a zwierzętami.

Przedśpiew czy *Psalm*) czy paradoks (obecne w takich wierszach jak *Skrucha w Asyżu*, *Poeta emigracyjny*) – skłania Wittlina do samodzielności w zakresie dokonywania ocen i wartościowania, a przez to do ujawnienia przed samym sobą przyjmowanych kryteriów aksjologicznych i etycznych. Swoje dzieła komponował tak, by przeciwstawić się wszelkiej jednoznaczności właśnie w imię moralnej mobilizacji swych czytelników, za pomocą ironii i pokrewnych jej środków literackich zbliżając się do tak zaprojektowanego ideału:

Jednoznaczna postawa wobec życia jest zaprzeczeniem wszelkiego tragizmu, a to, że twórca liczy się ze swoim tragizmem, jest największą koncesją, jaką może dać publiczności.

[...]

Nie należy żadnego człowieka pozbawiać możliwości uczestniczenia w dramacie i odnalezienia się w nim. A pozbawiamy go tego, stawiając jednoznacznie sprawy, które go najbliższej obchodzą (*Pusty teatr*, OWP 434–436).

Czytelnik bowiem, jeśli zechce potraktować serio czytany esej czy wiersz, zrozumie, że nie dokonują one za niego wartościowań ani nie pozwalają udzielić jakiegokolwiek ostatecznej odpowiedzi na któryś z „przeklętych problemów” ludzkości. Twórczość Wittlina to ten rodzaj literatury, który – w imię racji moralnych – nie może służyć uproszczeniu rzeczywistości, uśpieniu, ukołysaniu odbiorcy ani też podaniu gotowej odpowiedzi na nękające go pytania. Znakomicie jednak ćwiczy ona czytelnika w cnocie czujności, empatii, nieustannego zapytywania siebie o kryteria, jakim się kieruje, a tym samym – przygotowuje do moralnej troski o siebie i otaczający go świat.

Realizacja takiego projektu artystycznego skutkowałą niekiedy odważnym przełamywaniem konwencji literackiej, jak w przypadku Wittlinowskiej eseistyki podróźnej, w której autor świadomie zerwał z techniką wypróbowaną w reportażu podróźniczym¹³. Zamiast wzorem wielu współczesnych, w tym twórców tak zwanej szkoły polskiego reportażu, prezentować odbiorcy „świat bez tajemnic”, Wittlin w esejach podróźnych wskazywał z pokorą na będące

¹³ Por. W. Ligęza, *Etapy ciekawości – etapy refleksji. O sztuce podróżowania Józefa Wittlina* [w:] *Etapy Józefa Wittlina*, s. 170–171.

udziałem podróżnika mozolne zdobywanie doświadczenia i mądrości oraz potrzebę rozwoju wewnętrznego, nie zaś pragnienie uzyskania pewnej i powierzchownej wiedzy o zwiedzanych miejscach czy doznania obowiązkowych zachwyty nad wspaniałościami turystycznymi zachwalanymi przez przewodnik. Dla „fałszywego reporter” – jak sam siebie autoironicznie nazywał Wittlin w esejach, otwarcie deklarując własną nieprzystawalność do konwencji „wszystkowiedzącego” autora reportażu – nic nie jest oczywiste, nawet zadekretowane przez autorów przewodników oraz historię sztuki piękności. Wszystko zaś może posłużyć jako punkt wyjścia dla – ironicznego wobec wszelkich stereotypów i uproszczeń – wskazania, że rzeczywistość bywa najczęściej bardziej skomplikowana, niż chciałby tego jej przewodnikowy opis.

2.2. Miejsce mitu

We wstępie do pierwszego wydania swego przekładu *Odysei* (1924) Wittlin notował:

Nigdy może ludzkość nie czuła się tak bardzo Odysem, jak dziś, po tej długiej i ciężkiej wojnie, kiedy tęsknoty jej były tak bardzo głośne i tak bardzo bolesne (ST 5).

Zdaniem tłumacza lektura *Odysei* pomaga ludzkości, zagubionej w wojennym i powojennym chaosie (i tym fizycznym, i tym aksjologicznym), odnaleźć w świecie jakikolwiek, choćby „zapożyczony” z mitu porządek. O własnych doświadczeniach – tłumacza, ale przede wszystkim czytelnika Homera w dwudziestowiecznej rzeczywistości – pisał Wittlin w wierszu *Elegia do Homera (na ukończenie przekładu „Odysei”)*:

O ślepy, biedny mój bardzie –
 co nawet nie masz dowodu
 Na to, żeś istniał – w pogardzie
 grążyłem ciebie za młodu!

[...]

Aż raz w wojskowym szpitalu,
 na jakiejś straszliwej wojnie,
 Mówiłeś do mnie spokojnie
 o tym, że miasta się palą.
 Płynęła krew.

[...]

tej najdawniejszej formy literackiej, usiłującej wytłumaczyć świat i ubrać go w zrozumiałe dla ludzi pojęcia. Pisarstwo Wittlina jest nieustannym aktualizowaniem literackiej przeszłości w poszukiwaniu takich sposobów mówienia, jakie zdolne byłyby uchwycić doświadczenie współczesne, jednocześnie uniwersalizując je i uogólniając. Pisarz wielokrotnie sięgał do dawnych gatunków (hymn, psalm, epos¹⁴), wchodząc w dialog z tradycją, w której poszukiwał nieodmiennie tego samego, co niegdyś odnalazł w *Odysei*: prawdy o ludzkim losie, uogólnionej, a jednocześnie zawsze obowiązującej. Tym tropem zdążył także we własnej twórczości. Chciał mówić o tym, co uniwersalnie ważne, zarazem nie tracąc z oczu pojedynczego człowieka; pisać tak, by każdy odnalazł w jego pisarstwie swoje własne istnienie. Dzięki takiej perspektywie udaje się również Wittlinowi podziwiana w dziele Homera sztuka „mówienia spokojnie” o ludzkich dramatach i nieszczęściach, które trwają niezmiennie co do swej istoty od stuleci. To pozwala wyjaśnić, dlaczego *Sól ziemi*, pozbawiona złudzeń książka o wojnie i tragicznych w skutkach mechanizmach rządzących nowoczesną cywilizacją, to zarazem arcydzieło klasycznej epiki, „jedna z najlepiej skonstruowanych i zrównoważonych próz w języku polskim”¹⁵.

Wśród wielości dzieł plastycznych i literackich otrzymanych w spadku po minionych wiekach Wittlin szczególnie cenił te, które zdolne są oddziaływać na odbiorców tak, jak *Odyseja*, odgrywając podobną do niej rolę „mityzacyjną”: nie tyle „zaczarowując” świat, ile pomagając mierzyć się z nim za pomocą uniwersalnie ważnych opowieści, wyjaśniających jego naturę i umożliwiających odnalezienie się w nim. Sztuka i literatura pozostają dla niego ważne o tyle, o ile za pomocą takich właśnie mitycznych struktur pozwalają człowiekowi mierzyć się z własnym losem:

Albowiem świat zawsze wygląda tak, jak nam go przestawiają wielcy poeci, a nie – reporterzy. Jakim go widzieli El Greco, Rembrandt, Cézanne, a nie – fotografowie (OWP 591).

¹⁴ Zestawienia *Soli ziemi* z eposem dokonał Łukasz Tischner, zob. tegoż, „*Sól ziemi*”, czyli *tęsknota do eposu* [w:] *Etapy Józefa Wittlina*, s. 13–40.

¹⁵ List Witolda Gombrowicza do Józefa Wittlina z 7 września 1956 roku; zob. *Gombrowicz. Walka o sławę. Cz. 1. Korespondencja Witolda Gombrowicza z Józefem Wittlinem, Jarosławem Iwaszkiewiczem, Arturem Sandauerem*, oprac. J. Jarzębski, Kraków 1996, s. 81.

Sam Wittlin zainteresowany był – podobnie jak malarze, o których tu wspomina – tym, jak świat „zawsze wygląda”, a nie portretowaniem jego takiej czy innej, dziejowo uwarunkowanej odsłony. W tym także przejawia się pisarska odpowiedzialność za czytelnika, któremu dzieło literackie ma pomóc skonfrontować się z własnym losem oraz sprostać wpisanym w ten los (jak w każdy los ludzki) wyzwaniom moralnym. Tak pomyślana literatura nie jest formą ucieczki od świata – przeciwnie: jak mit związana jest z życiem i próbuje nieustannie odpowiadać na ludzką rzeczywistość, zarazem przekraczając ją, gdyż stanowi do niej etyczny komentarz.

Rozdział III

„Świecie! Ty – moja ojczyzno!”

Interpretacje wybranych utworów

I. *Ból drzewa*. Dramat kozła ofiarnego

Ogłoszony po raz pierwszy w tomie *Hymny* utwór reprezentuje nieczęstą w twórczości Wittlina lirykę roli¹. Punkt widzenia w wierszu dobrany został w taki sposób, by uniemożliwić utożsamienie się czytelnika z podmiotem mówiącym; zarazem to właśnie ten liryk stanowi wyjątkowy przykład ćwiczenia czytelnika we współczuciu – postawie, która jest głoszona w *Hymnach* jako jedyna bodaj niekwestionowalna zasada etyczna – a także otwiera pole do fundamentalnych rozważań z zakresu etyki i jej granic.

Ból drzewa to jeden z tych utworów Wittlina, w których wyraźnie zostaje wypowiedziane pytanie o sens cierpienia – pytanie bardzo istotne w perspektywie całego tomu *Hymny*, ale w tym wierszu szczególnie niepokojące, gdyż zadawane w kontekście zagadnień religijnych. Podmiotem tekstu jest drzewo, z którego zbudowano Krzyż Święty, a jego opowieść, złożona z relacji o własnym życiu i jego dramatycznym przecięciu się z linią życia Ukrzyżowanego, stanowi głębokie studium wymuszonego współuczestnictwa w złu i duchowej męki kogoś, kto wbrew swojej woli zostaje jednocześnie oprawcą i ofiarą. Quasi-apokryficzna tematyka wiersza wykorzystana została w taki sposób, by postawić problem moralnej odpowiedzialności i moralnego cierpienia „kata mimo woli”, którego całe życie zmienne zostaje za sprawą wymuszonego udziału w morderstwie.

Bohaterem *Bólu drzewa* jest istota czująca (fizycznie i psychicznie) oraz rozumująca zupełnie jak ludzie, niezawiniony oprawca i zarazem współofiara pasji, umierająca razem z ukrzyżowanym Chrystusem. Wydaje się, że personifikowanie drzewa wiązać też można z tradycją pieśniową, ale przede wszystkim z silnie obecnym u Wittlina franciszkańskim przeświadczeniem o duchowym

¹ Interpretację tego wiersza przedstawiłam wcześniej w książce *Nowoczesna literatura etyczna. Wokół twórczości Józefa Wittlina i Pära Lagerkvista*, Poznań 2017, s. 186–190.

wyposażeniu istot stojących niżej od człowieka w porządku stworzenia oraz ich umiejętności odczuwania upokorzenia, radości czy strachu. W świecie przyrody, zmiennych pór roku, dni i nocy drzewo miało swoje miejsce w panującej wokół harmonii: „Przez ciało moje przechodził Duch Boży / I ciszył moje szluchy doskonałe”. Zło, które przejawiało się w owym świecie, nie było w stanie tego porządku naruszyć i tym samym sprawić, by drzewo się zachwiało.

Wiem, co są burze, orkany,
Wiem, co to z wściekłym mocować się wichrem,
Gdy skacząc nadciąga pijany
I tęgie ugina konary,
I chude gałązki łamie!
Ja wiem, ja wiem, bom jest stary:
Znam burzę, a burza zna mię,
Nie to! Nie to!

Drzewo jako bohater spoza ludzkiego świata obdarzone jest w wierszu umiejętnością widzenia i radykalnej oceny tych elementów ludzkiej i ewangelicznej rzeczywistości, które wydają się najbardziej wstrząsające z perspektywy harmonijnego i moralnego porządku lasu. W owym świecie bez ludzi zło przejawiało się, lecz nie było wynikiem czyjś świadomego i zaplanowanego działania. W świecie ludzkim dzieje się inaczej, czego pierwszym dowodem jest stwierdzenie porównujące zgromadzony w Jerozolimie tłum do lasu i wskazujące na różnicę między nimi:

Niosą mnie, niosą i niosą,
I widzę z głów ludzkich las,
Tylko że las ten szalony
Stubarwny jest, nie – zielony,
I krzyczy, i woła: „Już czas!...”

W znanej interpretacji Reného Girarda nowotestamentowi autorzy, świadomi mechanizmu kozła ofiarnego, w tekstach Ewangelii podjęli wysiłek zdemaskowania szczególnego okrucieństwa tworzącej go zasady społecznej². Głos drzewa, który słyszymy w Wittlinowskim wierszu, moment ten akcentuje równie wyraźnie. Nawoływanie tłumy do dokonania kaźni nazwane zostaje „szaleństwem” i jawi się

² R. Girard, *Kozioł ofiarny*, tłum. M. Goszczyńska, Łódź 1991, s. 163–182.

jako biegunowo odległe od harmonijnego porządku przyrody, a ta optyka w relacji drzewa wzmocniona jest kolejnymi elementami opowieści, dotyczącymi cierpienia skazanego na ukrzyżowanie człowieka i jego matki. „Szaleństwo” skazującego na śmierć tłumu najbardziej uzmysławia moment wystąpienia tłumu drzew w obronie swego pobratymca, analogiczny do nowotestamentowej sceny nawoływania tłumu do ukrzyżowania Chrystusa (por. Mt 27,22–23; Mk 15,13–14; Łk 23,21). Scena ta zawdzięcza swą siłę właśnie całkowitemu odwróceniu ról, z mocą przekreśla funkcjonujący w ludzkim świecie mechanizm kozła ofiarnego.

Chciałem zakrzyczeć ze wstydu:
To memu ciału ubliża!
To memu sercu ubliża!
(Bo drzewo ma serce.)
Zdjąć Go z krzyża!
Alem był trup.

Lecz w lesie mym, macierzystym,
Ozwały się zaraz chórem wszystkie drzewa,
[...]
– To naszym ciałom ubliża!
– To naszym sercom ubliża!
– Zdjąć Go z krzyża! Zdjąć Go z krzyża!
– To naszym rękom ubliża!
– Nie będzie On krzyżowany!
– Zdjąć Go z krzyża! Zdjąć Go z krzyża!...

Bezpośrednią przyczyną wystąpienia są cierpienia drzewa, które w niezawiniony sposób stało się nie tylko ofiarą (o czym świadczą obszerny opis ścinania drzewa i budowy krzyża oraz konsekwentne określanie ściętego drzewa słowem „trup”), ale także narzędziem męki niewinnego człowieka – w dodatku narzędziem, które nie ma szans w etycznym, cechującym drzewa porządku myślenia zasłużyć na wybaczenie czy usprawiedliwienie. Poruszona została w ten sposób problematyka etycznej niezgody na udział w złu i tragizmu istoty do takiego milczącego współudziału zmuszonej. Ta perspektywa pojawia się w *Hymnach* wielokrotnie, gdyż stanowi ważny element rozważań o przymusowym uczestnictwie w wojnie (formułowanych między innymi w *Grzebaniu wroga*), jednak w komentowanym wierszu Wittlin, sięgając do sytuacji archetypicznej, czyni przedmiotem

uwagi całkowitą rozbieżność porządków: religijnego i etycznego, które wzajemnie się wykluczają i pomiędzy którymi nie ma mediacji. Z religijnego punktu widzenia Chrystus jest Zbawicielem, z etycznego – niewinną ofiarą; z religijnego punktu widzenia drzewo jawi się jako święte narzędzie Męki Pańskiej (jak w tradycyjnych pieśniach wielkopostnych), z etycznego – jako budzące grozę narzędzie tortur.

Scena protestu drzew nie tylko uzmysławia zatem moralną wyższość pierwotnego świata przyrody nad światem ludzkim (co byłoby znakiem franciszkanizmu pojmowanego dość hasłowo i w istocie areligijnie), ale przede wszystkim każe zadać pytanie o sens ofiary, która dla moralnie rozumujących istot jest skandalem i obelgą, sprzeczną w dodatku z cechującą nowoczesne myślenie tendencją do minimalizowania cierpienia³. Trzeba zauważyć, że nigdzie w wierszu nie pojawia się określenie „ofiara” i że jego brak w relacji drzewa, oznaczający nieobecność tego pojęcia w niewinnej, pierwotnej świadomości podmiotu, wskazuje, że w ramach etyki drzewa i jego „braci-buków” ten mechanizm nie istnieje. Pytaniem otwartym pozostaje wszelako, czy dzieje się tak dlatego, że etyka drzew przerasta wyposażenie ludzi w tym zakresie (jak w koncepcjach podbudowujących ekspresjonistyczny prymitywizm), czy też dlatego, że drzewa niezdolne są ujrzeć zdarzeń z Golgoty w perspektywie religijnej? Druga z tych możliwości nie może zostać łatwo odrzucona, o czym świadczy finał wiersza:

Precz mnie z tej góry zabrano
I gdzieś za miastem ciśnięto.
[...]
I zgnilem.

A On zmartwychwstał –
Mówi wieść.

Tak komponując swój szczególnie apokryficzny wiersz, Wittlin zwraca uwagę odbiorcy na zagadnienie optyki lektury świętych tekstów: możliwą lekturę Pasji Chrystusa w kategoriach etycznych (czy wolno skazać kogoś na śmierć, a inne żywe stworzenie uczynić biernym narzędziem zadawania bólu?) konfrontuje z sygnalizowaną jedynie,

³ Por. C. Taylor, *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej*, tłum. M. Gruszczyński, O. Latek, A. Lipszyc i in., naukowo oprac. T. Gadacz, wstęp A. Bielik-Robson, Warszawa 2012, s. 27–28.

ale obecną w tekście perspektywą religijną (cierpienie ofiary ma charakter zbawczy i prowadzi do nieśmiertelności). W wierszu dokonane zostaje zatem fundamentalne odróżnienie postawy etycznej i religijnej, bliźniacze wobec odróżnienia zaproponowanego przez Sørensa Kierkegaarda w odniesieniu do sytuacji Abrahama⁴. Pytanie zaś o zło fizyczne i jego miejsce w porządku świata to w istocie przedłużenie tych rozważań, zmusza ono bowiem do rozstrzygnięcia, czy możliwe jest zawieszenie etyki na rzecz spojrzenia religijnego oraz kto właściwie zdołałby dokonać we własnym sumieniu takiego zawieszenia.

W wierszu, który przyjmuje – z racji statusu podmiotu mówiącego – optykę etyczną (areligijną), zostaje zdemaskowany mechanizm kozła ofiarnego (rządy bezmyślnego i okrutnego tłumu), ale przede wszystkim zanegowana jest cała koncepcja ofiary przebłagalnej. Jawi się ona jako skandal moralny – nie tylko z powodu grozy pozbawiania życia niewinnej ofiary, lecz także z powodu absurdu współcierpienia w ten sposób zaistniałego. Z tej perspektywy wypowiedziane bez emfazy słowa wieńczące monolog drzewa wskazują na wyjątkowo ironiczną okoliczność.

Nazajutrz, nazajutrz rano
 Precz mnie z tej góry zabrano
 I gdzieś za miastem ciśnięto.
 Ja – drzewo, drzewo skrwawione,
 Gniję od lat w głębi ziemi,
 A ta ziemia jest święta!

W oczach jednostki etycznej na ironię zakrawa bowiem okoliczność, że ziemia, na której doszło do skandalu niewinnej śmierci i w której rozkłada się „trup” niewinnej istoty moralnie pohańbionej, nazwana może być świętą. Porządki świętości usankcjonowanej przez

⁴ Por.: „Opowieść o Abrahamie zawiera teleologiczne zawieszenie etyki. [...] Nad Abrahamem zaś płakać nie można. Człowiek zbliża się doń z uczuciem *horror religiosus*, z jakim Izrael zbliżał się do góry Synaj. [...] W jaki sposób egzystował więc Abraham? Wierzył. Taki jest paradoks, który stawia sprawę na ostrzu noża i którego Abraham nie może wyjaśnić żadnemu człowiekowi, gdyż to paradoks, że jako jednostka stawia się w absolutnym stosunku do absolutu. Czy ma prawo tak postąpić? Jego uprawnienie to znowu paradoks; posiada on bowiem już je nie jako coś powszechnego, ale dlatego, że jest jednostką”. S. Kierkegaard, *Problemat I. Czy może istnieć teleologiczne zawieszenie etyki?* [w:] tegoż, *Bojaźń i drżenie. Choroba na śmierć*, tłum. J. Iwaszkiewicz, Warszawa 1969, s. 58–59, 64–65.

instytucjonalną religię oraz tego, co etyczne, rozmiągają się, a widoczne jest to najlepiej z perspektywy istoty „wykluczonej” z religii⁵. Jak wynika z wiersza, etyka nie jest w stanie odpowiedzieć na wszystkie sytuacje egzystencjalne, w których człowiek może się znaleźć. Przyjęcie zaś porządku religijnego, czyli uwierzenie w świętość i religijne znaczenie ofiary, skazuje jednostkę na ostateczną samotność we własnych wyborach. Jak pisał (doskonale znany Wittlinowi) Kierkegaard: „temu, kto kroczy uciążliwą ścieżką wiary, nikt nic nie może poradzić, nikt go nie może zrozumieć”⁶.

2. *Kolysanka dla mojej córki. Nie widzieć, nie słyszeć...*

Wyobrażam sobie, że widniejąca pod wierszem adnotacja – 1933 – została poczyniona przez poetę na podobnej zasadzie, na jakiej wpisujemy czasem dokładne daty do albumów z fotografiami. Liczymy na to, że dzięki temu łatwiej nam będzie po latach pamiętać, kiedy jakieś zdarzenie miało miejsce; poeta miał zaś, być może, nadzieję przypomnieć sobie w przyszłości, że do napisania wiersza rzeczywiście zainspirowało go niegdyś jego maleńkie wówczas dziecko. Los bywa jednak przewrotny: dla dzisiejszego czytelnika ta najściślej „prywatna” data spod wiersza to rok dojścia Hitlera do władzy w Niemczech i początek politycznej drogi ku hekatombie drugiej wojny światowej. Kładąc pod wierszem datę roczną, Wittlin nie mógł wiedzieć, że „fala czasu”, na której płyną i jego dziecko, i on sam, i wszyscy mieszkańcy Polski i Europy, zmierza ku historycznej tragedii, a rok powstania wiersza wyznacza mroczną cezurę. To, co z dzisiejszej perspektywy stanowi część smutnej wiedzy o świecie, wówczas (w roku 1933) jawić się mogło najwyżej jako materia przeczuć i mało jeszcze konkretnych obaw – znajdujących wyraz w katastroficznym nurcie poezji lat 30., a w dziele Wittlina (przekonanego o konfliktogennym charakterze porządku europejskiego w międzywojniu oraz świadomego ówczesnych problemów społecznych) ujawniających się niekiedy w eseistyce i prozie⁷.

⁵ Podobnie jak drzewo z komentowanego wiersza, taką istotą jest także baran z dużo późniejszego wiersza Wittlina *Lament barana ofiarnego* (który sam ujmuje to drwiąco: „mój strach nieważny – bo ja nie mam duszy”, PJW 144).

⁶ S. Kierkegaard, *Problemat I...*, s. 71.

⁷ Na przykład w eseju *Ze wspomnień byłego pacyfisty* pisał Wittlin: „Pokój przedwojenny

Przypominam tę okoliczność, gdyż *Kołysanka dla mojej córki* jest tekstem, który kieruje myśl czytelnika ku zagadnieniu świadomości i nieświadomości, nie w perspektywie dziejów wprawdzie, lecz w wymiarze pojedynczego ludzkiego życia. Jest to wiersz o dziecięcej niewinności, która polega na nieświadomości istniejącego w świecie zła, wydarzających się bezceństw, dokonującego się nieustannie okrucieństwa. Zarazem – wiersz mówiący o nieodwołalnym charakterze przejścia ze stanu niewinności do stanu wtajemniczenia w zło świata.

Pierwsza część utworu poświęcona jest światu dziecka, jego spokojnej, nieświadomej egzystencji, obserwowanej i komentowanej przez podmiot, którym (jak wiemy z tytułu) jest kochający ojciec. Adresuje on swoją wypowiedź do dziecka, choć – z racji na małość córki – nie liczy oczywiście na intelektualne zrozumienie ani tym bardziej na rzeczową odpowiedź. Kołysankę nuci się po to, by dziecko zasnęło, uspokoiło się, i taki też kojący, „usypiający” charakter ma – na pierwszy rzut oka przynajmniej – początkowy fragment:

Dla ciebie, jasna, zielone banany
Czarnymi rękami zrywają Murzyni,
Dla ciebie płyną przez oceany
Ładowne statki do Gdyni.

Ty śpisz – i nic o tym nie wiesz.

Przywołane zostały tu mityczne opowieści dzieciństwa: o statkach wiozących dla dziecka owoce z egzotycznych krain, o bezpieczeństwie i dostatku spokojnych, jasnych dni, wypełnionych łagodnością i ciszą. W kolejnej strofie do tego sielankowego repertuaru przyłączony zostaje jeszcze jeden element: wspomnienie o krowim mleku, nakazujące myśleć o fizycznym cieple, smakowych i haptycznych, przyjemnych doznaniach związanych z dzieciństwem i budujących jego sielską atmosferę. Druga zwrotka jednak wprowadza do wiersza moment niepokojący, który odtąd przybierać będzie na sile, a który związany jest z ujawnieniem się świadomości dorosłego podmiotu mówiącego:

i obecny, zwany powojennym, jakkolwiek ze względu na przyszłą wojnę powinien raczej nosić nazwę przedwojennego” (OWP 84).

Każdego rana, nim zorza na niebie
 Rozgromi wojska mroku w krwawym boju –
 Gdzieś tam, daleko, bielutkie mleko
 Dla ciebie doją.

A ty się ze snu uśmiechasz.

Niepokojąca jest obecna w tej strofie metaforyka wojenna („rozgromi wojska [...] w krwawym boju”), uzasadniona wprawdzie tradycją literacką („pasowanie się” dnia z nocą, któremu towarzyszą świetlne efekty zorzy i brzasku, niekiedy obfitujące w „krwawą” kolorystykę, opisywał między innymi Adam Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*), niemniej wprowadzająca do kołysanki elementy groźne, niepasujące do konwencji gatunku, a mające swe źródła w wiedzy o świecie, którą dysponuje „dorosły” podmiot tekstowy. Wyraźne staje się tutaj przeciwstawienie idyllicznego świata śpiącego dziecka (krowa, mleko, uśmiech) i groźnej rzeczywistości (bój, wojsko, krew). Dopiero gdy z tej perspektywy wróci się do strofy pierwszej, dostrzeże się także i w niej załączki tej dychotomii: „jasnej” córeczce odpowiada tam obraz „czarnych rąk” murzyńskich, co w pierwszej chwili może wydawać się po prostu próbą wykorzystania w obrazowaniu wierszowym nazw kolorów (pojawiają się tam także „zielone banany”), po namyśle wszakże dorosły czytelnik (bo nie małeńka adresatka wiersza) przypomni sobie zapewne, że czas powstania *Kołysanki dla mojej córeczki* to czas kolonialnego wyzysku w Afryce i segregacji rasowej w Stanach Zjednoczonych.

Ta sama dychotomia pojawia się w trzeciej zwrotce, znów za sprawą metaforyki batalistycznej:

Niezrozumiałe dźwięki jak pociski
 Biją w forteczne wały twjej kołyski –
 Pancierz niewiedzy twą duszę osłania
 Łagodną ciszą jak troskliwa niania.

„Wały kołyski” i „pancerz niewiedzy” bronią dziecięcego spokoju przed „pociskami” tego wszystkiego, co nieznanne – gwarantują trwanie bezpiecznego, nieświadomego świata dziecka. Świat ten jednak jest nietrwały: nie ulega na skutek jednorazowego, gwałtownego szturm, lecz poddać musi się działaniu czynnika, któremu poddane jest wszystko na ziemi: I płyniesz na fali czasu.

To właśnie dlatego, że bieg czasu nieubłaganie zmienia niemowlę w dziecko, a dziecko – w dorosłego, czwarta strofa wyraża świadomość, że „sen” córeczki zostanie na pewno przerwany. Tak dzieje się z każdym snem, którego końcem jest przebudzenie, choć człowiek może mieć nadzieję, że szczególnie piękne marzenia senne powrócą do niego któreś z kolejnych nocy. Do snu dzieciństwa – snu niewinności, nieświadomości, niewiedzy – nie ma jednak powrotu; raz przerwany, nie przyśni się on już nigdy.

Zanim cię ze snu aniołów obudzi
Skarga bolesna białych jak ty – ludzi,
Nim bity w rzeźni wół tobie zarzyczy,
Nim poznasz gorycz wszelkiej słodyczy –

Śpij i o niczym nie wiedz.

Raz usłyszawszy skargę ludzką na niesprawiedliwość i krzywdę, pojawiający się, na czym polega władza człowieka nad światem zwierząt (temat, który Wittlina zajmował szczególnie silnie, także w perspektywie franciszkańskiej), doznawszy radości okupionej wysiłkiem lub bólem – dziecko zrozumie prawdziwą naturę świata i stanie się dorosłe. *Kołysanka dla mojej córeczki* jest dziełem wyjątkowym: usypiając dziecko, przypomina dorosłemu o zasadniczych problemach egzystencjalnych i o tym, że ucieczka od nich jest niemożliwością (to właśnie w tym sensie, jak pisze Katarzyna Wądolny-Tatar, kołysanka może być gatunkiem „wzmacniającym antynomie egzystencji”⁸, czego przykładów dostarcza zwłaszcza poezja okresu wojny – ale i antycypująca ją w jakiś sposób poezja Wittlina). Kochający rodzic nie jest w stanie uratować dziecka przed tym, co nieuchronne – przed „grozą będącą prawdą naszego istnienia”⁹. Może jednak – jak chyba jest to zamiarem zatroskanego o niewinność córeczki podmiotu wiersza Wittlina – tak długo, jak to możliwe, dbać o spokojny sen swojego dziecka, a później towarzyszyć z miłością nieuniknionym „przebudzeniom”, wciąż nucąc kołysankę, która wprawdzie nie uspi, lecz nie pozwoli pozostać samotnym wobec napotkanego zła.

⁸ K. Wądolny-Tatar, *Kołysanka w liryce XX i XXI wieku. Emergencja gatunku literackiego*, Kraków 2014, s. 146.

⁹ J. Wittlin, *Raptus Europae*, kopia maszynopisu – Cyfrowe Archiwum Józefa Wittlina, Biblioteka Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Stan, kiedy ktoś „śpi i o niczym nie wie”, frapował Wittlina. Poeta był autorem polskiego przekładu znanego czterowiersza Michała Anioła Buonarrotiego *Odpowiedź w osobie nocy*. Podmiotem mówiącym jest tutaj posąg Nocy, czyli rzeźba z nagrobka Medyceuszy w kaplicy przy bazylice San Lorenzo we Florencji, dłuta Michała Anioła:

Nie budź mnie, nie przerywaj mi błogiej rozkoszy
 Snu, tym błodziejszej, że jestem z kamienia.
 O, nie słyszeć, nie widzieć tej hańby istnienia!
 Mów ciszej, niech twe słowo mego snu nie ploszy.
 (PPJW 9)

Diagnoza, jaka tutaj pada, jest jednoznaczna. „Nie słyszeć, nie widzieć tej hańby istnienia!” to stan największej łaski, moment spokoju, „błogiej rozkoszy”. Stan taki jest normalny dla pozbawionej życia kamiennej rzeźby – i, jak wynika z *Kołysanki dla mojej córeczki*, dla niewinności wieku dziecięcego. Szczęście dzieciństwa, nietrwale i niepowtarzalne, na tym między innymi polega.

O tym, by „o niczym nie wiedzieć”, marzą też bohaterowie Wittlinowskiej *Kołysanki*, ludzie udręczeni grozą ogarniętego wojną świata, do których podmiot zwraca się ze słowami pociechy:

Lica wam pogłaska,
 Wypogodzi czoła
 Dobrego anioła
 Łaska.

 Cicho, cichuteńko
 Powieki wam stuli,
 Nie będziecie czuli
 Nic.
 (*Kołysanka*, PJW)

Kołysanka dla mojej córeczki wyjaśnia jednak, że powrót „dorosłej” świadomości do stanu dziecięcej niewiedzy i niewinności jest niemożliwy. „Fala czasu” unosi nas ze sobą i nie pozwoli nikomu z żywych zaznać ponownie spokoju i błogości, które zarezerwowane są dla dzieci, nieświadomych – do czasu – istnienia zła.

Niewinność dziecka, której podstawą jest właśnie niewiedza o złu, to temat literacki eksplorowany szczególnie intensywnie przez ojców-poetów. Kilka lat po powstaniu *Kołysanki dla mojej córeczki*

Konstanty Ildefons Gałczyński napisał wiersz *Wielkanoc mojej córki*, który w znaczących punktach bardzo przypomina komentowany tutaj utwór. Córka z wiersza Gałczyńskiego też „o niczym nie wie”, choć świat (co znamienne, w liryku określony jako „groźny świat”) przeżywa właśnie wspomnienie Męki i Zmartwychwstania.

Brzdąc o niczym nie wie,
„Njam – njam” mówi ledwie
i na nóżkach paluszki liczy.

Toć niecały roczek!
Wózek, soczek, smoczek
to jej świat jest złoty, tajemniczy¹⁰.

Dorośli podmiot w wierszach Wittlina i Gałczyńskiego – ojciec córeczki – najsilniej przeżywa w swoim kontakcie z dzieckiem zdumienie istnieniem świadomości tak zupełnie odmiennej od własnej: niewinnej, niedostrzegającej tego, co stanowi o groźbie ludzkiego życia. Zrodzona z tego przeżycia *Kołysanka dla mojej córeczki* to (do pewnego stopnia wbrew tytułowi) piękny wiersz elegijny w nowożytnym rozumieniu terminu: stanowi poetycką refleksję o przemijaniu, o odchodzeniu dzieciństwa i o egzystencjalnej prawdzie, że każdy człowiek musi w pewnym momencie swego życia mężnie i pokornie skonfrontować się ze złem.

3. *Sól ziemi* – scena przysięgi wojskowej. Ironia i współczucie

Sól ziemi od początku uważana była za powieść o wymowie pacyfistycznej. Klasyfikacja ta jest oczywiście słuszna, warto jednak zwrócić uwagę, że dla przeciwstawienia się wojnie Wittlin nie wysyła swego bohatera na front. Dogłębna krytyka mechanizmów wojennego świata w *Soli ziemi* zasadza się na analizie uprzedmiotowienia człowieka, które dokonuje się w armii, zanim jeszcze żołnierz otrzyma do ręki broń. Pozbawienie ludzi własnej woli i cech charakteru, zrównanie ich ze sobą i wyrzucenie z wszelkiej podmiotowości, będące udziałem rekrutów, jest w istocie uwerturą do faktycznych działań frontowych: tylko żołnierze od dawna już niemający własnej tożsamości, a jedynie tożsamość wojskową sprostają w przyszłości nieludzkim okolicznościom walki na

¹⁰ K.I. Gałczyński, *Wielkanoc mojej córki* [w:] tegoż, *Poezje*, Kraków 1992, s. 436.

śmierć i życie. Narzędziem służącym Wittlinowi do ukazania tych mechanizmów jest ironia.

Jedną ze scen powieściowych, które znakomicie ilustrują proces zatrąty jednostki w wojskowym rytuale, jest scena przysięgi wojskowej. Ci spośród poborowych, którzy pomyślnie przeszli badanie lekarskie i zostali uznani za zdatnych do walki, zgromadzeni zostają w szkolnej sali gimnastycznej, gdzie złożyć mają przysięgę wierności cesarzowi. Narrator od początku odnosi się do tej sytuacji z głęboko ironicznym dystansem:

Tutaj, gdzie na żółtych drabinkach, drążkach i trapezach wyrabiano dzieciom siłę, miały dostęp jedynie te ciała, których zdrowie stwierdziła komisja. Lecz nie w celu wypróbowania siły i zwinności sprowadzono tych ludzi do sali gimnastycznej. Tu chodziło wyłącznie o dusze. Albowiem cesarz Franciszek Józef uznawał w człowieku nie tylko cielesną powłokę. Nie był wyznawcą doktryny materialistycznej ani zwolennikiem teorii Haeckla. Hołdował dualizmowi i najędźniejszym ze swych poddanych, najciemniejszemu Hucułowi nawet nie odmawiał posiadania duszy. Zależało mu wszelako na porządku. Osobno brał ciała, a osobno dusze. To są dwie różne rzeczy i nie wolno ich mieszać. W gmachu powiatowej komendy uzupełnień nabywano dla cesarza ciała, tu [...] – dusze. Ciała – pojedynczo, dusze – zbiorowo (SZ 85).

Narrator zwraca najpierw uwagę na „ironiczny stan rzeczy” w świecie przedstawionym, na ironię losu, która rytuału związanego z duszami rekrutów (przysięgi na wierność cesarzowi w imię Boże) każe dokonać akurat na sali ćwiczeń. Następnie sam wygłasza ironiczny komentarz, wskazując na fakt, że cesarz wysyłający żołnierzy na śmierć w okopach (czyli, z punktu widzenia chrześcijaństwa, zatrąty duszy i ciała) jest – wiele na to wskazuje – religijnie usposobionym, nabożnym człowiekiem, o czym świadczą jego wiara w duszę nieśmiertelną i zmuszanie przyszłych żołnierzy do przysięgi w imię Boże. Nie przypadkiem przeciwstawiony zostaje cesarz materialistom i zwolennikom teorii Ernsta Haeckla – ten ostatni był przyrodnikiem, darwinistą i prekursorem niemieckiej myśli eugenicznej. Przeciwstawienie to ma charakter głęboko ironiczny, gdyż cesarz, wzywając swe ludy do walki w imię dóbr i wartości jak najbardziej doczesnych, bliższy jest w gruncie rzeczy materializmowi (wojna jako źródło korzyści ekonomicznych) i darwinizmowi (walka o byt i konieczne zwycięstwo silniejszego) niż jakiegokolwiek religii.

Mądrość cesarza, wyrażająca się w „osobnym” naborze ciał i dusz do armii, ma zatem cel zupełnie inny niż religijny – zamysł jest tutaj świecki, a nawet bezbożny. Rytuały, jakie przedsięwzięła cesarska armia, by uczynić z rekrutów wiernych i całkowicie posłusznych rozkazom żołnierzy, nawiązują jednak do rytuałów religijnych i sięgają do religijnych wyobrażeń wszechmocnego Boga właśnie po to, by zapewnić armii niekwestionowaną pozycję i moc sprawczą. Także ta okoliczność zostaje ironicznie skomentowana przez narratora:

Młody oficer był delegowany po odbiór dusz. Lecz podczas całej ceremonii milczał. Raz tylko szeptem odezwał się do feldfabela, na co feldfebel parsknął śmiechem. Najpierw feldfebel podzielił obecnych na trzy grupy według języków. Niewielką grupę niemiecką, złożoną przeważnie z samych Żydów, odseparował od polskiej i ukraińskiej. Każdy mógł przysięgać w takim języku, w jakim chciał, wojskowa liturgia bowiem nie narzucała swej łaciny, to jest języka niemieckiego, tym, którzy jej nie rozumieli. Jedynie komenda w cesarsko i królewskiej armii była dla wszystkich niemiecka. Następnie feldfebel objaśnił duszom, podzielonym na trzy grupy, technikę i doniosłość rytuału. Wszyscy muszą zdjąć czapki. Żydzi też.

[...]

Wszyscy muszą podnieść dwa palce prawej ręki, duży i wskazujący, i trzymać je na wysokości oka przez cały czas aż do słowa: „Amen”.

– Wszyscy powtarzają za mną głośno i wyraźnie każde słowo. Po przysiędze – tłumaczył feldfebel – każdy, chociaż cywil, jest już jak żołnierz. Podlega karom wojskowym. Nie wolno mu tego i nie wolno tamtego – wielu rzeczy nie wolno.

Młody oficer, wysłannik cesarza, stał nieruchomo i milczał jak posąg alegoryczny. Czapki jednak nie zdjął. Księża też odprawiają niekiedy modły w birecie, podczas gdy wierni muszą obnażyć głowy.

[...]

– „W obliczu Boga Wszechmogącego przysięgamy uroczyście, że Jego Apostolskiej Mości, naszemu Najjaśniejszemu Monarsze, Franciszkowi Józefowi pierwszemu, z bożej łaski cesarzowi Austrii, królowi Czech i tak dalej...”

– I tak dalej – grzmiała antyfona (SZ 86–87).

Związanie świeckiego, militarnego porządku państwa i armii z porządkiem religijnym – a zatem pozaziemskim i pozadoczesnym – jest nadużyciem, którego trwałości nie można jednak podważyć. Narrator-ironista mówi wprawdzie o „wojskowej liturgii” i jej „łacinie”, jaką była niemczyzna, a także – drwiąco – zauważa, że oficera najwyraźniej nie obowiązuje konieczność zdjęcia nakrycia głowy, w czym podobny jest do księdza, jednak jego językowy gest sprzeciwu nie

może niczego zmienić w świecie przedstawionym. Ironia stanowi wszelako czytelny sygnał, że optyka, w jakiej oglądają świat feldfelbel i oficer, nie jest ani jedyna, ani też, najprawdopodobniej, najsłuszniejsza. Narrator przeciwstawia się jej nie tylko w imię moralnej racji, jaką jest potępienie wojny. Wskazuje on także (znowu z użyciem ironii) na nieunikniony skutek wykorzystania przez armię religijnej legitymacji, czyli zignorowanie faktycznych przeświadczeń religijnych uczestniczących w rytuale ludzi.

Bóg wojskowy, przed którego obliczem składano tę przysięgę – nie posiadał właściwie żadnego oblicza. [...] Cesarsko-królewski wojenny Bóg nie był ani Jehową, ani Świętą Trójcą, ani Allachem, raczej mógł być bóstwem agnostyków, deistów i Robespierre'a. Rezygnował z atrybucji poszczególnych wyznań, wyrzekał się postaci nadanych mu przez dogmaty i legendy, nie był wrażliwy na kadzidło ani na świecę z wosku. Wyobrażał tę najwyższą istotę, przed którą w wielu wypadkach korzą się nawet wolnomyśliciele i wolnomularze. Wojsko nie uznaje wątpliwości nieprzewidywanych w regulaminie służbowym, toteż dusze ateistów, socjalistów i anarchistów zobowiązywało cesarzowi również w obliczu Boga, nie troszcząc się o to, co ci ludzie naprawdę o Nim myślą. Każdy niedowiarek z chwilą, gdy go osądzono zdatnym do służby wojskowej, tym samym już uchodził za wierzącego w Boga. Zaś taki Bóg, o którego istnieniu nie wolno wątpić, musiał naprawdę być abstrakcją, bezbarwną jak algebraiczny symbol. W cesarsko i królewskiej wojskowej algebrze – Bóg był tą nieskończoną liczbą zer, dodanych do najwyższej cyfry, którą jest cesarz. Tego to Boga wzywało wojsko na świadka w chwili, gdy dusze ślubowały cesarzowi wierność ciał. Przy tej ustnej, niedobrowolnej umowie ludów Austrii z Najjaśniejszym Monarchą pełnił Bóg funkcję rejenta (SZ 88–89).

Armia raz jeszcze ulega tu ironicznemu ośmieszeniu jako wymagająca od ludzi przysięgi „przed obliczem Boga” pozbawionego oblicza i pragnąca zredukować Boga do roli „rejenta”. Pokusa zawłaszczenia Pana Boga, jakiej ulega armia, nie ma na szczęście przystępu do rzeczywistej świętości. W rezultacie Bóg, na którego przysięgają zmuszeni do przysięgi rekruci zgromadzeni w szkolnej sali gimnastycznej, to „Bóg wojskowy”. Narrator akcentuje tę okoliczność, pozostawiając czytelnikowi nadzieję, że inny Bóg, niewojskowy i niewpłatany w międzyludzkie porachunki, ma całkiem inną naturę. Co jednak dzieje się z bohaterem – Piotrem Niewiadomskim, który nie ma narratorskiej świadomości popełnianych przez armię nadużyć?

„Królowi Apostolskiemu Węgier – wierność i posłuszeństwo zachowamy, że Najjaśniejszego Pana, generałów i wszystkich innych przełożonych naszych i starszych słuchać, cześć i bronić będziemy, a rozkazy i nakazy ich w każdej służbie spełnimy, że przeciw każdemu nieprzyjacielowi, ktokolwiek by nim był i gdziekolwiek by tego Najjaśniejsza wola Jego Cesarskiej Mości od nas wymagała...”

– Wymagała – skandował chór. W duszy Piotra dudniły niewidzialne kotły i huczały niewidzialne fanfary.

„Na wodzie i w powietrzu, w dzień i w nocy, w bitwach, szturmach, potyczkach i przedsięwzięciach wszelkiego rodzaju, słowem: na każdym miejscu, dzielnie i mężnie walczyć będziemy...”

Piotr Niewiadomski widział już siebie, walczącego na wodzie, na lądzie i w powietrzu. Ociekał strugami wody i strugami krwi. Krew i woda wlażyły mu w usta, w uszy, w nozdrza, tonął, lecz ostatnim wysiłkiem słabnących ramion spychał przeciwnika na dno. Przeciwnik był raz Moskalem z długą brodą [...], to znów wąsatym Serbem o nadludzkiej sile. Serb tłukł Piotra kolbą po łbie, a Piotr zakłuwał Serba bagnetem. Przypomniała mu się widocznie jakaś stara rycina z wojny bałkańskiej (SZ 87–88).

Czytelnik nie może nie zdumiewać się naiwnością Piotrowych wyobrażeń i fantazji, zarazem – wtajemniczony przez narratora w mechanizmy wojskowej propagandy – rozumie, skąd się one wzięły. Ironia narratora mierzy zatem w Piotra Niewiadomskiego, ale także w reguły rządzące światem armii, do której bohater zmuszony jest wstąpić. Mechanizmy tego ostatniego demaskuje zresztą sam Piotr, który jako „prostaczek” niechcący obnaża całą absurdalność proponowanego przez armię rytuału, jak wówczas, gdy w dobrej wierze powtarza słowa przysięgi i usiłuje się z nimi utożsamić, obnażając tym samym ich zupełną nieprzystawalność do faktycznego stanu rzeczy:

– „Że naszych wojsk, chorągwi, sztandarów i dział w żadnym razie nie opuścimy, i z nieprzyjacielem w żadne bynajmniej porozumienie wchodzić nie będziemy...”

Nie, nie, nie! Piotr Niewiadomski nie opuści sztandarów i w żadne bynajmniej porozumienie z nieprzyjacielem nie wejdzie. Nawet nie umiałby z nim rozmawiać (SZ 88).

Ironię współtworzy tu wykorzystanie mowy pozornie zależnej (ostatnie zdania wypowiada formalnie narrator, w istocie jednak słyszymy tutaj głos samego bohatera). Piotr, powtarzając wiernie słowa przewidziane wojskowym rytuałem, nie ma intencji ośmieszenia ich – czyni to jednak, uświadamiając sobie mimochodem, że jako niewładający

„językiem wroga” nie ma właściwie szans na wykroczenie przeciwko zasadom, do których przestrzegania tak uroczyście się zobowiązuje. Jednocześnie – tak długo, jak wierzy w powtarzane mechanicznie słowa – Piotr sam pozostaje w sytuacji ironicznej, bo daje wiarę pustym gestom i rytuałom. Ironia wymierzona w Piotra ma jednak charakter zdecydowanie mniej sarkastyczny niż ta dotycząca CK armii, a wręcz zbliża się do odcieni tragicznych. Bohater bowiem, nieświadomy całej manipulacji, która się dokonuje, rzeczywiście daje wiarę zrównaniu wojskowego i religijnego porządku i rozumuje w ten sposób:

Podczas ostatnich słów przysięgi strach padł na duszę Piotra. Własnymi wszak ustami zapewnił Boga, że chce umierać za cesarza. Czy cesarz słyszał jego ślubowanie? Gdzie jest cesarz? W tej sali nie było nawet cesarskiego portretu, jak nie było krzyża. Cesarz jest w przestworzach, niewidzialny, jak Bóg, którego też nikt nie ogląda własnymi oczami.

[...]

Ale dla niektórych ludzi Bóg był obecny w tej sali. Unosił się nad duszami, nad ciałami, nad przyrzadami do gimnastyki.

Piotr Niewiadomski spuścił wzrok ku ziemi, jak w cerkwi podczas Podniesienia. Nie wątpił bowiem, że gdzieś wysoko, pod sufitem, na najwyższym szczeblu żółtej drabinki siedzi ze stulonymi skrzydłami – Duch Święty. Nie w postaci białej gołębic, lecz jako czarny, dwugłowy orzeł. W zagiętych szponach trzyma kurczowo żelazną sztabę z czarnymi kulami (SZ 89–90).

Obrazowa wizja bohatera poddanego sile wojskowego rytuału – biała gołębicą *versus* czarny orzeł, którym podporządkowany jest świat i wszystko, co żyje – wymownie świadczy o tragicznym kierunku, w jakim zmierza rzeczywistość ogarnięta przygotowaniami wojennymi. To, co religijne, ustąpić musi przed tym, co świeckie, przynoszące zysk i zapewniające doczesny tryumf nad wrogiem. Pokój ustąpić musi przed wojną, a na żadne religijnie umotywowane odruchy dobra nie będzie odtąd miejsca.

Świadomość narratora i czytelnika pozwala zdystansować się wobec Piotra, którego gorliwe i naiwne nastawienie do rządzących światem sił z pewnością uczyni go ofiarą rozpoczynającego się konfliktu. Czytelnik (i narrator) musi jednak przyznać, że oczywista wina za ludzkie nieszczęścia leży po stronie nowoczesnej cywilizacji, którą w powieści reprezentuje CK armia. W ten sposób odbiorca, ponad ironicznym spojrzeniem na „prostaczka”, którego święta naiwność

wkrótce zwróci się przeciw niemu samemu, odczuwa wobec niego nieklamane współczucie. Tym głębsze, że – jak wskazał narrator-ironista – w nowoczesnej rzeczywistości, rządzącej się prawami ekonomii i zdolnej do najbardziej wyrafinowanych manipulacji, każdy człowiek znajduje się na pozycji Piotra Niewiadomskiego, wydany na pastwę sił, które go przerastają.

4. *Chartres*. Patrząc

Esej o katedrze w Chartres otwiera zdanie: „Słoneczny żar oślepia oczy, znużone rozgrzaną pstrokacizną paryskich ulic [...]” (OWP 216). Motyw oczu i spojrzenia będzie w tym eseju istotny, co więcej – interpretowany i wykorzystywany w sposób nieoczywisty. Świadczy o tym szczególnie konstrukcja pod koniec tego samego, inicjalnego akapitu, w której pociąg „z radością rzuca się w wonną zieleń [...] unosząc z sobą nasze płuca spragnione powietrza, oczy łakące spokoju i serca głodne piękności” (OWP 217, podkr. K.S.H). Znamienne jest owo przesunięcie rozbijające utarte personifikacje: oczy, zatem i zmysł wzroku, powiązane zostają nie z doznawaniem wyrafinowanej estetycznej rozkoszy, lecz ze stanem emocjonalnym czy duchowym (spokojem i wyciszeniem); serce natomiast okazuje się głodne wzruszeń wynikających z obcowania z pięknem. Zupełnie jak gdyby za sprawą postrzeżenia tego, co spokojne, mogło ono doznać szczęścia, zachwycone rzeczywistością, nie tylko już wizualną urodą tego, co widziane. Tęsknota wędrowca opuszczającego (jak się zdaje, bez żalu) Paryż – niekwestionowaną stolicę sztuki i metropolię światową – dotyczy zatem wymarzonej jedności tego, co przynosi estetyczną przyjemność, a zarazem pozwala się wyciszyć, otworzyć na to, co nie jest „pstrokacizną” i gwałtownością, wpisanymi we współczesny wielkomiejski świat.

I rzeczywiście, gdy Wittlin opisuje katedrę w Chartres, zachwyt jego nie wynika w pierwszym rzędzie z fizycznej urody tego miejsca. Przeciwnie nawet, przyznaje on: „Trudne jest piękno tej gotyckiej architektury i rzeźby, trudne i nieuśmiechnięte. We francuskich sklepieniach, łukach i kontrefortach na próżno szukamy wdzięku kolorowych italskich, zwłaszcza toskańskich struktur” (OWP 219). Arcydzieło architektury francuskiej jest wymagające: nie pozwala na proste i szczęśliwe zachwycenia, przeciwnie, stawia

odwiedzającemu bardzo wysokie wymagania – jak się okaże, wymagania natury moralnej.

Wittlin pisze najpierw o figurach widocznych na tympanonie jednego z trzech portali w Chartres. Tutaj motyw spojrzenia pojawia się marginalnie, wpleciony w psychologizujące rozważania:

A kto z żywych zrozumie anioła, którego pierś okrywa tarcza zegara słonecznego? Może tą tarczą sama wieczność zasłania się przed doczesnością? Co się śni św. Marcinowi? Co mieści się w spojrzeniu, którym św. Anna obdarza swe dziecko na ręku? [...] A kto wytłumaczy gest ręki Boskiej w chwili, gdy Adama powołuje do życia? (OWP 220–221).

„Rozczłonkowanie” rzeźb w opisie zwracającym uwagę na wyemancypowane „piers”, „wargi”, „rękę” i skupiającym się na detalu trafnie oddaje uczucia człowieka oglądającego tłoczny od postaci gotycki tympanon. Temu pietystycznemu pochyleniu się nad rzeźbiarskimi szczegółami towarzyszy refleksja ujęta w szereg pytań retorycznych, wskazujących tyleż na naturalną ludzką potrzebę takiego psychologizującego odczytania, co na jego bezowocność, na nietrafność poszukiwania narzędziem umysłu interpretującego wyższego sensu, który skrywa się poza tym, co przedstawione: „Każda z tych postaci [...] nosi w sobie ów najwyższy sens, którego zrozumienie przekracza już granice ludzkiego rozumu” (OWP 220).

Już w następnym akapicie Wittlin przechodzi jednak od opisu ujmującego postaci przedstawione w perspektywie narracji biblijnej czy apokryficznej, porzucając ostatecznie rozważania nad *stricte* sakralnym charakterem oglądanej budowli. Eseistę bardziej interesuje bowiem sprawa zasadnicza: pytanie o to, w jaki sposób arcydzieło gotyku wpływa – jako dzieło sztuki – na odbiorcę oraz o to, co w chwili spotkania człowieka i fenomenu architektonicznego dzieje się z jednym i drugim. W tym fragmencie powraca znów wątek wzroku i spojrzenia, dzięki któremu widz i obiekt obserwowany zamieniają się w końcu rolami:

Nerwowo, w pośpiechu przyjeżdżamy od kruchych i wątpliwych prawd i reguł naszego bytu do tej olbrzymiej, tyle lat trwającej i w głązy zakłętej prawdy. Po cośmy tu przyjechali? Nakarmić oczy pięknnością? Zapewne, spojrzenia nasze nie splugawią czystości tej katedry. Nie ma obawy: katedra wytrzyma nasz wzrok, jak wytrzymała wszystkie pożary, które ją nawiedziły w ciągu wieków, wojny i rewolucje. Po tych kamieniach

ześlizgnęły się miliony ócz ludzkich, zachwyconych i sceptycznych, a katedra trwa niewzruszona. Ale co z nami się stanie, jeśli my nie wytrzymamy na sobie spojrzenia katedry? Co będzie, jeśli oczy tych rzeźb, te święte gesty rąk – urzekną nas i już nie puszczą od siebie? Co uczynimy wówczas? Czy mamy zrzucić z siebie wszystką pychę, zapomnieć o tym, co trawi i spala nas na popiół, i zostać już tu na zawsze? Czy też mamy udać się na dworzec i wrócić tam, skąd przybyliśmy, i zabrać sobie na pamiątkę kilka fotografii katedry, które zawiesimy nad naszymi biurkami i łózkami? (OWP 221).

O ile przy wcześniejszych partiach tekstu można było odnieść wrażenie, że tym, co człowieka przerasta, jest w Chartres historia święta, o tyle w zacytowanym akapicie pojawia się sugestia, że moc „urzekania” widza, jaką promieniuje budowla, wynika z jej oddziaływania jako dzieła sztuki. Tutaj już patrzą na widza nie tylko poszczególne rzeźby, ale cała – niemająca przecież oczu – katedra.

Przypisanie mocy patrzenia kamiennym figurom zdobiącym portale świątyni jest zabiegiem często spotykanym w opisie gotyckiej katedry, podobnie jak jej personifikowanie poprzez dostrzeżenie w jej elementach architektonicznych (oknach, witrażach, rozetach) analogii z oczami¹¹. Jednak Wittlinowski opis jest zdecydowanie bardziej skomplikowany, angażuje bowiem w tę personifikację także ludzką (lub boską), a przypisywaną tutaj kamiennej budowli zdolność wywoływania moralnej przemiany obserwowanego człowieka. „Widziany” przez katedrę człowiek gotów jest, jak pisze eseista, „zrzucić z siebie wszystką pychę”; piękno katedry bowiem (zapewne w przeciwieństwie do urody czy nawet wspaniałości cechujących obiekty nowoczesne) jest pięknem wymagającym. Od oglądającego nie wymaga ono wszelako wiedzy z historii sztuki czy kultury, lecz postawy całkowitego otwarcia się na obcowanie z arcydziełem, które mówi językiem ponadczasowym i ogólnoludzkim. Eseista wskazuje:

[...] nawet wspomnienie tej katedry przerasta moje siły i ubogą wiedzę. Nie znam również technicznej nomenklatury tego budownictwa. Ale wiem jedno: nie tylko to jest ważne, co wynosimy z Chartres, ważne jest również to, cośmy z sobą przynieśli, a przede wszystkim, skąd przybywamy. Od tego zależy wartość i siła, z jaką katedra na nas oddziaływa. Cokolwiek byśmy tutaj z sobą przynieśli, skądkolwiek byśmy przybyli – wszystko zmaleje w obliczu tej wielkości. I nasz ból, i nasza radość, i pycha, i miłość własna (OWP 218).

¹¹ Zob. M. Czermińska, *Gotyk i pisarze. Topika opisu katedry*, Gdańsk 2005, s. 281–283.

Inicjalne zdanie tego fragmentu realizuje charakterystyczny dla wielu ekfraz gotyckiej świątyni topos niewyraźności¹², ale można je również rozpatrywać w perspektywie hermeneutycznej teorii interpretacji, stwierdzającej, że „mówienie dzieła sztuki nigdy nie wyczerpuje się w pojęciach”¹³. Wittlin jest bliski hermeneutycznej koncepcji obcowania z dziełem, kiedy stawia tezę dotyczącą jego oddziaływania na widza. W cytowanym wywodzie na pierwszy rzut oka uderza zawarta w nim pozorna sprzeczność. Czy to, co ze sobą przynosimy i z czym stajemy przed dziełem sztuki, uważa Wittlin za ważne dla uruchamiających się w widzu znaczeń, czy też przeciwnie – za trzecioplanowe i w gruncie rzeczy nieistotne (obie sugestie pojawiają się niemal jednocześnie)? Odpowiedź znosi ten paradoks, gdyż uwzględnia przemianę, jaka dokonuje się w odbiorcy dzieła, który w akcie oglądu zapomina sam o sobie, poddając się estetycznemu oddziaływaniu budowli. Co bardzo charakterystyczne, także i tutaj wskazuje eseista, że komuś, kto pozwoli arcydziełu gotyckiej architektury prawdziwie oddziałać na siebie, odjęty zostanie nie tylko „ból” (dzieło jako farmakon umożliwiający błogosławione „zapomnienie”), lecz także „pycha” i „miłość własna”. Poddanie się oddziaływaniu katedry pozwala więc człowiekowi stać się lepszym moralnie, o ile on sam zezwoli na to.

Ten ostatni warunek wcale nie jest marginalny. Eseista rozważa przecież także i inną możliwość – w cytowanym wcześniej fragmencie padło kluczowe dla sprawy pytanie: „Ale co z nami się stanie, jeśli my nie wytrzymamy na sobie spojrzenia katedry?”. Co się stanie, jeśli współczesny turysta nie podejmie wynikającego ze spotkania z dziełem moralnego zobowiązania?

Wittlin zarysowuje wyraźną opozycję czystości katedry i plugawiącego spojrzenia współczesnego turysty, który przybywa „nerwowo, w pośpiechu”, by omieść budowlę nieuważnym spojrzeniem. Przez chwilę można się zastanawiać, czy nie mamy tu do czynienia z przeciwstawieniem tego, co ludzkie (zmienne, splamione nieśmiałością, skazane na szybkie przemijanie), temu, co przez człowieka stworzone, lecz jako dzieło sztuki – wieczne, nieskalane przez upływający

¹² Por. tamże, s. 162.

¹³ H.-G. Gadamer, *Język i rozumienie*, wybór, przekład i posłowie P. Dehnel, B. Sierocka, Warszawa 2003, s. 102.

czas. Szybko jednak Wittlin precyzuje początkowe rozróżnienie i czytelnik orientuje się, że interesuje go przede wszystkim zderzenie katedry ze współczesną, nowoczesną wrażliwością. Zaznaczeniu tej kwestii służy dylemat wieńczący akapit: czy ci, których spojrzenie katedry zniewoli i opęta, powinni w radykalnym geście wewnętrznej przemiany pozostać przy niej na zawsze, czy raczej odejść, zatrzymując tylko stereotypowe wspomnienie? Współczesność bowiem jest przeciwna temu, co wyraża katedra, całej pewności znajdującej wyraz w tej budowlu: wyznaje prawdy „kruche i wątpliwe”, na których nie sposób ufundować czegoś wzniosłego i stałego. Dlatego też powrót do „dzisiejszego świata” oznaczać musi zapomnienie Chartres. Próba przeniesienia katedry w domenę własnej codzienności, opisana jako zawieszenie widokówki nad biurkiem, jawi się jako działanie nieomal groteskowe, tak dalece bowiem niewspółmierne do rzeczywistej rangi świątyni.

Prawdziwe spotkanie z katedrą powinno więc zmusić człowieka do radykalnej przemiany życia, której najwłaściwszą formą wydawałoby się zerwanie ze współczesnym światem. Jak pamiętamy, takie „odcięcie” od nowoczesności dokonało się już symbolicznie na początku eseju, kiedy to eseista wybrał „porzucenie” Paryża na rzecz arcydzieła gotyckiej architektury. Cały tekst jest jednak raczej wskazaniem na niemożliwość takiego odejścia, o czym najdobitniej świadczą ostatnie zdania:

Nad wieżami katedry krążą aeroplany wojskowe. W pobliżu, na przeciwnym wzgórzu, znajdują się hangary. Nad wielowieczną elewacją tych łuków, nad krótkotrwałą elewacją naszych małych serc – wzbijają się maszyny, w których siedzą ludzie. Jak postąpić, żeby było najlepiej? Może wejść do tej angielskiej herbaciarni naprzeciw południowego portalu katedry i posiedzieć tu aż do Ostatecznego Sądu, kiedy figury z tympanonu, który widać przez okna herbaciarni, przestaną być kamieniami? Tak chyba będzie wyglądał Sędzia, który policzy nasze cnoty i zbrodnie, pomści nasze krzywdy i wynagrodzi Sprawiedliwych. Czy tu mamy Nań czekać, w tej herbaciarni, czy wrócić tam, skąd przyszliśmy?

Kamienni aniołowie mają skrzydła, żywi ludzie mają tylko aeroplany. Uciekajmy stąd (OWP 221).

Wedle Wittlina stając wobec dzieła, faktycznie doświadczamy ciężaru i zobowiązującej mocy jego wzroku. Co jednak z tym spojrzeniem może uczynić człowiek, który aż nadto dobrze zdaje sobie sprawę

z mrocznych stron nowoczesnej rzeczywistości (jej emblematem jest dla Wittlina wojskowy samolot)? Rzeczywistość, którą sobie stworzyliśmy, twierdzi Wittlin, jest zbyt głośna, by przemogła ją cisza katedry; ulegając natomiast tej ciszy i głuchość na dźwięki świata, stawiamy się w sytuacji moralnie dwuznacznej.

Więńczący esej obraz ucieczki, dokonującej się w obliczu „kamiennych aniołów”, przypomina oczywiście scenę wygnania z raju: jak Adam i Ewa, zawstydzeni własną nagością i nieposłuszeństwem, zmuszeni byli opuścić Eden, tak współczesny człowiek, analizując własną kondycję moralną, skłonny jest uciec przed wzrokiem gotyckiego arcydzieła, wcielającego „piękno” i „spokój”, których tak usilnie szukał eseista, a których łaski doświadczyć mógł tylko w chwilowym zachwyceniu. Udziałem współczesnych, zdaje się sądzić pisarz, jest bezradność w obliczu prawdy „olbrzymiej, tyle lat trwającej i w głazy zakłętej”. Wiele wskazuje na to, że z Chartres trzeba uciec, ze wstydem za siebie i za nowoczesną cywilizację.

A jednak – tak pesymistyczna diagnoza współczesnego człowieka nie jest ostatnim słowem, jakie słyszy czytelnik, współuczestnik ucieczki z Chartres. Dostrzeżona przez Wittlina opozycja wyposażonych w skrzydła kamiennych aniołów i posiadających aeroplany wojskowe żywych ludzi pozostaje głęboko niejednoznaczna. Posągowi aniołowie to aniołowie groźni, bezduszni, surowi i chociaż to im dane są skrzydła, ich wzniosłość i „kamiennosc” w żywych ludziach mogą budzić lęk, a z pewnością – dystans. Współcześni ludzie, wynalazcy aeroplanów, które służą jedynie uniesieniom pozornym, pozostają jednak w przeciwieństwie do rzeźbionych aniołów żywi i autentycznie wpisani w świat. Ciężar i martwota kamiennych postaci pozostają dla ludzi wskazówką, że ich własna kondycja, choć ułomna, pozwala im istotnie brać udział w rzeczywistości. W tej perspektywie finalne „uciekajmy” tyleż świadczy o zawstydzeniu śmiertelników własną kondycją, ile wyraża świadomość, że „przykuci” do katedry niczym kamienni aniołowie, odwiedzający ją ludzie nie zdołaliby niczego zmienić w świecie, który tej zmiany, jak się wydaje, bardzo potrzebuje.

Nie sposób, będąc człowiekiem, oczekiwać na koniec świata w angielskiej herbaciarni, na wzór kamiennych aniołów czekających od wieków na katedralnym tympanonie. Ceną za możliwość

partycypowania w niedoskonałym świecie jest ludzka ułomność, moralna i estetyczna. Nie mogąc być, jak kamienni aniołowie, pełnymi piękna i spokoju, ludzie mogą jednak uczestniczyć w prawdziwym życiu. Jego częścią jest, jak przekonuje eseista, zarówno zachwyt nad ludzkimi osiągnięciami, jak i przerażenie tym, do czego człowiek jest zdolny: pokorna zgoda na to wszystko, na co pozwala człowiekowi jego wolność i refleksowanie nad własną kondycją etyczną. Wizyta w Chartres to w optyce Wittlina – zawsze wyczulonego na zagadnienia moralne, także w obliczu dzieł sztuki – doskonała okazja, by taką refleksję podjąć.

Bibliografia przedmiotowa

Monografie twórczości Józefa Wittlina:

Between Lvov, New York and Ulysses' Ithaca. Józef Wittlin: Poet, Essayist, Novelist, red. A. Frajlich, Toruń–New York 2001.

Etapy Józefa Wittlina, red. W. Ligęza, W.S. Wocław, Kraków 2014.

Jakowska K., *Z dziejów ekspresjonizmu w Polsce. Wokół „Soli ziemi”*, Wrocław 1977.

Olejniczak J., *Arkadia i małe ojczyzny. Vincenz, Stempowski, Wittlin, Miłosz*, Kraków 1992.

Studia o twórczości Józefa Wittlina, red. I. Opacki, Katowice 1990.

Szewczyk-Haake K., *Nowoczesna literatura etyczna. Wokół twórczości Józefa Wittlina i Pära Lagerkvista*, Poznań 2017.

Wiegandt E., *Wstęp* [w:] J. Wittlin, *Sól ziemi*, oprac. E. Wiegandt, Wrocław 1991.

Yurieff Z., *Józef Wittlin*, tłum. M. Szczubińska, Izabelin 1997.

Wybrane studia i szkice o charakterze syntetycznym:

Lawaty A., *Józef Wittlin – niemieckie powiązania i przywiązania* [w:] tegoż, *Intelektualne wizje i rewizje w dziejach stosunków polsko-niemieckich XVIII-XXI wieku*, Kraków 2015.

Ligęza W., *Świadek czasów i wyznawca wiecznych wartości. O poezji Józefa Wittlina* [w:] tegoż, *Jaśniejsze strony katastrofy. Szkice o twórczości poetów emigracyjnych*, Kraków 2001.

Maciejewska I., *Doświadczenie wielkiej wojny – Józef Wittlin* [w:] *Poeci dwudziestolecia międzywojennego*, t. 2, red. I. Maciejewska, Warszawa 1982.

Nawarecki A., *Łyżka zupy Józefa Wittlina* [w:] tegoż, *Rzeczy i marzenia. Studia o wyobraźni poetyckiej skamandrytów*, Katowice 1993.

Nowosielski K., *Hiobowe wołanie Józefa Wittlina*, „Znak” 1984, z. 5–6.

Olejniczak J., *Wittlin wobec „Innego”* [w:] tegoż, *Emigracje. Szkice-studia-sylwetki*, Katowice 1999.

Zajączkowski R., *O „Soli ziemi” Józefa Wittlina* [w:] *Poezja i egzystencja. Księga jubileuszowa ku czci Profesora Józefa Ferta*, Lublin 2015.

Pozostała przywoływana literatura:

Czermińska M., *Gotyk i pisarze. Topika opisu katedry*, Gdańsk 2005.

Gadamer H.-G., *Język i rozumienie*, wybór, przekład i posłowie P. Dehnel, B. Sierocka, Warszawa 2003.

Gałczyński K. I., *Poezje*, Kraków 1992.

Girard R., *Koziół ofiarny*, tłum. M. Goszczyńska, Łódź 1991.

Gombrowicz. *Walka o sławę. Cz. 1. Korespondencja Witolda Gombrowicza z Józefem Wittlinem, Jarosławem Iwaszkiewiczem, Arturem Sandauerem*, oprac. J. Jarzębski, Kraków 1996.

Kant I., *Co to jest Oświecenie?*, tłum. A. Landman [w:] T. Kroński, *Kant*, Warszawa 1966.

Kierkegaard S., *Bojaźń i drżenie. Choroba na śmierć*, tłum. J. Iwaszkiewicz, Warszawa 1969.

Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, *Biblia Tysiąclecia*, wyd. 3. popr., Poznań–Warszawa 1982.

Taylor C., *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej*, tłum. M. Gruszczyński, O. Latek, A. Lipszyc i in., naukowo oprac. T. Gadacz, wstęp A. Bielik-Robson, Warszawa 2012.

Watt I., *Narodziny powieści. Studia o Defoe’em, Richardsonie i Fieldingu*, tłum. A. Kreczmar, Warszawa 1973.

Wądolny-Tatar K., *Kołysanka w liryce XX i XXI wieku. Emergencja gatunku literackiego*, Kraków 2014.

Wittlin J., *Raptus Europae*, kopia maszynopisu sporządzonego przez Jacka Niecko – Cyfrowe Archiwum Józefa Wittlina, Biblioteka Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Nota o autorce

Dr hab. Katarzyna Szewczyk-Haake (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu) – literaturoznawczyni, trudni się także przekładem literackim. Autorka książek: *Poezja Emila Zegadłowicza wobec światopoglądowego i estetycznego projektu ekspresjonizmu* (2008), *Nowoczesna literatura etyczna. Wokół twórczości Józefa Wittlina i Pära Lagerkvista* (2017), *Kolce Grünewalda. Nie tylko o ekfrazach* (2018), współredaktorka tomów zbiorowych poświęconych zagadnieniom komparatystyki literackiej oraz problematyce postsekularyzmu w literaturze i filozofii.

Antologia
wyboru dokonała Katarzyna Szewczyk-Haake

Nota edytorska

Wiersze zawarte w antologii podajemy za wydaniem:

J. Wittlin, *Poezje*, wstęp J. Rogoziński, Warszawa 1981.

Fragmety *Soli ziemi* podajemy za wydaniem:

J. Wittlin, *Sól ziemi*, Wrocław 1991.

Eseje podajemy za wydaniem:

J. Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, posłowie J. Zieliński, Kraków 2000.

W tekstach prozatorskich uwspółcześniono pisownię i interpunkcję zgodnie z obowiązującymi normami, zachowując jednak cechy stylu i słownictwa autora. W poezji zaś interpunkcja pozostała niezmienną względem podstawy wydania, poprawiono jednak literówki.

Wszystkie przypisy – jeśli nie zaznaczono inaczej – pochodzą od redakcji.

Poezja

Przedśpiew

Jeszcze jest we mnie krzyk ginących batalionów
I pamięć z trzaskiem rozwalonych tronów.

Jeszcze mam w płucach gaz i proch, i pożar
Świata, co w gardle każde słowo dławi.

Jeszcze mi czarny dzień jak czarna zmora
Leży na piersi.

Jeszcze się targam, bo we mnie się skarży
Cała Europa! I we mnie podnosi
Pięści ku niebu – ludzkość kajdaniarzy,
Krzyżami wszystkich wojennych cmentarzy
Krzyczy i grozi.

Lecz jutro ręce wyciągnie w zachwycie,
Gdyż nie na darmo tłukły o niebiosą:
Już spada manna, już rzeźwi nas rosa
I słodzi to gorzkie życie.

Trwoga przed śmiercią

Panie! Ja nie chcę umrzeć!

Widziałem, jak okropnie wyglądają trupy,
Widziałem, jak straszliwie zimne groby są.
Słyszałem, jak przeciągle lamentują matki,
Kiedy ich synów kładą w ciemny grób.

Panie! Ja nie chcę umrzeć!

Co mi tam prawią o nicości życia!
Co mi tam głoszą wieczność zagrobową!
Wiem: bohaterstwo – tylko pocieszeniem
Tych, którzy padli w służbie u nikczemnych,
Sami – szlachetni!

Ja nie chcę umrzeć!

Bom widział szkliwo ocz, co niegdyś były
Jako Twe niebo – o Panie – błękitne,
A dzisiaj straszą dzieci, własne dzieci,
Tym lodowatym, tym trupim spojrzeniem
Z trumny.

Mnie – trupa nie chce znać już moja matka,
Mnie – trupa własna żona się wypiera:
Ledwo zastygnę, rozkaże mnie wynieść
Karawaniarzom z domu, gdzie ją kochał.
I dom wykadzi, by nie cuchnął mną,
I dom wykadzi jak po czymś, co wstrętne,
A nie – kochane.

Panie! Ja nie chcę umrzeć!

Na każdym kroku, o każdej godzinie,
Na pełnym morzu i na górskim szczycie,

Na złotym tronie i w czarnym więzieniu,
Przy sutej uczcie i w dziadów azylu,
Zimą i latem, wiosną i jesienią,
Na każdym placu, na każdej ulicy –
Zawsze, zawsze, zawsze czyha na mnie śmierć.

Panie! Ja nie chcę umrzeć!

Nieraz chodziłem w jesienne wieczory
Za miasto, kędy leżą okopiska,
I strach mnie brał.
Nieraz widziałem zwierzęcą padlinę
I brał mnie wstręt.
Złe muchy martwe obsiadały cielska
Zwierząt wspaniałych.
Kruki szarpały cuchnące wnętrzności
Koni udałych.
Po długich latach – białe ludzkie kości
Suto rozsiane po naszych ugorach
Świadczą o strasznych gromadnych pomorach
I wojnach.

Panie! Ja nie chcę umrzeć!

Każdy dziś człowiek może pchnąć mnie nożem
– i umrę.
Cholera, tyfus potrafią mnie zmóc,
Pożar mnie może spopielić,
Zwalić mnie może zapalenie płuc,
A człowiek, mój wróg – zastrzelić.
A ja chcę Twymi dary się weselić
I żyć.

O, jakże piękne są powszednie dni,
W których się człowiek mozoli
W pocie czoła i krwi.
O, jak rozkoszne jest wszystko, co boli.

O, jak cudowne są bezsenne noce,
 Pełne słodyczy i łez!
 O, jakże pachną jesienne owoce
 I mokry poranny bez!
 A jaki smaczny żytni czarny chleb,
 A jaki słodki jasny pszczele miód,
 A jak nas krzepi białe krowie mleko
 I cieszy wszelki
 Dobyty z brzucha ziemi-rodzicielki
 Płód!

Panie! Ja nie chcę umrzeć!

Chcę zaznać pieśczoł niewieściego ciała,
 Chcę zaznać dumy ojcowskiej!
 Chcę rósć i rósć wśród szarodziennej troski,
 I zrywać jabłka żrałe z moich drzew,
 I kłosa ziemi kraść, co mnie wydała,
 I dobrą sławę osiąść z dobrych czynów,
 Bawić się szczęściem mych córek, mych synów,
 Mych wnuków!...
 O, jak mnie cieszy moja żyzna krew!

Panie!
 Mierzę Cię siłą mojego zachwytu!
 Nie elektryczność i nie proch strzelniczy,
 Tyś – najpiękniejszym naszym wynalazkiem,
 Ciebie nam głoszą w uroczystej ciszy
 Z ksiąg Pentateuchu i z kart Ewangelii,
 Ciebie proroki wielbią, apostoły.
 Stygmaty Twoje, krzyże i ikony
 Wcieliłeś w różne wiary i zakony,
 Cudem nawiedzasz ofiarnicze stoły,
 Do dziś o Tobie śpiewa na Synaju
 Echo wieczyste, do dziś na Golgocie
 Grają o Tobie na surmach w złocie –
 Anioły.

Tyś najpiękniejszym naszym wynalazkiem,
 Spraw, żebyś był.
 Tobie każemy być szczęścia rozdawcą,
 Ciebie wzywamy w udręczeniu – zbawcą:
 Spraw, żebyś był, jeśli wszystko sprawiasz!

Jeśliś ten sam, który śmiercią karze,
 Jeśli w słonecznym rozpalasz się żarze
 I jawisz w szumie organów nieszpornych
 W gotyckim tumie –
 W rozkołysanej gdy bywasz bożnicy,
 Kiedy nad ludem groza grzechów zwisa
 Na Sądny Dzień –
 Przy każdym ciężkim rodzisz się porodzie
 I konasz razem z żebraczką, co szepce
 Litanię o słońca zachodzie
 W brudnej podmiejskiej izdebce...
 Żyjesz na wargach każdej dewotki,
 Jesteś osnową każdego zaklęcia,
 O groźny, o straszny, o słodki,
 Spraw, żebyś był,
 Bo ja nie chcę umrzeć!

Ja mam umierać?
 Ja, którym Ciebie stworzył w zachwyceniu,
 Kiedym upojon bogactwami ziemi
 Był za leniwy szukać w sobie pana
 I Ciebie mianował królem,
 I pieśnią słaawił, o Boże?
 O mój pomyśle w niemocnej godzinie,
 Nie widzisz moich zaciśniętych pięści,
 Którymi Ci dzisiaj grożę?

Skoro Twej mocy znakiem jest ta śmierć,
 Którą Ty jeden nie będziesz umierał,

Śmierć niezbadana, śmierć nieunikniona,
 O królu – krwawa jest Twoja korona,
 A ja stworzyłem sobie sam swe szczęście,
 Inaczej byś mi go tak nie wydzierał!
 Rzucam Ci w twarz,
 Jak rękawicę – ostatnie wyzwanie:
 Synu mój, z łona mej myśli poczęty,
 Fałszywy Ojczy nasz!
 ----- Panie!

Ja nie chcę umrzeć!
 O Panie, my wszyscy nie chcemy umierać!

W radości pragniem plony grzechu zbierać,
 Nie będziem więcej rzezać się nawzajem,
 Nosim tęsknotę za straconym rajem:
 Chcemy zmyć winy.

A jeśli znajdziesz choć stu sprawiedliwych,
 Ostaw nas żywych!
 A jeśli znajdziesz choćby pięćdziesięciu,
 Co na tej ziemi Ciebie nie zdradzili,
 Ocal nas wszystkich!
 A jeśli znajdziesz takich, co Ci mili
 Chociaż dwudziestu –
 Nie gub nas wszystkich!

Wstrzymaj Swe plagi, wstrzymaj Swe pożary,
 Swe srogie wojny, mory, gradobicia,
 O, bądź, o, bądź nam tylko panem życia,
 A nie szafarzem kary.
 Jeśli dziesięciu znajdziesz sprawiedliwych,
 Zbaw nas od złego!
 Jeśli dziesięciu tylko, ale szczerych,
 Miej litość!
 A choćby pięciu tylko, tylko pięciu,
 Wstrzymaj pioruny!

Panie! Na mękę tych wszystkich, co byli
Tu, na Twej ziemi, niewinni i czyści,
Cierpieli cisi i bez nienawiści,
Zaklinam Ciebie:
Jeśli choć jednego
Znajdziesz, co serce ma niepokalane,
Bądź miłosierny!

Do moich uszu płynie ustawiczna
Skarga z ochrypłych gardzieli
Wszystkich, co na tej wojnie cierpieli,
Całej ludzkości,
Która od wieków woła do Ciebie
Milczeniem zbiegających kości!
Jeśli choć jeden żyje sprawiedliwy,
Okaż nam Swe zmiłowanie!
Jeśli choć jeden żyje sprawiedliwy,
O wielki, groźny Ojciec nasz i Panie,
Odpuść nam grzechy i nie karaj śmiercią!

Otom przed Tobą, Abraham.

Grzebanie wroga

I

Serce mam strute.

Oto kazali mi pogrzebać wroga, co zginął w bitwie.
Do ręki mi dali łopatę, palcem wskazali: wróg!

Larmo grajcie, trębacz! Larmo przeciągłe a lute!
W kotły uderzcie, dobosze! Dmijcie w mosiężne puzony!
Na czarną, na straszną, ponurą – grzebania nutę!

Rażno chwyciłem łopatę, a nie wiem, kim jest mój wróg:
Czy chłop, czy pan, czy robotnik,
Czy podły człek, czy szlachetny –
Wiem tylko jedno: wróg.
Bo wraży kształt jego czapki i wraże na nim guziki,
Choć oczy na poły przywarte i ręka, co ściska broń
Tak samo, tak samo bolesna.
Tak samo, tak samo zmęczona
Jak ręka brata mojego, jak brata mojego dłoń.

Więc jakże grzebać mi ciebie, wrogu ty mój oniemiony,
Skoroś jest taki jak brat?
Więc jakże chować mi ciebie, zewłoku ty wykrzywiony,
Skoro cię zabił mój brat?
Wykołysała cię ziemia – rodna, pachnąca,
Wypiastowała cię matka – dobra, troskliwa,
Wyhołubiła cię dziewczka – ciepła, wstydliva,
Wykołysała cię ziemia – rodna, pachnąca.

Latem chodziłeś na pole – sierpem żąć żyto,
Jesienią kopałeś ziemniaki – motyką,
Zimą siedziałeś w chałupie – i piłeś,
A wiosną, wiosną z dziewczkami w karczmie tańczyłeś.

Nocami sypiał przy koniach na słomie zmierzwionej
Albo też szedłeś do żony
Swej, czarnobrewy.
Ojcaś starego w chałupie trzymał, jak Pan Bóg przykazał:
Nie żałowałeś mu strawy, syn byłeś – prawy.

I wzięli cię, wzięli do wojska,
Dali ci mundur i buty,
Bajnet i gwer, i patrontasz –
Ładnie ty teraz wyglądasz
Bajnetem pokłuty!

I leżysz na polu ugornym,
Bo iść ci kazali wodzowie,
A wodzom kazali królowie,
A królom – duma i Bóg.
Od Boga wszelka jest władza.
Na trony króle On sadza,
Przeto mi leżysz u nóg.

I leżysz na polu ugornym,
I krwią zbroszone twe lice,
Gdyż wola to była Boża,
Aby od morza do morza
Szły mego kraju granice.

I wola była to Boża,
By nafta i przemysł węglowy,
I cały nasz wyrób krajowy
Był wolny, był wolny od ceł.
Więc przeto zbyłeś swej głowy,
Nie twój będzie zasiew nowy
I ziaren nie będziesz już meł.

Nie pójdziesz do swej czarnobrewy,
Nie będziesz dziątek z nią miał!

Opustoszeją tve chlewy,
Ogród ci zniszczą ulewy,
Stratują koła dział.
A iżeś całe swe życie
Gnoił swą ziemię obficie,
Będiesz mi, wrogu, nawozem
Pod wszystkie moje zasiewy.

Na tobie wzniosę me zamki
Warowne, z ostrymi wieżami,
Na tobie zbuduję mą sławę
I rozpowszechnię pieśniami.

Będą się moi synowie
W szkołach o tobie uczyli:
Jakośmy ciebie zabili –
Niech im to wyjdzie na zdrowie!

II

Serce mam strute.
Za chwilę, wraży mój chłopie,
Dół ci grobowy wykopię,
Przyklepię butem.

Leż, dumaj sobie w spokoju
O żniwach, o dziewczkach z udoju
I o tym, żeś kiepski miał wikt.
I o tym kapralu, co walił,
Gdyś fajkę sobie zapalił,
A nikt nie obronił cię, nikt!

A teraz pan jesteś hojny!
Leżysz tak sobie spokojny,
Jak byś podwójny wziął żołąd.
A wiesz ty, synu chamowy,

Za cenę twej ciemnej głowy,
Cesarzom świat złoży hołd!

A wiesz ty? Serce mam strute –
Dajcie mi rychło cykutę:
Zapomnieć chcę moich dni.
A kiedy stanę przed Sędzią,
Niech wtedy żadnej nie będzie
Trucizny w mym sercu ni w krwi.

Ja wtedy chcę być wesoły
Jak młody szumiący las
W najśłodszym miesiącu maju,
Niechaj mi wtedy zagrają
Grajkowie niebios: anioły –
I skrzypki, i flety, i bas.

Niech święta nam zagra Cecylia
Przebłogi hymn niepamięci,
Czysty jak czysta jest lilia,
Słodki jak woń sianozęci.
Niech wszyscy zagrają nam święci.

Bo padniem sobie na szyję:
I ty, i ja jak kamraty,
A potem ci nogi obmyję,
A potem ci rany obmyję,
A z ran twych wyklują się kwiaty.

Zakwitniesz wtedy przecudnie
Niczym bławaty, rezedą
W słoneczne majowe południe:
A to zakwitnie twa bieda,
A to zakwitnie twa męka,
Twój pot, twa krew.

O, zawoniejesz szołomnie
 Wielką radością upity,
 Bowiem stać będziesz koło mnie
 I miłujący, i syty –
 W palmę się zmienia twa ręka!
 I będziesz wielce dostojny
 W pańskiej, niebieskiej stodole,
 A na skrwawionym twym czole
 Zabłyszczą święte gloriole,
 Wrogu mój, bracie mój, chłopie!

A ja tam będę przy tobie,
 A przy nas nasi ojcowie,
 A przy nich ojców ojcowie –

Tam stanie nas wielka gromada,
 Jak gdyby owieczek stada
 Zegnali z łąk pastuszkowie.

Będą tam pany i chłopcy
 Z Ameryki, Azji, Europy,
 Jak nieprzeliczone snopy
 Zalegną tysiące włók.

Szewcy, stolarze i krawcy,
 Poeci, kpy i oprawcy,
 Zduny i tkacze, i znawcy
 Wszelakich człowieczych sztuk.

Karciarz tam będzie z kapłanem,
 A żebrak z wielmożnym panem,
 A bankier ze sławnym kapcanem
 Serdeczny bruderszaft pił.

Niemiec i Żyd, i Rzymianin,
 Polak i Czech, i Rosjanin

Ścisnąć się będą, co sił.

Człowiek i lew, i tygrysy,
Koty i szczury, i lisy
Obsiędą miedze stu skib.

Orły, kukułki i szpaki,
Chrząszcze, ba – nawet robaki
I wszystkie gatunki ryb.

Dzieci tam będą i starce
Ucieszne wyprawiać harce,
A na wierzbowej fujarce
Zagra nam pastuch nasz: Bóg.

I zagra pieśń o boleści,
W której się wszystko pomieści
Krzywda i wszystkie nadzieje...
Aż z owej smutnej powieści
Dusza nam zgołębieje.

III

A czego patrzysz tak głupio,
Kiedy przemawiam do ciebie?
A obróć grzecznie swą trupią
Czaszkę, gdy pan ciebie grzebie!

Uch! Marny wraży zdechlaku,
Nie krzyw się tak przeokropnie!
Ktoś inny, skoro tu przyjdzie,
Bez ceremonii cię kopnie.

Naści raz jeszcze łopatą –
I koniec! Na mnie już czas!
A teraz jestem jak głąz,
A teraz jestem jak głąz

Zimny.-----

Larmo grajcie, trębacze! Larmo przeciągłe a lute!
Larmo, larmo – dobosze!
Serce mam strute.

Pochwała miecza

Oto jest oręż z damasceńskiej stali,
wykuty ręką sławnego płatnerza;
pod jego ciosem jak pięknie padali
mężowie w boju wielce doskonali,
 ach, jak przepięknie padali!

Miecz to wspaniały, w bojach osędziały,
sławą już mnogich okrył wojowników!
Jak przekropnie szeregi truchłały,
gdy błysnął na tak zwanych polach chwały,
 jak przeokropnie truchłały!

Miecz to nie lada! Złotem okowana
jego głowica, drogi skarb po ojcach.
Dumna powinna być każda rana
ostrzem takiego oręża zadana,
 ach, jakże winna być dumna!

O, jak rozkoszne są jego wygiby:
w dłoni rycerza – jak w kochanka ręce
zwija się, skręca i śmiga jak gdyby
 lubieżne ciało dziewczęce.

A miecz ten dzierzył w zwycięskiej prawicy
onego czasu jeszcze dziad Rębajło,
a po nim inni wielcy wojownicy
otrzymywali go w złotej kaplicy,
 a po nich znowu inni wojownicy.

Miecz ten dokonał siła wielkich czynów:
dwudziestu ośmiu zrobił nieboszczyków,
fiu! jak siarczyście siekał sukinsynów
 i świstał, śmiał się z ich potwornych ryków.

A jak mistrzowsko umiał ścinać karki!
A jak wspaniale dźgał tam, w samo serce,
ten miecz święcony, miecz najpierwszej marki,
 ach, jakże bosko dźgał w serce!

Mizerykordia miecza ma kształt krzyża,
a skoro przyjdzie dzień, gdy pod nim setny
trup się przewróci, wtedy miecz ów świetny
pójdzie do skarbcza, gdzie hełm i paiza
 największych królów.

Szumnie i tłumnie w kadzidlany dymie
będzie zanieścion ten miecz do katedry.
Co za procesje – wszystkie w Boże imię –
 co za oracje, procesje!

Zbiegną się wtedy ludy z całej ziemi,
by hołd mu złożyć, i wruszone wielce
poświęcą miecz ów Bożej Rodzicielce
 dłońmi kornemi.

Bowiem ten oręż rzezał mdłe pogany,
juchą niewiernych stokrotnie był zlany.
Błogosławiony bądź, Panie nad Pany,
 na ziemi jako i w niebie!

Oto jest miecz ów, który gromił, karał,
oto jest oręż, co mścił i nawracał,
rozgrzeszał grzesznych, z szatanem się parał,
ziemie zdobywał, nosił wybawienie,
oto miecz – ogień i miecz – przerażenie
dla tych, co podli lub ciemni, lub mali...

Oto jest miecz ów z damasceńskiej stali!

A oto serce Jezusowej Matki
siedmiu mieczami siedmiokroć przekłute,
a oto męka i śmierć Jezu Chrysta
oplute.

Hymn o łyżce zupy

Ja ci chcę dać łyżkę ciepłej zupy,
 Zamarznięty w obcej ziemi bracie,
 Co się wlokłeś przez trzy długie zimy,
 Coś wędrował przez trzy skwarne lata
 Obszarami nieobeszłych pól –
 I szedł, i szedł,
 I bez końca ciągleś szedł, i szedł,
 I na mokrej grudzie głowę kładł,
 I w wagonach na bydlęta gnił,
 I spleśniałe chleby w rowach jadł,
 I tabakę z krowich gnojów żuł,
 I z cuchnących bagien wodę pił,
 I szedł, i szedł –
 A wciąż ciebie żarły rude wszy
 I kąsały ołowiane kule,
 Aż wypła cię łaknąca śmierć.

Oj, wypła ciebie aż do dna.
 Ty, coś w spiecu lipca trzykroć schnął,
 Aż wyschnąłeś jak ten cichy staw,
 Pełen mroku o słońca zachodzie,
 Ja ci chcę dać łyżkę ciepłej zupy!
 Może ockniesz się z głuchej martwoty,
 Ty, coś skostniał w tyralierskim rowie,
 A nikt ciebie z warty nie zluzował!
 Ty, mój bracie, o coś tam się bił,
 Za co ciebie żarły rude wszy,
 Za coś tak się włókł i włókł, i włókł,
 I badyła jadł,
 I gnojówki pił –
 Tego nie wiesz ani ty, ni ja,
 Może ci to kiedyś powie Bóg.

Ale jedno, jedno tylko wiem,
 Że w tej chwili, gdy do ciebie śmierć

Szła w rynsztunku obkowanym lodem,
Szła na palcach, cicho – na paluszkach,
Tyś nie wołał ani swojej matki,
Ani ojca, ani swojej żony,
Jenoś wzywał boleściwą piersią,
Jenoś wołał skurczem nóg i rąk
I oczyma wpatrzonymi w noc,
I stygnącą w żyłach krwią wołałeś:
Łyżki zupy! Łyżki cieplej zupy,
Którą dziś na próżno chcę ci dać.

Hymn o rękach

Mów ciszej.
W tej chwili, kiedy moja dusza
Drzemie z oczyma na wpół zmrużonemi,
Milion rąk się porusza
Na całej ziemi.

O ręce, ręce, szczodroblive ręce!
O ręce, ręce, pracowite ręce!
O ręce: dwa żywe przekleństwa!

I te, co biją, i te, co mordują,
I te, co wszystko czują,
I te, co bielą swojego państwa
Do macierzyństwa w ciszy się gotują,
I te, co wrzeszczą lub wyją jak psy,
I te, co kwilą jak w kołyskach dzieci,
I te, którymi natchnieni poeci
I święci mistrze wszelkiego tworzenia
W chwilach natchnienia lepią swoje światy,
O ręce,
Waszą niech będzie ta pieśń uwielbienia.

O ręce – kije, o ręce – łopaty,
O dłonie – serca, palce – poematy,
Ręce – legendy i płóche jaszczurki,
Najodważniejsze wy podmorskie nurki!
Grabie, którymi skąpiec góry złota
Zgarnia, magiczne różdżki, spod których tęsknota
Tryska, gdy w śpiące uderzają struny.
Ręce – pioruny!

Księgi tajemne, z których mędrzec czyta
Odwieczne prawdy! O nadgrobnie płaczki
Ojca nad martwym ciałem jedynaczki!

Wy, dwa pieściwe, stęsknione akordy,
Gładzące miękko rozbolełe czoła!
Śnieżyste skrzydła anioła,
Roztrzepotane nad naszą niedolą!

Jakże mnie ręce bołą,
Gdy te słowa piszę.

Mów ciszej.
Milion rąk do mnie przemawia
Z każdego czynu, z każdego bezprawia,
Z każdej radości, którą człowiek dyszy.

Wszystko na ziemi, co przemijający
Ma kształt – stworzone jest ręką człowieczą,
Lecz ja na sobie czuję dech gorący
Wieczności, której ręce nie zniweczą.

Choć gdzie się zwrócę, naprzód albo w tył,
Gdziekolwiek spojrzę, za siebie czy w krąg –
Mów ciszej!
W ślad za mną zawsze idzie widmo rąk –
Mów ciszej!
W ślad za mną zawsze sunie widmo – lęk.

Kolysanka

Szepnę wam do ucha
Słowo, co zaklina
W imię Ojca, Syna
I Ducha.

Porzućcie oręż –
Szable, karabiny,
Bracia, ojce, syny:
Mężę.

Przyjdą do was goście,
Wielcy dostojnicy,
Więc ich do świetlicy
Proście.

Przyjdą utęsknieni
Dziś – jutro – o zmroku –
Sakwy swoje zwloką
W sieni.

Wróg się już nie dowie
Ani syci łupów
Fabrykanci trupów:
Królowie.

Cicho, cichuteńko
Ktoś złoży wam dłonie
Na znużone męką
Skronie.

Lica wam pogłaska,
Wypogodzi czoła
Dobrego anioła
Łaska.

Cicho, cichuteńko
Powieki wam stuli,
Nie będziecie czuli
Nic.

Ballada – hymn

Na turzych rogach grają fanfary:
Gina rycerze w teutoburskim lesie,
Na siwym koniu ostał się król stary,
Giermek skrwawioną za nim kopię niesie.
Królu, tyś jest mój brat.

Dawno umarłych faraonów mumie
Śpią w głębi chłodnych, kamiennych piramid.
Leży księżniczka w trumiennej zadumie;
Umarłej ręka – miękka jak aksamit.

W świetlicy zamków gędzą trubadurzy,
Przy kołowrotekach słuchają grafinie:
Pani pieśniarzom w dank rzuca kwiat róży,
Róża zerwana ręką ludzką – ginie.

Tam, w Valladolid, przy srebrnej sadzawce
Infantka kruszy bułkę złotej rybce...
W paryskiej knajpie stał Cygan na ławce
I z żalu strzaskał swe cudowne skrzypce.

Na moście Rialto dwaj kawalerowie
O honor monny skrzyżowali szpady:
Monna w swej loggi – tego pije zdrowie,
Kto jej piękniejsze opowie ballady.

Śnieżne peruki i zaboty białe,
Zgrabni markizi tańczą menuety,
Maestro Mozart miał serce schorzałe –
Ach, jak pogodnie płaczą jego flety!

W zębach Kozaków błyskają kindzały,
Leje się ludzka krew spod ich nahajek –
Oczy Kozaków nagle posmutniały
I wraz jęknęło tysiąc bałałajek.

Pachną magnolie, mimozy, czereśnie,
 Cienie rzucają co najsubtelniejsze...
 Słuchajmy, jako w tym kraju boleśnie
 Na samisenach grają nocą – gejsze.

W cyrkach na reku skaczą akrobaci,
 Z twarzą kredową błaznują auguści,
 Publiczność klaszcze, bo publiczność płaci.
 Kto nie zapłaci – tego się nie wpuści!

W dusznych haremach tańczą o północy
 Na pstrych dywanach nagie odaliski,
 Białka eunuchów bez czucia, bez mocy
 Rzucają wokół nieme, dzikie błyski.

W głowie mej żyją ludy, klechdy, mity;
 Palą się Wschody, Zachody, Południa,
 Północne tajgi i śnieżyste szczyty,
 Cały Wschód ze mnie szczepy swe wyludnia.

Przeze mnie płyną Nile i Dunaje,
 Wisły, Gangesy... huczają oceany –
 I biedne kraje, i szczęśliwe kraje
 Rodzą tu, we mnie, daktyle, banany.

Indygo, sago i kokos dojrzewa
 W mych żyznych polach, w mojej bujnej głowie –
 A na gałęziach mych ptak rajski śpiewa,
 A w mych obłokach tańczą aniołowie.

Wszechświat przelewa się przez moje żyły
 I płynie we mnie tysiobarwną strugą –
 A ja wędruję szołomny, opiły
 I tak szczęśliwy na długo.

Świecie! Ty – moja ojczyzno!

Ból drzewa

Jam jest drzewo,
Na którym onego czasu
Zawisnął On na Golgocie.

Wyrosłem w głębi olbrzymiego lasu,
Listowie – co dnia – kąpałem w szczerym złocie.
Wiatr mnie ugiął, ach, wiatr mnie kołysał,
A z barek moich drogocenny zwisał
Płaszcz żywych liści.

Ja miałem ręce, ja miałem ramiona –
Rano, gdym wstawał z mgieł nocnej zadumy,
Szły z mego łona rozmarzone szumy
I wszystkie ze mną budziły się drzewa,
A każde bije do ziemi pokłony
Wypoczętymi gałęźmi – ramiony,
I wnet się wszystkie drzewa rozgadały,
A utęskliwe te nasze hejnały
Szły – szły – szły –
I rozpraszały zwierzętom ich sny.
Wiatr mnie ugiął! Ach, wiatr mnie kołysał!...

I miałem żyły. Mocne kręte żyły:
Jam się korzeniem w słodycz ziemi wsysał,
By pić jej soki aż po setne lata.
Aż przyszedł kres.

A rosłem, rosłem w macierzystym lesie,
Skąd nocą echo głos puszczyków niesie
I dzieci trwoży...
A na wiosnę miałem bujne liście,
A jesienią żółkłem ze zgryzoty,
Że w zimie już nie będę słońcem złoty...
To było ongi bardzo uroczyście:
Przez ciało moje przechodził Duch Boży

I ciszył moje szlochy doskonale,
 A szrony ciało me tuliły w szale
 Srebrniutki i miękkie jak puch.
 I tak zasypiał we mnie wszelki ruch,
 I już opadły z ramion kruche liście
 Znużone.

A kiedy pierwszy spadł na ziemię śnieg
 I biczem palce me skostniałe siekł,
 I z świstem mnie po nagim ciele prał –
 Jam już spał. Jam już snem zimowym spał
 Tam, w macierzystym lesie.

Słuchajcie bólu mojego!
 Wiem, co są burze, orkany,
 Wiem, co to z wściekłym mocować się wichrem,
 Gdy skacząc nadciąga pijany
 I tęgie ugina konary,
 I chude gałązki łamie!
 Ja wiem, ja wiem, bom jest stary:
 Znam burzę, a burza zna mię.
 Nie to! Nie to!

Tam, w macierzystym lesie,
 Kędy wąsate wiją się porosty,
 Na podścielisku miękkuchnych mchów,
 Słuchałem nocnej gęźby sów
 Przez długie i błogie lata.
 A byłem prosty! Byłem jak mąż prosty!

Aż przyszło do mnie trzech drwali
 I coś ze sobą gadali:
 Jakom jest mocny i prosty!
 I przyszło do mnie trzech drwali,
 I ci mnie zamordowali –
 Ostrzone mieli topory.

I skórę ze mnie złupili,
I bili, i bili, i bili,
Aż łzy wytrysły z mej kory.

Zawył przeciągle mój korzeń.
Pień głucho zastękał pod ciosem,
Aż runął całym kolosem
Na ziem.

O, wiem, och, wiem:
On nie mógł znieść upokorzeń!
I drgało we mnie, jęczało
Każde me włókno,
Wydane siekierom na łup.
A oni drą ze mnie skórę
I stałem się blady jak trup.

I przyszło do mnie trzech cieśli,
I ci mnie z trudem ponieśli:
Dwóch z przodu, a jeden z tyłu,
Jak trupa – tak mnie gdzieś nieśli.

A potem czułem, jak cieśle
Ręce mi precz odciosali,
I czułem, że Bóg na mnie ześle
Sromotę gorszą niż śmierć.
A cieśle (chcieli zarobić)
Na poprzek mojego trupa
Kładli zrabaną mą rękę
I przygwoździli ćwiekami.

Znam, znam tę człowieczą mękę –
Przybili mnie w poprzek ćwiekami,
Podnieśli mnie prosto wzwyż:
Ludzka krew mnie poplami,
To Cieśli syn będzie, Cieśli!
Cieśle mnie w górę podnieśli,

Abym był KRZYŻ!
Niosą mnie, niosą i niosą,
I widzę z głów ludzkich las,
Tylko że lat ten szalony
Stubarwny jest, nie – zielony,
I krzyczy, i woła: „Już czas!...”
I niosą mnie, niosą i niosą –
Poznając: On stoi tam boso
I czeka –
A twarz i oczy, i ręce
Wzniesione w niemej udręce
Były jak u człowieka.

A ciężki byłem, choć trup,
I trzech mnie niosło z mozołem,
A jednak Ów z bladym czołem,
Co później na mnie zastygnął,
Sam mnie podźwignął.

I niósł mnie na górę wysoką,
I trzykroć upadał pode mną,
I łzami zaszło Mu oko,
Kiedy Mu nikt nie chciał pomóc.

A potem stało się ciemno.

Słuchajcie bólu mojego!
Na szczycie
Wbili mnie oni do ziemi!
Z ramiony rozpostartemi –
Jednym na prawo, a drugim na lewo –
Stałem ja, wielki trup-drzewo,
Stałem jak ognisty słup,
A na mym trupie rozpięty był trup!

Chciałem zakrzyczeć ze wstydu:
 To memu ciału ubliża!
 To memu sercu ubliża!
 (Bo drzewo ma serce.)
 Zdjąć Go z krzyża!
 Alem był trup.

Lecz w lesie mym, macierzystym,
 Ozwały się zaraz chórem wszystkie drzewa,
 A w lesie wielki wicher, wielka ulewa.
 Jęczały siostry-lipy, wyli bracia-buki,
 Klony, graby, jesiony... Na gałęziach kruki...
 Zapłakały wierzbę, zaszlochały jodły,
 A sosenki maluteńkie kwileniem zawiodły,
 Aż na całej ziemi wszystkie bory, lasy
 Zatrzęsły się szumem płaczu, co po wszystkie czasy
 Głosił mą hańbę:
 – To naszym ciałom ubliża!
 – To naszym sercom ubliża!
 – Zdjąć Go z krzyża! Zdjąć Go z krzyża!
 – To naszym rękóm ubliża!
 – Nie będzie On krzyżowany!
 – Zdjąć Go z krzyża! Zdjąć Go z krzyża!...

Zasię On wszystkie już wytrzymał rany,
 A oni dobrze wbijali weń ćwieki –
 W Niego i we mnie.
 I gromy biły, a huk był daleki.
 I tak zastygał na mym martwym łonie,
 A matka Jego w krwi maczała dłonie,
 Co strugą po mnie ściekała.

O Matko! My oboje wiemy,
 Co znaczy nosić Go: Tyś Go nosiła

W żywocie Swoim, zanim się narodził,
A jam Go nosił na śmierć.

Potem Go zdjęto ze mnie, a był blady
I zimny bardzo. Boleściwa matka
Była tuż przy nim, była do ostatka,
I w białe, tkliwe złożyła Go chusty,
I długo bełkotała coś niemymi usty.

Ja stałem pusty!

Słuchajcie bólu mojego:
Nazajutrz, nazajutrz rano
Precz mnie z tej góry zabrano
I gdzieś za miastem ciśnięto.
Ja – drzewo, drzewo skrwawione,
Gniję od lat w głębi ziemi,
A ta ziemia jest święta!
I zgniłem.

A On zmartwychwstał –
Mówi wieść.

Psalm

Boże poranków, zmierzchów i wichury,
Ojcze niebieski!

Ja, Józef Wittlin, z pokolenia Judy,
staję przed Tobą w nagości mych grzechów,
żeby niegodnymi ustami wybełkotać Twą wielkość.
Ze strachem postrzegam, jak serce moje coraz bardziej
chyli się ku ziemi,
na której coraz rzadziej przebywa Twa stopa.
Zanim się wszystek zatracę w ziemskiej miłości,
chcę Ci resztkami mojego dzieciństwa
zaśpiewać psalm.
Niech on zostanie u Ciebie zakładnikiem mej wiary,
aż do godziny mojej śmierci.
A gdybym kiedyś zaparł się Ciebie –
niech on mnie przed Tobą odkupi.

Pochwalony, pochwalony, pochwalony
bądź, Wiekuisty Panie, po wszystkie czasy!
Pochwalony bądź językiem żyjących,
jako byłeś wielbiony językiem tych, co pomarli.
Bądź pochwalony po polsku, po niemiecku, po francusku,
po arabsku, po hebrajsku, po chińsku
i nieprzeliczoną rzeszą języków,
którym Ty nadałeś ich osobliwość
owego dnia,
gdyś pomieszał jedyną ludzką mowę
za grzech babilońskiej wieży.

A pochwalony bądź porykiem wszelkiego bydła,
rżeniem koni, bekiem owiec, szczekaniem psów, miauczeniem
kotów
i brzękiem wszystkiego owadu.
A pochwalony bądź śpiewem ptaków:

Tobie niech zawodzi skowronek w słonecznym żarze,
Tobie niech słowik zagorgoli w cichą, jarową noc,
Tobie niech kukułka zakuka i synogarlica niech Ci zagrucha
w codzienny dzień.

Niech bocian Twoją chwałę zaklekoce 19 marca każdego roku
i dzięcioł, przez cały rok wierny naszej ziemi, niech Ci zastuka!
Ale Tobie niech zakracze kruk nad zwłokami żołnierza,
niech zakracze nad padliną pohańbionego człowieka.
Bądź pochwalony hałasem dzikich zwierząt i pochwalony
milczeniem ryb.

A pochwalony bądź przez wszystkie instrumenty,
ręką ludzką działane!
Skrzypce zawodliwe i flet, i obój, ludzki głos udający,
i roztkliwiona harfa, i szumne organy,
na których grywają w Twoich domach,
niech na Twą chwałę wydźwięczą swe głębie,
bowiem Ty w instrumenty muzyczne włożyłeś własną duszę!
Cokolwiek na ziemi głos z siebie dobywa –
niech Twoją piękność głosi!
O, piękny jesteś we wszystkich głosach, których nie słyszą głusi!

Więc pochwalony, pochwalony, pochwalony
bądź, Wiekuisty Panie, przez wszystkie kolory:
Ciebie uwielbia kolor zielony, którym pomalowałeś trawę,
Tobie się kłania fiolet i biel!
Bądź pochwalony złotem i srebrem, czerwienią ognia i czerwie-
nią krwi,
a osobiwie
kolorem niebieskim,
którego nazwa dla słodczy swojej
wzięta jest od Twych niebios!
I pozdrowiony bądź kolorem czarnym,
który jest smutny, albowiem w nas budzi
smutek!
O, piękny jesteś we wszystkich kolorach, których nie widzą ślepi!

Bądź pochwalony przez wszystkie zapachy, jakie wydaje Twa
[ziemia!

I wszystko zboże, którego ubodzy nie mają na chleb,
i wszystkie rośliny, od najdrogocenniejszych korzeni
aż po najlichszą lebiodę,
niech Ci się kłania, niech Ci faluje i pachnie!

I pochwalony bądź zapachem potu
człowieka, co dźwiga brzemiona żywota
i dźwiga węgiel, i dźwiga kamienie,
i dźwiga skrzynie z okrętu na ląd!
O, piękny jesteś we wszystkich zapachach, których nigdy
nie powąchają nozdrza więźnia!

I pochwalony bądź wszelkim owocem, którego smak jest słodki,
i wszystkim zielskiem, co wydziela gorzyc i cierpki, trujący
sok!

Bądź pochwalony słonymi łzami, co płyną z oczu człowieka,
i kwasem octu, którym kojono pragnienie Ginącego na Krzyżu.
Pochwalony, pochwalony, o, pochwalony bądź, Wiekuisty Panie,
smakiem chleba naszego powszedniego i smakiem wody,
i smakiem wina,
pochwalony bądź ciałem i krwią Twego Syna
i pochwalony gorzyczą, i pochwalony żalem, i pochwalony
[rozpaczą

tych, co są głodni i płaczą,
i krzyczą, że Ciebie nie ma!

Pozdrowiony, o, pozdrowiony bądź skargą wdów i
lamentem matek, których synowie zginęli na wojnie.
Bądź pozdrowiony opuszczeniem sierot: w nich jest przybytek
Twej wielkiej miłości.
Tak dnia pewnego i do mnie zstąpiłeś,
podałeś rękę mojej boleści –
i odtąd boleść moja żyje w cieniu Twjej łaski!

O, pochwalony bądź obłudem ludzi,

którym kazałeś, aby byli źli,
 którym zgasiłeś przed oczyma światło,
 a oni żyją i giną w ciemności.
 O, pochwalony bądź zdrowiem i chorobą,
 i świętym obłąkaniem poetów!

Bądź pochwalony, o, pochwalony pięknnością dzieł Twych
 [własnych
 rąk!

Cichy szepc Nilu, święty szum Gangesu, smutek Jordanu
 wraz ze mną płyną do Twoich kolan.
 Wszystkie rzeki, których nigdy nie widziałem
 I tylko sobie tak wyobrażam po nazwie,
 wpadają wraz ze mną do Ciebie,
 o Nienazwany, stokroć Nazywany, o Ty, Oceanie Spokojny!

I wiesz, kto Ciebie jeszcze chwali?
 Mała rzeczka w Nagórze, tej wsi, gdzie spędziłem
 dzieciństwo,
 tak mała, że nawet nazwy nie ma u ludzi!
 Ale u Ciebie ona nazwę ma,
 Ty ją znasz, Ty słyszysz jej nikły szum,
 jak słyszysz mój słaby i mizerny głos,
 co śpiewa dziś Twoją chwałę.
 Oboje, ta rzeczka i ja, płyniemy ku Tobie w samotnym zakątku
 polskiej ziemi,
 wzywamy Ciebie – Tyś i nas policzył,
 ufamy Tobie – Ty nas nie opuścisz,
 wołamy Tobie: Hosanna!

Hosanna, Hosanna! Na wieki wieków – Amen.

I bądź pochwalony modlitwą tych, którzy w Ciebie nie wierzą.

1922–1926
 („Pamiętnik Warszawski” 1931)¹

¹ Wiersz został dołączony przez Wittlina do rozdziału *Z Hymnów* w tomie zbiorowym *Poezje*; pierwotnie się w *Hymnach* nie pojawił.

Pieśń wigilijna o Adamie Mickiewiczu

I Tobie, i Jemu
Nad kołyską świeciła gwiazda Betleemu.

Z anioły wespoły
Czuwały nad Nim osły i łagodne woły.

Dzieciątku swemu w stajence śpiewała Matka-Dziewica,
Ciebie do snu kołysała Wilija, strumieni rodzica.

Z pokłonem przyszli do Niego, z darami trzech mądrych królowie –
Tobie w podarku ojczyznę zabrali trzech monarchowie.

Mirra, kadzidło i złoto dla syna Panny Maryi,
Sybir, kajdany i stryczek – dla polskiej szyi.

On grzechy świata odkupił na krzyżu w Jeruzalemie,
Ty – pielgrzymując do Polski – w dalekiej umarłeś ziemi.

On dnia trzeciego zmartwychwstał i Słowo ciałem się stało,
Tyś z martwych nie wstał – lecz zawsze z nami twe słowo mieszkało.

On – Bóg, Ty – człowiek i obaj cierpieliście za miliony,
Dzisiaj – nie boski, lecz ludzki ból jest już nagrodzony.

Obaj wy nas nauczali wiedzy, co nie jest wymowna:
Kochać nas uczył Zbawiciel, jak kochał ów nauczyciel,
Ubogi nauczyciel z Kowna.

1924

Elegia do Homera

(na ukończenie przekładu „Odysei”)

I

Tobie dziś gędzę, Homerze –
wydarty szkolnym wypisom,
Za ciebiem niegdyś w karcerze
siedział i bluźnił Odysom.
Płynęły łzy.

O ślepy, biedny mój bardzie –
co nawet nie masz dowodu
Na to, żeś istniał – w pogardzie
grążyłem ciebie za młodu!
W on czas, gry twe heksametry
w uszy wbijano mi klinem,
Tęsknie stawałem przed kinem
łasy dramatów na metry.
Aż raz w wojskowym szpitalu,
na jakiejś straszliwej wojnie,
Mówiłeś do mnie spokojnie
o tym, że miasta się palą.
Płynęła krew.

W to życie moje bydłęce
wtargnąłeś z królem Itaki:
On ręce podał mej męce.
(Myślałem: chyba poświęcę
Ostatnie moje szóstaki...)
Kupiłem cię w antykwarni –
o długoletnie źródłisko
Mych snów, upojeń, męczarni,
triumfu i pracy, i zysku.
Płynęło wino.

II

O morze! O święta żeglugo!
w tęskliwych nawach ulicy
Płynąłem sam, bez kotwicy,
aż tyś mię zrobił swym sługą.
I siedem lat na galerze
twojej siedziałem przy wiosle.
Dziś już rozkuty – wyniośle
dzięki ci składam, Homerze!

Ty nie urągaj mi, iżem
opił się krwią twojej cytary,
Ja, com niegodzien twych ciżem
czyścić, sterniku mój stary!
Hardo ci patrzę w oblicze
ślepe, acz w strasznej jasnocie,
Z ręką na sercu wyliczę
upadki moje w tym locie.

O, ślepy, biedny ty bardzie,
co nawet nie masz dowodu,
Żeś był! W dziejowym hazardzie
ty mię dziś chronisz od głodu!
Głody mej duszy i ciała
tobą spokoję, o maro!
Cała Hellada zadrżała,
kiedyś zabrząkał cytara!
Raz jeszcze dzisiaj, mój Arcy,
świeże uplotą ci wieńce
Upici tobą młodzieńcy
i ukołysani starcy.

1921

Gazeta

W gorącym piekle ołowiu na czcionki dni nasze topi
Straszliwy szatan Europy: linotyp.

Trą się o siebie, jak ciała zdyszane w lubieżnej walce,
Oliwnym potem oblane, bezwstydne, stalowe walce.

Krwia świata żywi się potwór, co serca ludzi prasuje,
Krew na czernidło zamienia i krwią tą życie nam truje.

W tych czarnych młynach sensacji kupuje świat za dwa grosze
Samego siebie – żarnami machin zmełtego na proszek.

Płachty papieru, człowieczą męką cuchnące całuny,
Codziennie nas obśliniają obleśnym swym pocałunkiem.

Cherlacy w dusznych redakcjach z tryumfem ciskają do kosza
Boską duszę człowieka – to oni panami są koszar.

Naga błaga jak hycel z wrzaskiem już lasso zarzuca
Na szyję Boga; o Panie, uciekaj, co sił w Twoich płucach!

Pollice verso, jak Neron, na śmierć skazujesz narody,
Policjo hańby i chwały na służbie zbrodni i mody.

Tajemne planet obroty twój wzrok jaszczurczy już ściga,
Po naszych trupach się toczy twoja zwycięska kwadryga.

Z wszystkiego, co jakiś minister na politycznym śniadaniu
Służbowo za naród swój wypił, z urzędu za państwo swe zjadł,
Ty chwytasz w mig niedogryzki i trawisz w porannym wydaniu,
I już je po tobie przeżuwa jak krowi brzuch – cały świat.

Homer, homary i humor, szampon, Szampania i szampan:
 Wszystko pochłaniasz, gazeto, królowo krachów i hoss,
 Na katarynce wydarzeń skaczesz z radości jak małpa
 I sprośną łapą tłumowi parszywy poddajesz los.

Swatko skandali, kuplerko człowieczych nieszczęść i klęski,
 Matko niesławy, co czynom naszym nadajesz swój kształt,
 Jak trąby Jerycha ochryple rozbrzmiewa twój okrzyk zwycięski:
 – Królestwo dam za morderstwo! Królestwo oddam za gwałt!

Już wrota niebios zbryzgała twa jadowita ślina,
 Zebrana z języków świata jak wino z trujących czasz,
 Dałoj, Radosna Nowina! Nie ma już Ojca ni Syna,
 Oto „Nowiny Codzienne” Duchowi napluły w twarz!

Jak Noe, który z swą arką osiadł na górze Ararat,
 Tak ja z mym sercem, o Panie, u Twoich ląduję nóg,
 Ty, co nie jesteś sensacją, strzaskaj ten radioaparat,
 Którym depeze nadaje szatan, odwieczny Twój wróg.

Oto już straszny niebieski reporter mnie dopadł u Ciebie,
 O wiekuisty artysto, coś ziemię z miłości Swej wykuł,
 Nie wpuść go tutaj, on filię redakcji założyć chce w niebie
 I pragnie Stworzenie Świata przerobić na wstępny artykuł!

Nie daj, by szatan gazety zabrał na makulaturę
 Dusz naszych czyste arkusze, a gdyby jednak się zakradł,
 Krzyknij mu wówczas przez tubę taką sensację, od której
 Świat się zawali!

A potem skonfiskuj cały nasz nakład!

1926–1927

Święty Franciszek i biedni Żydzi

Imienia Twego wzywają nadaremno
Bogaci, pyszni, cnotliwi i syci.

A ty, gdybyś żył,
Przyszedłbyś pewno i do nas, którzy jesteśmy bici.

My biedni, obdarci Żydzi,
My trędowaci na duszy,
Chodzimy w żółtej łacie.

Ty byś nas się nie brzydził,
Ty byś, o święty, gojski patriarcho,
Najnędzniejszemu z nas powiedział: bracie,
Bracie parchu!

1932

Skrucha w Asyżu

Tyle, tyle pieniędzy
Zebrać musiałem na podróż do sanktuarium nędzy.

Tu, seraficki śpiewaku, każdy wyznaje Cię kamień.
Serce człowieka jest twardsze, a więc na kamień je zamień.

W pociągach z całego świata znudzone lordy i ladies
Jadą sleepingiem – całować ręce Twej żony-Biedy.

W hotelu tuż obok krypty kościoła, gdzie ciało Twe leży,
Na srebrnych tacach wspaniałe lody podają kelnerzy.

O słodsza łez Twych ochłoda, smaczniejszy chleb Twej jałmużny,
W sytości dziś podziwiamy Twój brzuch, co często był próżny.

Tam, gdzieś krwią Swego serca pożywiał ptasią naturę,
Kucharz dziś dla nas morduje pokorną siostrę Twą, kurę.

Próżność obnosim na pokaz w odzieży z najdroższych włókien
Tam, gdzieś Ty chadzał nagi – o synu handlarza sukien.

Do Twych bazylik wnosimy serca płonące od wiary,
W banku di Spirito Santo – zmieniamy nasze dolary.

Jako te wilki okrutne czyhamy na bliźnich zgubę
Tam, gdzieś Ty zawarł przymierze ze srogim wilkiem z Gubbio.

O miłosierny patronie wszystkich, co biorą po gębie,
Ucisz już serca człowiecze, jakoś uciszył gołębie.

Ręką krwawiącą, co boskim przebita była stygmatem,
Uczyn mir wiekuisty pomiędzy mną a tym światem.

Kołysanka dla mojej córeczki

Dla ciebie, jasna, zielone banany
Czarnymi rękami zrywają Murzyni,
Dla ciebie płyną przez oceany
Ładowne statki do Gdyni.

Ty śpisz – i nic o tym nie wiesz.

Każdego rana, nim zorza na niebie
Rozgromi wojska mroku w krwawym boju –
Gdzieś tam, daleko, bielutkie mleko
Dla ciebie doją.

A ty się ze snu uśmiechasz.

Niezrozumiałe dźwięki jak pociski
Biją w forteczne wały twej kołyski –
Pancerz niewiedzy twą duszę osłania
Łagodną ciszą jak troskliwa niania.

I płyniesz na fali czasu.

Zanim cię ze snu aniołów obudzi
Skarga bolesna białych jak ty – ludzi,
Nim bity w rzeźni wół tobie zaryczy,
Nim poznasz gorzyc wszelkiej słodyczy –

Śpij i o niczym nie wiedz.

1933

Litania

O wszystkim, co się teraz dzieje – milczę.
Milczę o moich bliźnich poniżeniu.
Milczę o bliźnich moich pohańbieniu.
Milczę o Polsce po śmierci Marszałka,
O głodzie głodnych, o sytości sytych,
O wszystkich w boju nierównym pobitych.
Milczę o nędzy wsi i doli chłopca.
Milczę o nędzy miast i bezrobociu.
Milczę o mroku w duszach gnębicielei.
Milczę o mroku w duszach pognębionych.
Milczę o szczuciu ludzi przeciw ludziom.
Milczę o biciu bezbronnych i słabych.
I o istnieniu Berezny Kartuskiej,
I o kajdanach na rękach poety.
(O tobie milczę też, panie cenzorze,
Więc nie konfiskuj mojego milczenia.)

Milczę o wszystkim, co z mego sumienia
Czyni nieczystą, krwawą, ropną ranę.
Milczę o wszystkim, co gardziel mi dusi.
Milczę o zmorach, które noc mi kładzie
Na sercu pełnym grozy i goryczy.
Z czeluści piekieł, które się rozwarły,
Dusza milczeniem krzyczy.

Milczę o wszystkich zbrodniach, które widzę.
Milczę o wszystkich uzbrojonych tchórzach.
O tonach krwi, wylanych nadaremnie.
Milczę o wojnach, które już się toczą.
Milczę o wojnach, co jutro wybuchną.
Milczę o dzieciach w trupiarni Madrytu.

Milczę o łasce bomb i iperytu.
Milczę o wszystkich procesach moskiewskich.
Milczę o diable, co po świecie chodzi.

Panie, co sądzisz słowa me i czyny,
Nie karz mnie srogo za moje milczenie.

1933

Żydom w Polsce

Krew z waszej starej krwi, kość z waszej kruchej kości,
 O bracia moi w gettach, ja nie mam słów dla mej wielkiej żalości,
 Męczeńska wasza krew na brukach Polski zastyga,
 Męczeńską waszą krew już z trudem pieśń moja dźwiga.
 Strzaskana wasza kość na polskich polach bieleje,
 Zgłodniały omija ją pies: przekleństwo z kości tych zieje.
 Wnętrznosci szarpie wam głód, katowska rozrywa je kula,
 Daremnie czekacie na cud, śmierć was papierem otula.
 Papierem: nowego Anioła Śmierci brudnymi skrzydłami
 Szeleści mojej boleści śpiew – bezsennymi nocami.

Gdzie jesteś, manno niebieska na nowej świata pustyni?
 Gdzie jesteś, lasko Mojżesza, co dziwy dotknięciem swym czyni?
 Gdzie jesteś, Łaski Krynico, co zmywasz grzechy żywota?
 Gdzie jesteś, zorzo światłości, przed którą pierzcha ciemnota?

Fontanną mleka trysnęło spod kocich łbów Nowolipie,
 Z ceglanych murów niewoli przezczysta mąka się sypie.
 Winną macicą porosło Leszno jak stoki Karmelu,
 Marzeniem duszę bezgrzeszną upijasz, mój przyjacielu,
 Amerykańskiej pomocy czekasz jak ongi Mesjasza.
 Na próżno żydowski twój lekarz widma zarazy przepłasza.
 Brat-chrześcijanin tajemnie przyniósł ci kilo ziemniaków.
 Truciznę zażył gettowy twój burmistrz, Adam Czerniaków.
 Na magistracie wieczności prezydent Starzyński go witał.
 – Podaj mi rękę, bracie! – powiedział i o nic nie pytał.

Krew z waszej starej krwi, kość z waszej kruchej kości,
 O bracia, smutną wam pieśń posyłam z dalekiej wolności.

Wnętrznosci szarpie wam głód, katowska rozrywa je kula,
 Daremnie czekacie na cud, śmierć was papierem otula.
 Papierem: nowego Anioła Śmierci brudnymi skrzydłami
 Szeleści mojej boleści śpiew bezsennymi nocami.

Nowy Jork, 30 sierpnia 1942

Na Sądny Dzień żydowski roku 1942 (5703)²

Od tylu wieków się toczy gardłowa przeciw nam sprawa
I bez Twojego wyroku odwieczna kaźń nasza trwa.
Powołaj świadków obrony i niech się skończy ta krwawa
Parodia Sądnego Dnia.

Miast pieluch – już nam w kołyskach śmiertelne wkładają koszule,
Od bicia, bicia się w piersi – na kamień stężała nam dłoń.
Jehowo! Zjaw się na Sądzie i wykryj błąd w protokóle,
Z nadobłocznego zejźdź tronu i sam przed Sobą nas broń!

Już pierwsze gwiazdy zabłysły na Twoich niebios powale,
Starcy zadęli w rogi, płomienie buchnęły im z bród...
Tyleśmy grzeszni, co inni – in hac lacrimarum valle³
Wygnańcy, synowie Ewy, przeklęty Kaina płód.

² Józef Wittlin zawarł w tytule odpowiednik roku w kalendarzu żydowskim, w którym rachuba lat zaczyna się od dnia stworzenia świata, czyli wedle tradycji 7 października 3761 r. p.n.e.

³ Łac. w tej łez dolinie.

Stabat Mater

Stała matka boleściwa – na rynku,
Przy swym martwym powieszonym synku.

Stała w świata przeraźliwej pustce,
Polska matka w służącońskiej chustce.

Nie płakała i nic nie mówiła,
Zimne oczy w zimne zwłoki wbiła.

Wisiał martwy, z wszystkiego wyzuty,
Niemcy przedtem zabrali mu buty.

Będą w butach jej syna chodzili
Po tej ziemi, którą pohańbili.

Po tej ziemi, która umęczona
Stoi – patrzy – i milczy jak ona.

Stabat Mater, Mater Dolorosa⁴,
Gdy jej synów odcinali z powroza.
Kładła w groby, głuche jak jej noce,
Martwe swego żywota owoce.
Stabat Mater, Mater nostra, Polonia –
Z cierni miała koronę na skroniach.

1942

⁴ Łacińska sekwencja („Stała Matka, Matka boleściwa”) ukazująca boleść Matki Boskiej po ukrzyżowaniu Chrystusa. Uznaje się, że autorem tych słów był Jacopone da Todi – włoski poeta, franciszkanin.

Moja pieśń myśliwska

U jednego gospodarza,
w tym samym lasku brzozowym
mieszkamy już trzeci rok.
Zające, płochy sąsiady, czemu was mój krok
tak bardzo przeraża?
Jest maj, a w maju nic wam nie grozi, zające –
wiecie wszak z kalendarza,
mordować wolno was tylko w zimowe miesiące.

Ja – waszej krwi niełakomy
(choć comber zajęczy w śmietanie, owszem, lubię).
Ja też uciekam przed losu morderczą obławą
i nie wiem, czy w tej ucieczce mam w lewo skręcić czy w prawo,
może, gdy szukam ratunku, steruję prosto ku zgubie
i kiedy mi się wydaje, że już zmyliłem tropy,
zły los mnie na progu własnego domu dopadnie
i zamiast w bezpiecznej przystani
głęboko znajdę się na dnie
przepaści.

1925 lub 1926 i 1975

Ściśle osobiste

Już krew znużona w mych żyłach ostyga
i własne ciało jest mi obcym ciałem.
O, jak mi obrzydł ten stary dziadyga,
którym się stałem.

Czego ode mnie chce ta pała łyśa,
którą oglądać przy goleniu muszę?
Niechbym raz w lustrze ujrzał moją duszę,
skoro z niej cierpki szpik tych słów wysysam.

Któryś na obraz Swój i podobieństwo
nas w celu znanym tylko Tobie stworzył,
spójrz teraz na mnie: mógłbyś tak okropnie
jak ja wyglądać, Stworzycielu boży?

Trupem za życia sam już sobie cuchnę,
więc jak nie tęsknić do wonności raju,
gdy sztuczne zęby ze strachu szczękają –
nimiz to będę gryzł ziemię-matuchnę?

Wrzesień 1968

Z drzewa poznania

Z drzewa poznania dobrego i złego
nie rwałem owoców, nie jadłem.
Nigdy mnie wąż do grzechu nieczystości
nie kusił, ale we mnie jest nieczystość
i wiem:
wąż z ludzką twarzą był diabłem.

W umbryjskich górach, w rajskim Montelucio,
w samo południe – ubiegłego lata
ujrzałem węża.
Nie pełzał po łące
wśród wonnej mięty i błękitnych ostów,
ale wysoko na konarze dębu
zaczaił się, by ptaszki w gnieździe dusić.
Solidarnością ptasiego rodzaju
wiedzione,
węża na drzewie wyczuły
popasające na łące indyki.
Z kapitolinśkich biorąc przykład gęsi,
zmienionym głosem zaalarmowały
w porę starego contadina⁵, Pepe:
przybiegł i pałką strącił węża z drzewa,
i łeb diabelski kamieniem rozplątał.

Czemu, o wielki Boże, w Twoim raju
nie było wtedy contadina Pepe?
(Indyki chyba były.)
Lecz jakże mógłby znaleźć się w Edenie,
gdybyś na wieczną bezgrzeszną bezdzietność
skazał rodziców ludzkiego rodzaju?

A tak cheruby i ten miecz ognisty,
policja...

Grudzień 1968

⁵ Z j. weneckiego: rolnik.

Lament barana ofiarnego

Dlaczego ja? Dlatego żem zwierzę
i nie mam duszy? A za to mam rogi
mocno w cierniowym krzaku zaplątane,
tak abym nie mógł uciekać przed nożem
obłąkanego z przerażenia starca?

Ich mędrcy mówią, że od dnia szóstego
stworzenia świata – na górze Morijah
czekam na ten nóż, by moja szyja
była przecięta, a nie szyja chłopca,
i bym za niego na tej wiązce chrustu
spłonął.

Aby zaś swędu mych palonych jelit,
smrodu mej krzywdy krzyczącej do nieba,
nie czuł Ten, który od starego ojca
tak przeraźliwej zażądał ofiary,
posłuszny starzec nasypał do ognia
wonných korzeni, żywicy, kadzidła,
nardu i mirtu...

I był Mu przyjemny
dym mojej męki, woń mego konania.

I cóż, że nie mam duszy, skoro moje ciało
tak samo czuje ból jak czują oni,
a moje serce tak samo ze strachu
wali jak walą ich struchlałe serca,
kiedy anioła śmierci szum skrzydeł ich zmrozi.

Musiał być spełniona ta ofiara?
Nie dość Mu, że poigrał Sobie z sercem starca
i ślepego posłuchu żądzę tym nasycił?
Czemuż i mego życia nie oszczędził?
Żeby ofiarny stos się nie zmarnował?
I nie zardzewiał nóż krwią nie skalany?
Za bardzo liczył na moją niewiedzę,
bo duszy nie mam...

Tak, żadne zwierzęta
nie mają duszy, więc nie mogą grzeszyć.
Nas z raj
nikt nie wyganiał..

A wy z waszej duszy
coście zrobili? Cuchnącą kloakę,
w której się lęgną wszelkie nieprawości.
Chociażby ta: że u was zawsze cierpieć
i zdychać musi za winnych – niewinny.

Dwunożnych kozłów ofiarnych, tych z duszą,
całe narody w krematoriach płoną,
złowonne dymy w stropy niebios biją,
lecz aniołowie z nich nie wyfruwają,
by ręce katów powstrzymać od mord.

I mówią mędrcy, że ogień do szczętu
mnie nie pochłonał na górze Morijah,
na moich kościach – mówią – zbudowano
Jemu – najświętszy przybytek, z żył moich
spleciono struny na harfę Dawida,
a moją skórą przepasał się prorok
Eliasz, co trąbić ma na spiłowanym
i wydrążonym prawym moim rogu
na górze Morijah,
gdy do potomków posłusznego starca
przyjdzie nareszcie wymodlony Mesjasz.

Ach, dmijcie sobie w oba moje rogi,
pod Ścianą Płaczu
mój ból się nie liczy,
mój strach nieważny, bo ja nie mam duszy.

I tylko jeden raz w dziejach tej ziemi
braćmi zwierzęta nazwał – święty człowiek.

1968

Poeta emigracyjny⁶

Dziwaczne gusła czyni,
świat wokół niego robi się coraz bardziej pusty,
a on na tej pustyni
wolnymi głosi usta
pochwałę wolnych ust.

1975

Postscriptum do mojego życia

Nad moją śmiercią niechaj nikt się nie wygłupia.
Życie me było ciężkie – egzystencja trupia
Też lekka nie jest – delcją robaków
Będzie, co jeszcze dziś jest mym ciałem,
I wszystko, co na ziemi tej kochałem,
Odpływa, na zawsze odpływa.

Lecz Ty, o którym chcę wierzyć, że jesteś,
Poślij tam, gdzie – jeśli ją mam – będzie moja dusza,
Pocieszyciela Twego – Wolfganga Amadeusza.

⁶ Wiersze *Poeta emigracyjny* i *Postscriptum do mojego życia* – odnalezione w papierach pośmiertnych Józefa Wittlina – podała do druku w tomie *Poezje* żona autora, Halina Wittlinowa.

Proza

Sól ziemi

Rozdział I

W głuche zakątki huculskiej ziemi, pachnące miętą w letnie wieczory, w senne wioski, przylepione do cichych połonin, gdzie pasterze grają na długich trombitach – wdziera się kolej żelazna. Ona jedna łączy ze światem te ustronia, zabite od niego deskami. Ona rzuca w ciemną noc barwne światła semaforów i gwałci ciszę, i gwałci dziewiczość wielkiego nocnego spokoju. Wrzaskiem oświetlonych wagonów rozdziera błonę mroku, przeciągłym gwizdem budzi ze snu zające i uśpioną ludzką ciekawość. Jak olbrzymia żelazna drabina, przybita gwoździami do kamienistej ziemi – z nieskończoności w nieskończoność ciągną się na drewnianych progach czarne, połyskliwe szyny. Białe domki stacyjne, ujęte w żywopłoty, ogródki, altany i klomby z kolorowymi, szklanymi kulami na ubielonych drażkach, liczne mostki żelazne nad strumykami i gęsto rozsiane budki dróżników zadają kłam pozorom, jakoby na tej ziemi diabeł mówił: dobranoc!

Na małej stacji Topory–Czernelica od lat dwudziestu ładuje zboże, drzewo, kartofle oraz beczki ze spirytusem, pędzonym w okolicznych gorzelniach – człowiek, który wyszedł z ciemności. Ciemność była jego ojczyzną i żywiołem, jak żywiołem ryby jest woda, a żywiołem kreta – ziemia. Jak kret przebijał się Piotr przez ciemność i żłobił w niej podziemne korytarze, niezbędne do życia. Jak ryba wyrzucona na ląd rozpaczliwie łapał ustami łaskawe powietrze.

Czyścił lampy stacyjne, nalewał naftę i zamiatął tak zwaną poczekalnię. Gdy trzeba było, pomagał przy naprawianiu toru, usuwał spod szyn przegniłe podkłady, sypał żwir, niekiedy jeździł nawet z inżynierem drezyną. Pośpieszne pociągi nie raczyły zaszczyć stacji Topory–Czernelica nawet zwolnieniem biegu. Omijały ją z lekceważeniem, ciskając jej w twarz wzdgardliwą chmurę dymu. Letnią porą jednak zdarzało się, że wysiadali tutaj jacyś państwo z miasta. Jacyś gimnazjaliści przyjeżdżali z kuferkami, których sami nie mogli udźwignąć. Pociąg stał w Toporach zaledwie trzy minuty, a nieporadni panicze, chcąc ukryć strach, wołali rozkazującym tonem jak doświadczeni podróżni: – Pakier! – Wówczas

Piotr, chociaż nie był żadnym pakierem i nie miał czapki kolejowej, i nie nosił nawet mosiężnej pakierskiej blachy na piersi, rzucał się do wagonu, chwycił kuferki i zanosił je do czekających za budynkiem stacyjnym „koni”. Czasem ruski paroch jeździł do miasta i trzeba mu było pomóc przy wsiadaniu, czasem w dużych lasach odbywało się polowanie i niektórzy hrabiowie, żeby nie trudzić własnych koni, woleli jechać koleją. Zarobiło się wówczas coś niecoś i kilka hrabskich papierosów można było schować pod czapkę. To były czasy!

Albo po żniwach: a to worki z owsem, a to z kukurydzą. W takich wypadkach można było niekiedy wyciąć dziurę w worku, a w razie czego powiedzieć, że worki „same” były dziurawe. Zresztą worki nie były plombowane.

Naczelnik – ludzki był człowiek: po mordzie – ma się rozumieć – bił, ale ze służby nie wydalął. Gdy pan naczelnik dał w mordę, trzeba go było zaraz pocałować w rękę, stuknąć się w piersi i powiedzieć: – *Bih me! Słowo czestne daju, to ostatnij raz!* – ale kradzionego oddawać nie musiało się. To było życie!

Całe życie Piotra wypełnione było noszeniem. Już jako dziecko nosił w sobie skutki owej sławnej huculskiej choroby, którą ludzkość zawdzięcza pono Francji. Skutki te można było poznać po typowym nosie oraz po pewnych mankamentach zmysłu wzrokowego, które jednak w późniejszym wieku nie rozwinęły się. Niezależnie od wpływów francuskich działały w dziecięcym organizmie Piotra również i wpływy angielskie. I tak: Francja i Anglia, te dwa wrogie elementy, zwalczające się na arenie dziejowej w ciągu tylu stuleci, podały sobie ręce w ciele huculskiego dziecka. Do końca życia zachował Piotr krzywe nogi.

Nosił ponadto barani kozuch po ojcu oraz nazwisko. Ojca swego nie znał. Matka była Hucułką i do późnej starości kurzyła fajkę. Trzymała się prosto, miała drobne stopy, kilka pięknych wyszywanych koszul i serdaków oraz mnóstwo dzieci, które umierały prawie natychmiast po urodzeniu. Uchował się tylko Piotr i ta Paraszka, co zdaniem wielu poważnych ludzi, lepiej by zrobiła, gdyby się nie uchowała.

Legendarny ojciec był pono Polakiem i nazywał się Niewiadomski. Nazwisko to – bez urazy panów szlachty – nadawano dzieciom,

których *pater incertus est*. Ale Piotr był dzieckiem prawego łoża. Łoże to mieściło się w chałupie, dziś już na pół rozwalonej, na samym końcu gminy Topory. Dla tej to chałupy, pokrytej słomą, siedział Piotr w Toporach przez całe życie i ani razu nie skusiły go saksy, chociaż go nieraz kusiły. Do chałupy należało pół morgi sadu. Z dwóch jabłoni jedna od dawna już nie rodziła.

Naturalnie, była ona własnością Paraszki, co pojechała do miasta i „gniła”, jak mówił ksiądz proboszcz, w pewnym publicznym zakładzie.

Za to śliwkami Piotra, z sześciu śliw, co jesień obżerały się dzieci sąsiadów. Gruntu własnego Piotr nie posiadał. Otrzymał wszakże w lenno od kolei działkę tuż przy torze. Sadził na niej kartofle, bób, kukurydzę, kapustę oraz kilka słoneczników. Właściwie nie on je sadził, tylko pewna sierota, Magda. Miała ona słabość do słoneczników. Po śmierci starej Niewiadomskiej w roku Pańskim 1910 zaczęła się kręcić koło chałupy Piotra. Złe baby we wsi gadały, że nieraz, jak mu wieczorem zanosila mleko, to wracała od niego dopiero o świcie, akurat do rannego udoju. Bo krowy własnej Piotr też nie posiadał. W młodości pasał wprawdzie maminą krowę i mamine gęsi, ale ledwo mamę pochowali, sprzedał krowę na jarmarku, połowę pieniędzy posłał Paraszce, bo tak się należało, a swoją przepił. Gęsi zaniósł na stację dla pani naczelnikowej, tyle tylko że sobie przedtem trochę pierza naskubał.

Zamiast całej chudoby miał psa. I jakiego psa! Taki pies to już nie pies, to anioł. Mleka co prawda nie dawał, ale za to był dobry pies, to znaczy zły. Kundel po matce, po ojcu wilk. (Piotr nie dbał o rasę, zresztą sam był mieszańcem). Pies nazywał się – Bas, niby że głos miał potężny. Gdy się nieco zestarzał, nie tyle złagodniał, ile zobojętniał i w całej wsi nikt się już tego Basa nie bał. Był on jedyną i prawdziwą miłością tragarza Piotra Niewiadomskiego.

Czemu Piotr nie zenił się z Magdą? To pytanie nieraz zadawali sobie ludzie sprzyjający sakramentowi małżeństwa, a raz zadał je nawet samemu Piotrowi ruski ksiądz, z konfesjonału, podczas wielkanocnej spowiedzi.

– Dzieci ja z nią nie miał – tłumaczył się Piotr – tak i nie będę miał.

I nie bacząc na straszne konsekwencje w życiu zagrobowym, jakimi groził paroch, skłonny wyjątkowo, gdy szło o ocalenie duszy

zatwardziałego grzesznika, obniżyć nawet takse za ślub, oświadczył Piotr kategorycznie:

– Ja się z nią zenić nie będę, bo ona nie jest prawiczka.

Były jednakże jeszcze inne powody, dla których Piotr, przynajmniej na razie, w ogóle nie chciał ozdabiać swej głowy koroną ze złoczonej blachy, jaką greckokatolicki rytuał zwykł wkładać podczas ceremonii ślubnej na głowy oblubieńców. Piotr Niewiadomski był fantastą. Marzył o całkiem innym nakryciu głowy. Było ono może nie takie błyszczące jak godowa korona, ale za to mógłby je nosić do końca życia, a nie tylko podczas ślubu. A jeśli szło już o to, aby zewnętrznie upodobnić się do możliwych tego świata, był Piotr znacznie bliższy prawdy, gdy życzył sobie pewnej ściśle określonej czapki z sukna zamiast wątpliwej wartości symbolu z blachy, który w godzinie ślubu miał go królom równym uczynić. Zresztą był zdania, że w złotych koronach chodzą tylko królowie z kart, a na kartach znał się dobrze.

W zamierzonych czasach, może w Metternichowskich jeszcze, jakiś mądry hofrat we Wiedniu wymyślił austriacko-węgierskie kepi. Skomponował kształt, ustalił wymiary, wymyślił krój i ozdoby i uzyskawszy najwyższą aprobatę, narzucił je wszystkim głowom, co służyć chciały cesarzowi. Nosił kepi dla przykładu sam cesarz, który samemu sobie służył, nosili je krewni cesarza, jego ministrowie, marszałkowie i generałowie, nosiły je hofraty i komisarze, nosili oficerowie i kanceliści, żandarmi (poza służbą) i muzykanci wojskowi, paradowali w nim woźni, listonosze, pedele gimnazjów, dozorczy więźniów i kolejarze od ministra do ostatniego dróżnika. Była to czapka cesarska. W niej Najjaśniejszy Pan pokazywał się z balkonu lub w powozie, do jej czarnego błyszczącego daszka przykładął drżącą dłoń w białej rękawiczce, ilekroć go witali poddani, których tyłu posiadał przez sześćdziesiąt sześć lat najmiłościwszego panowania. Naturalnie, że krój i ornament czapki w ciągu tak wielu lat najrozmaitsze przechodził koleje. Na cesarskiej czapce ślad swój wycisnęła niejedna klęska i niejedno zwycięstwo habsburskie. Również ze względu na rodzaj służby oraz na stopień w hierarchii przewidzieli mądrzy wynalazcy i odnowiciele kepi – różne subtelne odcienie, nie zawsze dostrzegalne oku laika. I tak na przykład czapka oficerska uszyta była z czarnego sukna i obwiedziona u spodu

złotym sznurem, w którym delikatnym zygzakiem wiła się czarna nitka. Niżsi funkcjonariusze natomiast mieli nie złoty, lecz żółty sznurek. Jedna tylko rzecz wspólna była dla wszystkich: monogram cesarza. Musiał być wyhaftowany lub wytłoczony na honorowym miejscu. Cesarscy ludzie byli nim znaczeni jak cesarskie chusteczki do nosa, jak cesarskie widelce i łyżki. Żeby ich nikt nie ukradł, nie sprzedał lub nie zastawił.

Piotr też był cesarski. Nigdy nie opuszczała go świadomość, komu służył. Pozornie tylko dźwigał ciężary dziedziom, pozornie usługiwał Żydom, którzy handlowali w tych stronach zbożem i kartoflami. W rzeczywistości dźwigał to wszystko dla cesarza. Za to cesarz mu płacił i chronił wyjątkowymi prawami. Niechby tylko jakiś kupiec odważył się uderzyć Piotra podczas służby! Byłaby to obraza cesarsko-królewskiej osoby, a wtedy nie ma żartu: za taką obrazę idzie się do kryminału.

A jednak nieraz Piotra ogarniało zwątpienie, ba, nawet czarna gorycz wpełzała mu do serca. Bo właściwie: czemu nie miał nosić cesarskiej czapki jak inni kolejarze? Czemu nie miał budzić respektu? Dlaczego mimo tylu lat wiernej służby wyglądał jak pierwszy lepszy cywil? Dlaczego nie awansował? Byłżeby tylko nadliczbowym luzakiem, którego w każdej chwili można zastąpić? Byłżeby tylko ordynarną łyżką kuchenną, której nie zaliczono do wielkiego skarbowego serwisu?

W takich chwilach Piotr Niewiadomski rozczulał się nad sobą i dochodził do przekonania, że lepiej cisnąć wszystko, całą tę służbę na kolei, z której ma się tylko zgarbione plecy, lecz niewiele pociechy. Może jednak lepiej będzie sprzedać dom (naturalnie, za zgodą Paraszki, która i tak już nie wróci), sprzedać sad i pojechać na saksy?

Niedługo wszakże nurtowały go te gorzkie myśli. Rychło na miejsce zwątpienia wracała wiara, że jeszcze nie wszystko stracone, że cesarz jest dobry, Pan Bóg – sprawiedliwy, i krzywdy swoim ludziom nie zrobią. Należy tylko cierpliwie czekać, cierpliwie harować, cierpliwie dźwigać ciężary i cierpliwie znosić obelgi konduktorów i starszych dróżników. Należy nawet znosić gniew naczelnika. Cesarski człowiek cesarskiego człowieka miał prawo bić po mordzie, bo bił w imieniu Jego Cesarskiej Mości. Tylko cywilom – wara!

I tak przez wiele lat spodziewał się Piotr, że kiedyś przyjdzie dzień, w którym doczeka się, dosłuży, dodźwiga i awansu, i podwyżki, i czapki. Może na dnie tego snu o cesarskiej czapce zachowały się resztki smutnego dzieciństwa, kiedy to stary, na śmietnik wyrzucony garnek służył za wojskowe czako. I zapewne ta dziecięca pozostałość w czterdziestoletniej duszy Piotra usprawiedliwi nam fakt, którego nie należy taić, fakt, iż Piotr Niewiadomski bardzo by się cieszył, gdyby zamiast kłaniać się po cywilnemu, mógł salutować.

Najchętniej zostałby dróżnikiem lub pomocnikiem na towarówce. Służba na kolei, już choćby przez sam kontakt z wagonami, które odchodzą w dalekie miejsca przeznaczeń, nie była dla Piotra pozbawiona uroku. Wraz z wagonami przejeżdżał przez stację Topory–Czernelica cały ów wielki świat, znany z opowiadań ludzi, którzy wędrowali. Piotr widział już takie wagony, gdzie można spać pod koldrą, wygodnie i miękko jak w łóżku, i widział takie wagony, w których panowie siedzieli przy stołach zasłanych białym obrusem i jedli, i pili, i byli bardzo zadowoleni. Nieraz jak błyskawica przelatywał przed osłupiałym Piotrem pociąg salon z firankami w oknach i kwiatami w doniczkach. Oparty o błyszczące okucia stał w oknie duży biały kucharz w białej czapie i coś wylewał z mosiężnej patelni.

I widział Piotr takie wagony, co przychodziły aż z Turcji, gdzie jest morze i gdzie są poganie, którym wolno mieć po kilka żon naraz, i widział wagony wracające z Wiednia, gdzie jest sam cesarz. Prawda, że z takimi wagonami osobiście mało się stykał (nie zatrzymywały się przecież na stacji Topory–Czernelica), ale nieraz przyszło mu opukiwać młotkiem koła, które toczyły się po zagranicznych szynach. Gdy dotykał rękami kół pociągów towarowych, co szły w dalekie a nieznane kraje, było to tak, jakby dotykał samej tajemnicy świata, której nigdy nie poznał.

Czemu nie miał zostać dróżnikiem lub jeździć na towarówce do rumuńskiej granicy? Przecież umiał czytać kolory, odróżniał czerwone od zielonego, chociaż był analfabetą. Zwrotnicę też umiałby obsługiwać. Mówili ludzie, że durny? Niechby i durny, no to co? Święci garnków nie lepią, a król Salomon też nie był konduktorem.

Gdyby Piotr został dróżnikiem, o – wtedy wszystko by się zmieniło. Nie stroniłby już od ślubnego kobierca, choć Magda tym bardziej nie wchodziłaby w rachubę. Piotr dróżnik byłby doskonałą partią dla

niejednej przyzwoitej wdowy, a nawet starszej panny, lecz, ma się rozumieć, posażnej, gospodarskiej córki. Wtedy dopiero założyłby dom, prawdziwy dom z prawdziwą babą. Odnowiłby chałupę, naprawiłby dach, przez który teraz przecieka deszcz, pokryłby go świeżą słomą, wyrzutowałby gnijące belkowanie okapu, wyszorowałby łóżko grubą szczotką. Nad łóżkiem wisiałyby rzędem święte obrazy Matki Boskiej Przejrzystej, Matki Boskiej Począjowskiej, Pana Jezusa z Milatyna i różne inne. Nad obrazami byłyby róże z czerwonej bibułki na drutach. Kupiłby na jarmarku zegar z kukułką, pułapkę na myszy, rondle, na oknie stałyby fuksje w doniczkach, czerwone jak te rzodkiewki. Całą izbę wybieliłby na niebiesko. Żona zapewne dostanie z domu malowane skrzynie, w których schowane będą koszule, kożuch, pieniądze i książki do nabożeństwa. Magda, jeśli zechce, będzie mogła dalej służyć, tylko że teraz doić będzie już jego własną krowę, którą żona musiałaby wnieść w posagu. Nie, nie wyrzuci Magdy na złamanie karku, broń Boże! Inna rzecz, że spać by już z nim nie mogła. Znajdzie sobie innego chłopca.

Takie myśli, których księdzu przy spowiedzi nie wyjawiał, trzymały Piotra w Toporach i hamowały od decydującego kroku z Magdą. Te myśli łączyły oba ideały życia: czapkę i dom w jedną radosną wizję. Oczyma wyobraźni zawsze widział Piotr swój walący się dom w kwitnącym stanie, odbudowany i w braku dzieci zaludniony kurami, kaczkami, ba, nawet prosiakami, z którymi Bas żył w rajskiej zgodzie. Swój dom wyobrażał sobie zawsze jako siedlisko szczęścia. Miałyby na Wielkanoc kielbasę z własnego wieprza, miałyby słoniny na cały rok i pierze z własnych, a nie z kradzionych gęsi w małżeńskich piernatach.

Pewnego dnia, o godzinie 5 minut 20 z rana, naczelnik stacji Topory–Czernielica zawołał Piotra do siebie. Zwyczajnie naczelnik spał jeszcze o tej porze, dziś jednak, aczkolwiek nieogolony, był już kompletnie ubrany i nawet po śniadaniu. Świadczyły o tym: pusta filiżanka i niedojedzona bułka na blaszanej tacy. Dlaczego naczelnik nie dokończył śniadania? To była pierwsza myśl Piotra, gdy znalazł się w kancelarii. Druga myśl: po co go „stary” wzywał o tak wczesnej porze, zjawiła się w głowie Piotra ze znacznym opóźnieniem. Naczelnik siedział przy stukającym aparacie telegraficznym

w czapce służbowej, której czerwień odcinała się szczególnie jaszkrawo od bladej twarzy pokrytej ciemną szczecina. Nie zwrócił uwagi na wchodzącego. Był pochłonięty przepuszczaniem przez palce długiej papierowej taśmy. W skupieniu odczytywał z niej jakieś tajemnice. Aparat stukał bez przerwy. W nieruchomym milczeniu, zalegającym biuro i cały przestwór dokoła samotnej stacji w polu, tępe i uporczywe stukanie metalowego aparatu przeraziło Piotra. Przestał patrzeć na naczelnika i bezwolnie przeniósł oczy ku oknu, przez które widać było tylko jasne niebo i kilka cichych drzew. Niebo i drzewa go uspokoiły. Nagle aparat przestał stukać. Było to jeszcze groźniejsze. Naczelnik podniósł głowę. Wydawał się bardzo zmieniony. Z jego wyschniętej, zimnej, lecz zawsze zadowolonej twarzy zniknął, rzekłbyś – wyprowadził się przez noc, ów drwiący i surowy wyraz, który oniesmiałał Piotra przez tyle lat. Ileż to ciężkich chwil w życiu zawdzięczał tym oczom! Kłuły nawet wówczas, gdy były łaskawie przymknięte! Oczy te umiały powstrzymać bicie serca i zaglądać w najdalsze zakątki Piotrowego sumienia. Przed tymi oczyma Piotr płaszczył się i zwijał tak długo, aż nauczył się owego fałszywego uśmiechu, którym biedni ludzie usiłują strącić z siebie ciężar pogardy. Z wszystkich ciężarów, jakie nosił w życiu, najbardziej mu ciążyły oczy naczelnika, gdy czuł je na swych plecach. Dzisiaj te oczy były zgaszone, były jak puste otwory luf dubeltówki, w której już nie ma naboju. – Co się stało z naczelnikiem? – myślał Piotr. – Nie patrzy na mnie jak zawsze, patrzy, jakby już przestał być naczelnikiem. Może odchodzi na inne miejsce i skończyło się tutaj jego panowanie?

Piotr zaczął myśleć o swym przełożonym jak o równym sobie. W istocie, naczelnik, sądząc po fizjonomii, zrównał się dziś z Piotrem Niewiadomskim. W oczach jego było to samo osłupienie i ta sama tępa niemoc, jaka znamionuje ludzi pragnących na próżno przeniknąć okrutne prawa istnienia. Dzisiaj z naczelnika wylazło na wierzch to, co było w nim najbardziej ludzkie: słabość. I wylazło z niego chłopskie pochodzenie, szczelnie ukrywane pod urzędniczą bluzą. W życiu człowieka zdarzają się chwile, które niweczą długoletni trud okłamywania siebie i drugich, trud ustawicznej imitacji podpatrzonych gestów. W takich chwilach nagle, rzekłbyś, wywabiona chemicznym jakimś sposobem – wylazi z nas rasa. Zdradza nas

jednym nieskontrolowanym ruchem ręki, jednym skrzywieniem ust lub kadencją głosu. Coś niezwykłego stać się musiało tej nocy, skoro naczelnik tak się zmienił. Może w jego rodzinie wydarzyło się nieszczęście, może wytoczono mu o coś dyscyplinarkę? Czy też dano mu do zrozumienia w sferach, ku którym wspinał się po urzędniczej drabinie, że jest prostakiem?

Nie! Ani w rodzinie nic złego się nie przytrafiło, ani nikt nie zrobił nań doniesienia o nadużycia służbowe, nikt mu też nie wypominał ojca stelmacha w rohatyńskim powiecie. Zgoła inne sprawy zaszły tej nocy... Tej nocy runął rozkład jazdy, który od niepamiętnych lat był dziesięciorgiem przykazań na drodze żelaznej Lwów–Czerńowce–Ickany. Zawalił się z trzaskiem w ciągu jednej chwili i nie podźwignął się już ze sromoty. Z tą chwilą wchodziły w życie owe tajemnicze instrukcje „na wypadek wojny”, które naczelnik, zaprzysiężony przy wstąpieniu do służby państwowej, przechowywał zapieczętowane w żelaznej szkatułce w najbezpieczniejszym miejscu kasy. Pochodziły one nie od cywilnych pracodawców, którzy otrzymują rozkazy na szczyście kolejowego Synaju w Ministerstwie Komunikacji, lecz ze sztabu generalnego. Tak runął surowy Zakon, któremu kolej w ślepym posłuchu wierna była przez tyle lat. Ruch osobowy został wstrzymany.

Naczelnik spojrział na Piotra bezbronnym, nieomal błagalnym wejrzeniem. Podał mu dwa duże białe arkusze, gęsto zadrukowane i zwinięte w rulon.

– Niewiadomski – rzekł dziwnie łagodnym głosem – jest wojna!

Długo trwało, zanim znaczenie zasłyszanych słów dotarło do Piotra. Słowo: wojna – jak ciężka gruda trzasnęło go w głowę. Przebiło czaszkę, przebiło opony i wdarło się do mózgu. Mózg Piotra natychmiast jęły zalewać obrazy. W jednej chwili zobaczył Piotr manewry, których świadkiem był w tych stronach przed dwoma laty. Żołnierze w wielkich masach udawali, że strzelają. Strzelali po jednej i po drugiej stronie, leżeli wzdłuż toru kolejowego po obu stronach nasypu, bili się o te szyny, ale żaden z nich nie był zabity. Albowiem wszyscy podnieśli się, gdy usłyszeli trąby, zapalili papierosy, śmieli się i pomaszrowali z muzyką do wielkich lasów. Piotr wiedział, że na prawdziwej wojnie ludzie się zabijają. Widział trupy Serbów i Bułgarów z bitwy pod Czataldżą na kolorowej rycinie

jakiegoś pisemka, które mu pokazał trafikant w Śniatynie. Pamiętał również ilustracje z wojny rosyjsko-japońskiej. I nagle słowo: wojna – wywinęło w jego mózgu koziołka i wpadło do aorty. Byłoby ją rozsadziło, gdyby krew nie zaniósła go do serca. Stamtąd przedarło się do brzucha i tu skończyło się ostrym bólem, jakby ukłuciem żelaza. Przez moment ogarnął Piotra lęk śmierci. Atoli z wolna zaczęła wracać do mózgu ciężka krew, wyczerpana tym nagłym i niespodziewanym spienieniem, unosząc na swych falach zwłoki topielca, zwłoki martwego słowa: wojna. Piotr odzyskał równowagę. Przypomniawszy sobie, że na wojnie umierają jedynie żołnierze, a on do wojska nie należy. Spokojnie słuchał już dalszych słów naczelnika:

– Weźmiecie te plakaty, rozlepicie je w poczekalni pod zegarem. Ani za nisko, ani za wysoko! Rozumiecie, Niewiadomski?

W miarę dawania rozkazu uświadomił sobie naczelnik, do kogo mówi, starał się tedy nadać rozbrojonemu głosowi pozory dawnej surowości:

– Uważać, żeby się nie podarły, i kleić równo!

Piotr wyszedł. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi, na których widniał napis: „Wstęp obcym surowo wzbroniony”. Stał w ciemnym korytarzu i trzymał w rękach wojnę. Była jeszcze nierozwinięta, stulona jak płatki wiosennych pąków.

Rozwinął ją dopiero w poczekalni.

Po wyjściu Piotra naczelnik spojrział na wielki zegar ścienny. W podnieceniu, w jakim się znajdował, co pięć minut patrzył na zegar. Pod zegarem wisiał uroczyście duży kalendarz kartkowy. Pierwszą czynnością naczelnika każdego rana było zrywanie kartki z kalendarza. Dzisiaj naczelnik już od godziny siedział w kancelarii, a na kalendarzu wciąż jeszcze wisiał 27 lipca. W tej kancelarii na miejscu „dzisiaj” wciąż jeszcze trwało „wczoraj”. Było nietknięte. Dlaczego naczelnik stacji Topory–Czernielica nie skasował wczorajszego dnia? Czyżby chciał w ten sposób zatrzymać czas, kiedy panował jeszcze jego, kolejowy, a nie „ich” rozkład jazdy? Czyżby chciał zatrzymać czas, w którym ważny był wczorajszy porządek świata? Czy też po prostu w nawale pracy, jaka nań tej nocy spadła, zapomniał o swym codziennym przyzwyczajeniu? Była już godzina 5.30, minęła 6, a naczelnik nie ruszył wczorajszej kartki z kalendarza.

O godzinie 6.25 ktoś zapukał do drzwi. Naczelnik zerwał się. Wokół jego nóg wiły się jak węże białe taśmy, zapisane alfabetem Morse'a. Niby śmieszny tancerz na balu, ulubieniec dam, zarzucony pasmami koriandoli, uwalniał się naczelnik z oplotu papierów, których treść przepisana już była ołówkiem. Strząsnął wojnę z nóg – i był wolny.
– Proszę! – zawołał.

Zjawił się praktykant, który o godzinie 7 miał objąć dyżur. Na widok swego zastępcy naczelnik pogodził się z rzeczywistością. Szybko podszedł do kalendarza i zerwał dzień 27 lipca. Zgniół go w rękach i wrzucił do pełnego kosza jak do wspólnego grobu pomordowanych żołnierzy. Tak na stacji Topory–Czernelica rozstano się z ostatnim dniem pokoju.

Poczekalnia była jeszcze pusta. Okienko, przez które naczelnik wydawał publiczności bilety, było jeszcze zamknięte. Dwa razy dziennie mieli ludzie prawo spieszyć się do tego okienka, żeby zdążyć na pociąg. Dziś mogą się już nie spieszyć. Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle się otworzy. Było zamknięte jak usta umarłego: nie przyjmie już żadnych pieniędzy i nie wyda żadnego biletu. Otworzy je chyba kiedyś ta sama siła, która dzisiejszej nocy obaliła Zakon.

Na lewo od okienka, nad drewnianymi ławkami, wisiała olbrzymia żółta, majestatyczna płachta papieru, pokratkowana, rozparcelowana czarnymi liniami na magistrale i bocznicę. To ścienny rozkład pociągów c.k. kolei państwowej na terenie wschodniej Galicji. Ci, co umieli czytać, z ufnością odczytywali z niego sakramentalne godziny i minuty odjazdów i przyjazdów. Dzisiaj odczytują już tylko martwe wspomnienia. Oficjalny rozkład jazdy wisiał niepotrzebny, nieważny, jak stara klepsydra żałobna na bramie domu, z którego już dawno wyniesiono nieboszczyka.

Były tam rozklejone jeszcze inne plakaty i ogłoszenia. Od dawna żółkł barwny afisz Kongresu Eucharystycznego we Wiedniu i zapraszał na odbyte już i zapomniane uroczystości. Dorodne indyki i kury zapraszały na III Krajową Wystawę Drobiu. Gruby, uśmiechnięty kelner we fraku, z przelewającymi się kuflami piwa w obu rękach, zalecał ten napój w imieniu Lwowskich Browarów Akcyjnych. Sma-gła kobieta-Sfinks o pięknej twarzy, z dużymi kolczykami w uszach, paliła papierosa „jedynie z bibułą «Abadie»”. Wszystkie te ozdoby ubogich ścian poczekalni na stacji Topory–Czernelica wisiały tu

latami dzięki Piotrowi Niewiadomskiemu, który je własnoręcznie rozlepił.

Od godziny na drzwiach przysychały dwa nowe afisze. Białe, duże, poważne, bez żadnych obrazków, bez uśmiechniętych kelnerów i bez sfinksowych kobiet. Wisiały identyczne i nieodłączne jak bracia syjamscy, a rozlepienie ich było również dziełem Piotra. Wyzywały swą świeżością.

Koło godziny 7 zaczęli się zbierać pasażerowie. Przyszedł gajowy w zielonym kapeluszu, przyszło parę bab z kobiałkami, kilku Hucułów w czerwonych spodniach i nieco Żydów w czarnych kapotach. Wszyscy tłoczą się przed nowymi plakatami, głośno gadają, niecierpliwiają się i nic nie mogą zrozumieć. Wkrótce zjawił się naczelnik. Chciał osobiście oznajmić, że pociąg osobowy nie przyjdzie. Linia jest zajęta do dyspozycji wojska. Nagle spojrzął na plakaty, które dziś rano polecił Piotrowi rozlepić, i stracił nad sobą panowanie.

– Gdzie jest Niewiadomski? – wołał. – Nic, tylko po mordzie tłuc! Niewiadomski nie wiedział za co.

– Oferma, taka oferma! – Cesarską odezwę, cesarską odezwę powiesił do góry nogami!

Długo nie mógł się uspokoić; w końcu pobiegł do biura po nowe plakaty i sam je rozlepił. Wówczas ludzie zebrani w poczekalni zaczęli głośno sylabizować słowa manifestu do kochanych ludów. Najpierw pojedynczo w miarę umiejętności czytania, później chóralnie wspólnie z analfabetami. Powtarzali każde słowo jak litanie w kościele. Wiara w cesarza Franciszka Józefa jednoczyła na tych dalekich ziemiach – rzymskich katolików i greckich katolików, Ormian i Żydów – w jeden wspólny i powszechny Kościół. Piotr bezwiednie zdjął czapkę i z otwartymi ustami słuchał uroczystej skargi cesarza. Posłał ją cesarz aż tutaj, na sam koniec swego państwa, żeby się nad nim użalili dobrzy ludzie, prości ludzie i żeby się ujęli jego najmiłościwszej krzywdy. I nie zawiódł się cesarz na swych wiernych poddanych. W tym ogólnym rozczuleniu, co ogarnęło poczekalnię stacji Topory–Czernielica, zapomniał Piotr Niewiadomski o własnej hańbie, miał bowiem grubą skórę, ale tkliwe serce. Stylem biblijnym, hieratycznym i rzewnym skarżył się cesarz w swym piśmie na złych i przewrotnych Serbów, iż nie dają mu w spokoju doczekać śmierci, jeno zmuszają do wyciągnięcia oręża.

– Co to jest oręż? – myślał Piotr. – Musi to być duży składany nóż ze srebra. Najjaśniejszy Pan nosi go w kieszeni i wyciąga na wypadek wojny.

W dwa dni później naczelnik po raz drugi wezwał Piotra do siebie. Piotr myślał, że zostanie ukarany za obrazę majestatu, jakiej się dopuścił przez powieszenie manifestu do góry nogami. Na swoje usprawiedliwienie mógł podać tylko to, że nie umie czytać, a na plakatach cesarskich nie było żadnych obrazków, podług których można się zorientować, gdzie głowa, a gdzie nogi. Jednakże naczelnik przyjął go spokojnie i nad wyraz łaskawie. Widocznie już zapomniał. Mobilizacja przygłuszyła wszystko. Dla wielu przestępców była ona miłą i niespodziewaną amnestią.

– Niewiadomski – mówił naczelnik. – Jesteście osioł, ale ja nie mam pod ręką innego człowieka. Jednego po drugim zabierają mi do wojska. Musicie iść na 86, Banasik dostał kartę powołania i rukuje do ersatzrezerwy. Dziś jeszcze pójdziecie na sztrekę, weźmiecie od niego czapkę i chorągiewkę i będziecie pilnować szlabanu. Banasik wam wszystko pokaże. Wojna długo nie potrwa, trzy, najwyżej cztery tygodnie. Za tydzień wkroczymy do Belgradu, za dwa tygodnie weźmiemy Warszawę, a za trzy tygodnie z boską pomocą będziemy w Moskwie. Potem wszyscy wrócą do domu, wróci Banasik, chyba że go zabiją. Do tego czasu macie siedzieć na 86 i robić jego służbę. Tylko żeby mi żadnej skargi nie było, bo na wojnie nie ma żartów! Wyleję na zбитy łeb i nawet pies po was nie zaszczeka!

Mówiąc „wkroczymy do Belgradu” i „weźmiemy Warszawę”, nie miał naczelnik na myśli swego fizycznego udziału w wyprawie, od której przynajmniej na razie zwalniał go urząd i wiek. Użył on tylko popularnej w czasie wojen formy czasownika, przy pomocy której ci, co zostają w domu, manifestują swą solidarność z tymi, co idą na wojnę.

Piotr nie znał się na wyrafinowanych przenośniach, jakimi ludzie cywilizowani posługują się od czasów starożytnych. Każde słowo brał dosłownie. Pomyślał tedy, że naczelnik razem z dróżnikiem wyrusza na wojnę. Ta myśl odsunęła na dalszy plan jego własny interes. Gdyby Piotr umiał myśleć jak ludzie cywilizowani, życzyłby sobie, żeby wojna trwała jak najdłużej lub żeby dróżnik Banasik w ogóle z niej nie wrócił. W obu wypadkach bowiem miałyby szanse zostania w budce 86 na zawsze. Aliści, Piotr nie był zdolny do tak

daleko sięgającej spekulacji. Z wielkim spokojem, graniczącym niemal z rezygnacją, przyjął wiadomość o tak bardzo upragnionej odmianie losu. Po tym, co usłyszał od naczelnika, odczuwał swój niespodziewany warunkowy awans raczej jako zdegradowanie. Został bowiem dróżnikiem – tylko „od biedy”, a nie w uznaniu osobistych zasług i zdolności.

I przywdział Piotr Niewiadomski wysnioną czapkę kolejową, cesarską czapkę. Była wprawdzie nie z czarnego, lecz z granatowego sukna i nie miała bączka z monogramem cesarza, ale zdobiło ją piękne blaszane koło wagonowe toczące się w nieskończoność, a z obu boków koła wytryskały rozpostarte skrzydła jak z ramion anioła. Niestety! Czapka ta, otrzymana w takich okolicznościach, nie była już żadnym wywyższeniem i nie sprawiała Piotrowi radości. Minął jej urok, czar jej prysnął z chwilą, gdy stała się ciałem. Piotr był ofiarą własnej imaginacji.

Świat przyjął obojętnie nowinę, iż Piotr Niewiadomski nosi czapkę kolejową. Tak naiwny zaś Piotr nie był, żeby uważać zmiany dokonane na świecie po 28 lipca za skutki swego awansu. Mimo to dziwił się, że najbliższe otoczenie, niewtajemniczone w szczegóły jego nominacji, nie zwraca nań żadnej uwagi. Nawet Magda zachowała zupełne *désintéressement*. Podobnych uczuć doświadcza chyba młody autor, kiedy pierwszy raz widzi swe nazwisko w druku i dziwi się, że ludzie na ulicy nie pokazują go sobie palcami. Właściwie Piotr nie miał żadnej pretensji do świata. Bolało go jedynie to, że szczytowy moment jego życia minął bez wrażenia, a raczej kojarzył się z niemiłym, wprost poniżającym wspomnieniem, rozplynął się bez śladu w ogólnym chaosie i patosie tych pamiętnych dni. Wkrótce głowa jego tak bardzo pełna była myśli o zmianach na świecie, że już niewiele w niej miejsca zostało na myśli o jej własnej na tym świecie roli. Nie cieszyło go nawet salutowanie, do którego miał teraz prawo – odkąd widział tyłu ludzi w mundurach, co musieli salutować.

Zamknął chałupę, zabrał ze sobą Basa i poszedł na sztrekę. Żona dróżnika przez parę dni mieszkała jeszcze w budce, ale niebawem pojechała z dziećmi do miasta, do rodziny. Niewiadomski był odtąd sam, raz dziennie tylko, w południe, przynosiła Magda jedzenie. Budka stała w szczerym polu, wysoko na szkarpie. Wchodziło się do niej po schodach jak po drabinie. Przed oczyma Piotra zaczęły

teraz bez końca przemykać pociągi, pociągi, pociągi naładowane frachtem wojennym. Dziesięć nocy nie spał: tyle miał roboty ze szlabanem. Raz nawet zdarzyła się niemiła historia: z jego winy omal Żyda z koniem nie przejechało. Piotr stracił do reszty głowę, odkąd na niej nosił cesarską czapkę. Była nieco za duża i spadała na uszy. Zahukała go ta wojna hukami wagonów, szczękiem przeciągających na lorach dział, wielojęzycznym tumultem żołnierzy.

Po dziesięciu dniach i dziesięciu nocach coraz mniej pociągów wojskowych kierowano na tę linię, coraz rzadziej słychać było śpiew żołnierzy. Wreszcie w tych stronach transporty ustały zupełnie. Wszystko ucichło. Z wolna wznowiono ruch pasażerski, jakkolwiek raz dziennie tylko na stacji Topory–Czernelica otwierało się okienko w tak zwanej poczekalni, a za punktualność nie ręczył już żaden rozkład jazdy. Najczęściej budziły Piotra nocą pociągi towarowe. Czasem taka cisza leżała na sztrece i tak czyste powietrze, że słyszał, jak śpiewają słupy telegrafu i jak zawodzą maszyny z dalekiego tartaku.

Rozdział III – scena przysięgi wojskowej

I znów znalazł się Piotr Niewiadomski w poczekalni. Teraz ciała skaczące na krzesłach nie wywierały już takiego wrażenia. Nieosądzone jeszcze, miały w oczach Piotra mniejszą wartość od jego ciała, które należało już do cesarza. Tam, przed komisją, myślał, iż natychmiast ubiorą go w mundur. Po co w takim razie brali miarę? Teraz kazali mu z powrotem wleźć w dawną skórę. Trochę rozczarowany kładł na siebie cywilne nogawki i starą kurtkę. Już nie czuł się swojo w tym odzieniu, tylko kolejowa czapka dawała mu poczucie wyższości nad innymi chłopami. W szatni dowiedział się, że po złożeniu przysięgi będzie mógł wrócić do domu. Rocznik jego zostanie wcielony dopiero za sześć tygodni. Ta wiadomość też go rozczarowała. Więc cesarz nie potrzebuje go natychmiast? Nie zabiera z miejsca? Piotr myślał, że już nie wróci do swojej budki 86, co najwyżej dadzą mu jeszcze dzień lub dwa dni czasu – na uregulowanie „osobistych” spraw. Po co tyle zachodu, skoro za sześć tygodni wojna się skończy? Myśl o końcu wojny ucieszyła go. Może wcale nie „narukuje”? Piotr był teraz jak mebel zajęty przez komornika i opieczętowany, lecz jeszcze na pewien czas zostawiony w domu obywatela, który nie zapłacił podatków.

Gruby feldfebel przeprowadził całą partię asenterowanych z gmachu komendy do budynku szkolnego naprzeciw. Gdy mijali spiętrzone ławki i wkraczali do szkoły, Niewiadomski przeraził się. Kto wie, a nuż posadzą go teraz gwałtem na jednej z tych ławek, wpakują rysik do ręki i każą kreślić na czarnej, łupkowej tabliczce – białe znaki diabła? Niebawem uspokoił się. W rozległej sali, dokąd weszli za feldfeblem, nie było ani jednej ławki. Za to pod ścianami stały rzędem żółte drabinki, pionowo przymocowane do muru. Na końcu sali sterczały od podłogi aż po sufit cztery gładko toczone, elastyczne drążki. Tuż obok, jak dwa kadłuby końskie z odrąbanymi głowami, szyjami i ogonami, rozkraczały się dwa kozły do skakania. Dalej widać było odskocznię i zakurzone materace. Pod kozłami leżała cała masa żelaznych ciężarków, spośród których wybijała się czarna, gruba sztaba, zakończona obustronnie kulami wielkości ludzkiej głowy.

Głów ludzkich tu nie brakowało. Ciągłe napływały nowe ciała. Tam, w gmachu komendy, zostały się wszystkie choroby, słabizny, wszystkie charłactwo. Tutaj, gdzie na żółtych drabinkach, drążkach i trapezach wyrabiano dzieciom siłę, miały dostęp jedynie te ciała, których zdrowie stwierdziła komisja. Lecz nie w celu wypróbowania siły i zwinności sprowadzono tych ludzi do sali gimnastycznej. Tu chodziło wyłącznie o dusze. Albowiem cesarz Franciszek Józef uznawał w człowieku nie tylko cielesną powłokę. Nie był wyznawcą doktryny materialistycznej ani zwolennikiem teorii Haeckla. Hołdował dualizmowi i najnędniejszemu ze swych poddanych, najciemniejszemu Hucułowi nawet nie odmawiał posiadania duszy. Zależało mu wszelako na porządku. Osobno brał ciała, a osobno dusze. To są dwie różne rzeczy i nie wolno ich mieszać. W gmachu powiatowej komendy uzupełnień nabywano dla cesarza ciała, tu, w sali ćwiczeń cielesnych siedmioklasowej szkoły ludowej – dusze. Ciała – pojedynczo, dusze – zbiorowo.

Mimo surowego zakazu palono tytoń i pluto na podłogę. Plucie nie mogło sprzeciwiać się higienie, skoro pochodziło od samych zdrowych ludzi. Jakoż zdrowie wyładowywało się, jak mogło. Ledwo znikł feldfebel – zapanował w sali rozgwar. Nerwy, napięte w tamtym gmachu czekaniem na wyrok, tu odprężyły się. Młodsze roczniki rzuciły się na trapezy, wspinały się po drążkach i ze śmiechem

zjeżdżały na ziemię. Nawet Piotra skusiły ciężarki. Zwłaszcza to duże żelazo z kulami. Jedną ręką bez trudu dźwignął je w górę.

Naraz sala zamilkła. Młodsze roczniki czym prędzej zeskoczyły z przyrządów gimnastycznych. Niedopalone papierosy rzucono na ziemię i zduszono butami. W otwartych drzwiach ukazał się młody oficer w czapce, podobnej do kolejowej czapki Piotra. Miał szablę u boku i order na piersi. Zrobiono mu przejście. Za nim w przyzwoitej odległości kroczył gruby feldfelbel z pliką papierów w obu rękach. Nie nosił ani szabli, ani czapki.

Młody oficer był delegowany po odbiór dusz. Lecz podczas całej ceremonii milczał. Raz tylko szeptem odezwał się do feldfelbela, na co feldfelbel parsknął śmiechem. Najpierw feldfelbel podzielił obecnych na trzy grupy według języków. Niewielką grupę niemiecką, złożoną przeważnie z samych Żydów, odseparował od polskiej i ukraińskiej. Każdy mógł przysięgać w takim języku, w jakim chciał, wojskowa liturgia bowiem nie narzucała swej łaciny, to jest języka niemieckiego, tym, którzy jej nie rozumieli. Jedynie komenda w cesarsko i królewskiej armii była dla wszystkich niemiecka. Następnie feldfelbel objaśnił duszom, podzielonym na trzy grupy, technikę i doniosłość rytuału. Wszyscy muszą zdjąć czapki. Żydzi też.

(Piotr zauważył, że w tej sali nie było Żyda, który z nim razem stawał przed komisją).

Wszyscy muszą podnieść dwa palce prawej ręki, duży i wskazujący, i trzymać je na wysokości oka przez cały czas aż do słowa: „Amen”.

– Wszyscy powtarzają za mną głośno i wyraźnie każde słowo. Po przysiędze – tłumaczył feldfelbel – każdy, chociaż cywil, jest już jak żołnierz. Podlega karom wojskowym. Nie wolno mu tego i nie wolno tamtego – wielu rzeczy nie wolno.

Młody oficer, wysłannik cesarza, stał nieruchomo i milczał jak posąg alegoryczny. Czapki jednak nie zdjął. Księża też odprawiają niekiedy modły w birecie, podczas gdy wierni muszą obnażyć głowy.

Najpierw przysięgała grupa niemiecka, potem ukraińska, na końcu polska. Piotr Niewiadomski przystał do grupy polskiej. Feldfelbel czytał rotę przysięgi, a Piotr wraz z całym chórem powtarzał słowo za słowem:

– „W obliczu Boga Wszechmogącego przysięgamy uroczyście, że Jęgo Apostolskiej Mości, naszemu Najjaśniejszemu Monarsze,

Franciszkwowi Józefowi pierwszemu, z bożej łaski cesarzowi Austrii, królowi Czech i tak dalej...”

– I tak dalej – grzmiała antyfona.

„Królowi Apostolskiemu Węgier – wierność i posłuszeństwo zachowamy, że Najjaśniejszego Pana, generałów i wszystkich innych przełożonych naszych i starszych słuchać, czcić i bronić będziemy, a rozkazy i nakazy ich w każdej służbie spełnimy, że przeciw każdemu nieprzyjacielowi, ktokolwiek by nim był i gdziekolwiek by tego Najjaśniejsza wola Jego Cesarskiej Mości od nas wymagała...”

– Wymagała – skandował chór. W duszy Piotra dudniły niewidzialne kotły i huczały niewidzialne fanfary.

„Na wodzie i w powietrzu, w dzień i w nocy, w bitwach, szturmach, potyczkach i przedsięwzięciach wszelkiego rodzaju, słowem: na każdym miejscu, dzielnie i mężnie walczyć będziemy...”

Piotr Niewiadomski widział już siebie, walczącego na wodzie, na ładzie i w powietrzu. Ociekał strugami wody i strugami krwi. Krew i woda wlażyły mu w usta, w uszy, w nozdrza, tonął, lecz ostatnim wysiłkiem słabnących ramion spychał przeciwnika na dno. Przeciwnik był raz Moskalem z długą brodą, podobnym do tego Żyda, któremu skakała grdyka, to znów wąsatym Serbem o nadludzkiej sile. Serb tłukł Piotra kolbą po łbie, a Piotr zakłuwał Serba bagnetem. Przypomniła mu się widocznie jakaś stara rycina z wojny bałkańskiej.

– „Że naszych wojsk, chorągwi, sztandarów i dział w żadnym razie nie opuścimy, i z nieprzyjacielem w żadne bynajmniej porozumienie wchodzić nie będziemy...”

Nie, nie, nie! Piotr Niewiadomski nie opuści sztandarów i w żadne bynajmniej porozumienie z nieprzyjacielem nie wejdzie. Nawet nie umiałby z nim rozmawiać. Ale dlaczego ten oficer tak przeraźliwie milczy? Żeby choć raz się poruszył. Niewątpliwie wszystkim sprawiłoby to ulgę. Młody oficer, wysłannik cesarza, poruszył się. Zakołysało się podłużne lustro jego szabli. Zakołysały się złocone frędzle *porte-épée*. Podniósł rękę do ust, zakrył nią usta, żeby nikt nie widział, jak ziewa. Miał już dość tego wszystkiego. Od rana do wieczora – nic, tylko to ustawiczne: „W obliczu Boga Wszechmogącego”. Oszaleć można. Lepiej już iść na front. Chociaż nie, nie jest lepiej iść na front. Lepiej już do końca wojny słuchać od rana do wieczora:

– „Że zawsze tak, jak tego wymagają od nas ustawy wojenne i jak przystało na uczciwych żołnierzy, zachowywać się i tym sposobem z honorem żyć i umierać chcemy”.

Feldfebel zrobił uroczystą, brzemienną w następstwa pauzę, po czym zaintonował finał:

„Tak nam, Panie Boże, dopomóż. Amen”.

Bóg wojskowy, przed którego obliczem składano tę przysięgę – nie posiadał właściwie żadnego oblicza. Był międzywyznaniowy, nie tak, jak w świecie cywilnym, gdzie jednych ludzi słuchał tylko wówczas, gdy mieli obnażone głowy i klęczeli, a innych znał tylko w kapeluszach i w pozycji stojącej. Cesarsko-królewski wojenny Bóg nie był ani Jehową, ani Świętą Trójcą, ani Allachem, raczej mógł być bóstwem agnostyków, deistów i Robespierre’a. Rezygnował z atrybucji poszczególnych wyznań, wyrzekał się postaci nadanych mu przez dogmaty i legendy, nie był wrażliwy na kadzidło ani na świecę z wosku. Wyobrażał tę najwyższą istotę, przed którą w wielu wypadkach korzą się nawet wolnomyśliciele i wolnomularze. Wojsko nie uznaje wątpliwości nieprzewidzianych w regulaminie służbowym, toteż dusze ateistów, socjalistów i anarchistów zobowiązywało cesarzowi również w obliczu Boga, nie troszcząc się o to, co ci ludzie naprawdę o Nim myślą. Każdy niedowiarek z chwilą, gdy go osądzono zdatnym do służby wojskowej, tym samym już uchodził za wierzącego w Boga. Zaś taki Bóg, o którego istnieniu nie wolno wątpić, musiał naprawdę być abstrakcją, bezbarwną jak algebraiczny symbol. W cesarsko i królewskiej wojskowej algebrze – Bóg był tą nieskończoną liczbą zer, dodanych do najwyższej cyfry, którą jest cesarz. Tego to Boga wzywało wojsko na świadka w chwili, gdy dusze ślubowały cesarzowi wierność ciał. Przy tej ustnej, niedobrowolnej umowie ludów Austrii z Najjaśniejszym Monarchą pełnił Bóg funkcję rejenta.

Podczas ostatnich słów przysięgi strach padł na duszę Piotra. Własnymi wszak ustami zapewnił Boga, że chce umierać za cesarza. Czy cesarz słyszał jego ślubowanie? Gdzie jest cesarz? W tej sali nie było nawet cesarskiego portretu, jak nie było krzyża. Cesarz jest w przestworzach, niewidzialny, jak Bóg, którego też nikt nie ogląda własnymi oczami. Przysięgali więc w powietrzu. Przysięga szła do nieba przez sufit sali gimnastycznej i przebiła sufit, ulatując na pierwsze piętro do klasy II-b, gdzie w tej chwili czekał transport

rekrutów, mający odejść do pułku. Ponad głowami rekrutów poszybowała z pierwszego piętra na strych i poprzez warstwę rozgrzanego kurzu szczelinami czerwonych dachówek wydostała się na powietrze. Buchała kominami i lufcikami. Buchała również na ulicę przez trzy szeroko rozwarłe okna. Niebo było czyste i błękitne, tak iż przysięga w swej drodze do Boga nie napotkała na żadne przeszkody.

Ale dla niektórych ludzi Bóg był obecny w tej sali. Unosił się nad duszami, nad ciałami, nad przyrządami do gimnastyki.

Piotr Niewiadomski spuścił wzrok ku ziemi, jak w cerkwi podczas Podniesienia. Nie wątpił bowiem, że gdzieś wysoko, pod sufitem, na najwyższym szczeblu żółtej drabinki siedzi ze stulonymi skrzydłami – Duch Święty. Nie w postaci białej gołębicy, lecz jako czarny, dwugłowy orzeł. W zagiętych szponach trzyma kurczowo żelazną sztabę z czarnymi kulami.

Tak Piotr Niewiadomski przysięgał cesarzowi. Potem otrzymał dokumenty i poszedł z krajanami do szynku Sz.Ch. Schamesa, gdzie upił się dziewięćdziesięcioprocentową okowitą.

Eseje

Barbarzyństwo

Pośród wielu złudzeń, które nam czynią życie długim, godnym podziwu, cierpienia i walki, najsilniejsze są te złudy, którym za wszelką cenę – nawet za cenę samego życia – usiłujemy nadać pozory prawdy. Zdaje się, że człowieczeństwo w swoim tajemniczym pochodzie bardziej ufa złudzeniom optycznym swego instynktu niż owym surowym, ale niewidzialnym władzom żywota, którym niewolniczo ulega. Jest to zresztą objaw zupełnie naturalny. Wszakże cały ustroj biologiczny człowieka został mu gwałtem narzucony od zewnątrz i rządzi nim jak tyran, podczas gdy złudzenie jest niepodzielnie jego własnością, i to nie prezentem od jakiejś zewnętrznej potęgi, lecz dziełem jego własnego umysłu. Stąd pochodzi, że ów wspaniały urząd miar i wag, który nadaje wartość wszystkiemu, co ludzkie, od zarania uświadomionej ludzkości czynny jest bez przerwy, przez cały dzień i całą noc. Nie ma on stałej siedziby gdzieś poza ludzkością, gdyż biuro jego mieści się w łonie samego człowieczeństwa. Jest to biuro ruchome, przenośne, ma niezliczoną ilość departamentów i bywa tłumniej nawiedzane niż wszystkie suwerenne władze życia i śmierci. Orzeczenia tego urzędu, jakkolwiek nieraz całkiem fałszywe lub ulegające kapryśnym zmianom, cieszą się większym posłuchem niż na pozór stokroć mądrzejsze, odwieczne prawa natury czy prawa boskie. Zadufany w nieomyślność ulubionego swego ministerstwa, przyzwyczaił się człowiek w żywe oczy wystawiać naturze język, bluźnić Bogu, a zuchwałe jego szyderstwo już tak daleko się posunęło, że i Boga, i naturę zniewolił do służby u siebie. Bóg został woźnym ludzkiego trybunału, nosi (u różnych narodów) czapkę z takimi emblematami, jakie w danej chwili podobają się człowiekowi lub jakie są w modzie, a ponieważ posiada od wieków głos silny, tubalny i uroczysty, kazano Mu wygłaszać wyroki człowieka – o ironio! – w Jego własnym, Boskim imieniu.

Bóg ludzki ma temperament spokojniejszy i dostojniejszy od natury, przeto nie opierał się długo człowiekowi, lecz zagryzł zęby i w milczeniu poddał się swojej doli.

Z naturą poszło już trudniej. Jest to babsko olbrzymie, histeryczne, drapiące, kłujące, kąsające. Chwyta człowieka za nogi, za głowę, za

ręce, pluje mu w oczy ogniem i siarką, prycha wichrami, leje mu smołę na głowę, łamie mu kości w uścisku, to znowu mrozi lodowatymi paluchy. Pocałunek natury nierzadko niesie śmierć. Przy tym prawie bez przerwy krzyczy i zrzędzi, słowem, jest to kobieta, z którą trudno żyć. A przecież jurnemu z „natury” człowiekowi coraz łatwiej udaje się docierać do jej wdzięków, które są zaprawdę nieporównane. Słodczy jej, aczkolwiek głęboko utajona, otumania durem. Toteż człowiek bardzo chętnie szamoce się ze swoją sekutnicą, znosi cięgi i razy, rany i śmierć. W rezultacie coraz częściej znajduje się na niej niż pod nią. To napełniło go taką dumą, że w końcu wmówił w siebie, że jest jej panem, a ona jego niewolnicą. Gotuje mu, nakrywa do stołu, pali w piecu, szyje i naprawia odzież oraz świadczy mu wiele domowych posług.

Tak wygląda jedna z najmilszych złud człowieka, złuda kultury, przedstawiona alegorycznie. Stwierdzamy więc, że kultura jest owym najwyższym złudzeniem człowieka, osiągniętym jako wynagrodzenie za żmudną walkę z przyrodą. Te i podobne złudzenia są w dzisiejszych czasach rzeczywistymi bóstwami człowieka. Nad nami włada dziś cały Olimp prawd urojonych, Olimp, którego mieszkańcy nie są wprawdzie nieśmiertelni, ale zawsze żyją dłużej od nas. Przychodząc na świat, mamy już przygotowany cały garnitur prawd moralnych i amoralnych, w które *a priori* musimy się ubrać, gdyż są one zdobyczą poprzednich pokoleń; a zwątpić o nich znaczy: podjąć ryzykowną rewolucję wszechświata, w której nie można zwyciężyć inaczej, jak tylko przez intronizację nowych bóstw. Pokażne miejsce na tym Olimpie nowoczesnym zajmuje Nauka, będąca metodycznym rozszerzaniem przyrodzonych człowiekowi ograniczeń. I w tym jeszcze są podobni dzisiejsi nasi bogowie do bogów starożytnego Olimpu, że stworzeni zostali na kształt i podobieństwo człowieka i są dostojnym wyrazem jego nie zawsze dostojnych pragnień i ambicji. Nie ulega wątpliwości, że najcenniejszą ze wszystkich złud człowieka jest owa złuda kultury, gdyż podnosi w jego oczach wartość życia, czasem do nieskończonej potęgi, i pozwala mu odróżnić to życie od wegetacji.

Szeroka rzeka kultury ludzkiej ma trzy główne odnogi. Przyjmijmy podział Tadeusza Zielińskiego, którego on użył, chcąc sobie dać radę z klasyfikacją kultury antycznej. Zieliński podzielił kulturę na:

1. materialną (pokarm, odzież, mieszkanie, sprzęty);
2. społeczno-ekonomiczną (rodzina, ród, państwo);
3. duchową (religia, moralność, nauka, sztuka).

Nie można powiedzieć, żeby żyły z sobą w zgodzie te trzy odnogi strumienia kultury. Przeciwnie: ciągle się one ścierają, tworzą porohy i wiry, rzucają się na siebie i pochłaniają wzajemnie. Weźmy na przykład pokarm z kultury materialnej i postarajmy się uzgodnić ją z moralnością. Starania nasze w tym wypadku rzadko odniosą skutek, gdyż głód jest zaciętym wrogiem moralności, indywidualnej i społecznej, a zwycięstwo moralności nad głodem często równa się bohaterstwu. Na tle rezygnacji rodzi się niekiedy wzniosła idea ofiary, toteż dzieje kultury duchowej przechowują w swych archiwach szczytną pamięć świętych głodomorów oraz pelikanów, własną krwią karmiących swoje młode. Na ogół jednak ludzie i zwierzęta toczą krwawe wojny na rzecz swych narządów trawienia i chętnie popadają w konflikt z moralnością, którą starają się gdzie indziej salwować.

Jakkolwiek między duchową a materialną kulturą człowieka panuje antagonizm, to przecież jedna bez drugiej nie mogłaby istnieć. Gdyby nie było kultury materialnej, duch ludzki nie miałby żeru. Duch ludzki jest sępem i żywi się padliną. Obchodzi nocami pobojowiska, na których w dzień toczyły się walki o spożywanie chleba, i wyjada trupom serca. Z wszystkich klęsk i upokorzeń człowieka duch ludzki stwarza pokarm szlachetności, która jest dla niego więcej warta od „grzesznego” ciała. Z najbrzydszych, z najbrzydliwszych ciał ssie duch ludzki krew. Duch ludzki, ten sęp, ma nienasycony żołądek, żre i pije bez przerwy. Dlatego tak zwana materia – wszystko ciało świata – musi dla niego bez przerwy pracować. Ale duch jest bardzo zarozumiały i niewdzięczny: uważa, że tak musi być, że materia jest czymś niskim, ordynarnym. Może ma rację.

*

Afisz dzisiejszego odczytu głosi, że mówić będę o „barbarzyństwie w życiu i sztuce”. Zdaje mi się przeto, że było rzeczą niezbędną porzucić pewne uwagi wstępne o kulturze i duchu ludzkim.

Skąd pochodzi słowo „barbarzyństwo”? Rodowód swój zawdzięcza starożytnej Grecji, gdzie słowo: *barbaros* – było używane na

oznaczenie wszystkich ludzi obcego pochodzenia. „Barbaria” był to jednak w starożytności realny kraj. Nazywano tak przede wszystkim Afrykę. Afrykanin był dla Greka klasycznym barbarzyńcą. U najstarszego pisarza greckiego Homera, co prawda, tej nazwy nie spotykamy, spotykamy natomiast przymiotnik *barbarofonos*, co znaczy: „mówiący szorstko” (*Iliada*, ks. II, wiersz 867), dla odróżnienia od *kalofonos*: „mówiący gładko”. Rzeczownik *barbaros* użyty został znacznie później dopiero przez historyków, jakkolwiek przymiotnik *barbarofonos* użyty przez Homera świadczy o tym, że *Iliada* pisana była w czasie, w którym Grecy już się wywyższali ponad barbarzyńców.

Barbarzyńca zatem w pojęciu Greka był czymś gorszym od niego, stworzeniem nieokrzesanym i dzikim.

Pragnę się zastrzec, że nie będę mówił o dzikich ludziach ani o dzikości w człowieku w ogóle i że nie obchodzi mnie barbarzyństwo jako zelżywe przezwisko. Obchodzi mnie natomiast barbarzyństwo jako pewien wyraz kultury ludzkiej i artystycznej, a więc jako wartość pozytywna.

Fałszywe jest mniemanie, jakoby barbarzyńcą był człowiek pełen złości i głupoty. Przeciwnie: może to być człowiek anielsko dobry. Barbarzyństwo nie ma też nic wspólnego z tak zwanym chamstwem. Jeżeli będziemy uważnie obserwowali dzieje człowieka na tle jego kultury, zauważymy na pierwszy rzut oka, że większą część tych dziejów wypełniają akty woli zarówno wybitnych jednostek, jak i wybitnych zbiorowisk, odznaczające się bezwzględnością. Bez wprowadzenia do tych obserwacji pojęć moralnych i religijnych nie zawsze uda nam się znaleźć sens poszczególnych czynów ludzkich, jakkolwiek te czyny mogą nam imponować swoją potęgą.

We wszystkim, co stało się na świecie za sprawą człowieka, przywykliśmy szukać znamion dobroci lub znamion uchybienia jej. Bardzo trudno ustosunkowujemy się do czynów i sposobu zachowania się człowieka, tak jak stosujemy się do spontanicznych czynów przyrody i do jej obyczajów. Brak nam bezinteresowności wobec spraw ludzkich i dlatego nie mamy mocy wyrzeczenia się moralności. Ideał dobroci panował we wszystkich religiach i moralnościach świata, dlatego od najstarszych czasów w pogardzie pograżone jest zło jako pierwiastek równie czysty jak dobro. Gdyby na świecie nie panowała dobroć jako najwyższy wyraz dążeń człowieka, nie

istniałyby również pojęcia zbrodni, grzechu, kłamstwa, obłudy, fałszu, oszustwa i tak dalej.

Bardzo możliwe, że przyszła religia człowieka będzie religią amoralną, aetyczną, religią uświadomionego zła. Skorzysta wtedy człowiek z tyłowiekowych doświadczeń i tylko zmieni front na korzyść szczerości. Czyniono by wówczas źle – oficjalnie, a zbrodnia w żadnej cnocie nie szukałaby usprawiedliwienia. Prawie każdy zbrodniarz stara się usprawiedliwić swój zły czyn jakąś cnotą. Powiada: „myślałem, że to jest dobre!”, „musiałem się bronić przed złem, nędzą, obłędem i tak dalej”. Również i narody zawsze znajdują na usprawiedliwienie coś bardzo szczytnego. Podnoszą do godności sakramentów swoje błędy i zbroczenia. U Greków dobro pokrywało się z pożytkiem osobistym. Było to jasne postawienie sprawy, nie-dopuszczające fałszywej interpretacji. W ogóle na tle względności pojęć o dobru i złu rozwinęło się całe to zakłane teatrum ludzkich namiętności, szalów, zemst, okrucieństw. Na tle tej względności wystąpiły wszystkie czarne charaktery wraz ze swoimi antypodami.

Barbarzyństwo zatem nie jest bynajmniej określeniem zbroczeń człowieka i uchyień od ideału dobroci. Nie jest nawet określeniem i osądem jego złych czynów, spowodowanych brakiem świadomości. Barbarzyństwo jest raczej definicją wszystkich rdzennych, rasowych namiętności, zarówno dobrych, jak i złych, tkwiących w nas od kolebki naszego rodzaju w stanie elementarnym.

Barbarzyństwu przeciwstawić można jedynie opanowanie, ociosanie, ogładę. Nie jest ono pojęciem moralnym. I święci mieli swoich barbarzyńców; i bogowie, piastuni najwyższych wartości etycznych, byli nieraz barbarzyńcami. Natomiast bogowie złych namiętności byli często opanowanymi gentlemanami. W pojęciach cywilizowanej ludzkości Mefistofeles jest dandysem, a przecież każdy wie, że jest on zaprzeczeniem dobroci, jakkolwiek i jemu nie brak wielkich cnót.

A zatem barbarzyństwu w życiu można przeciwstawić opanowanie, a barbarzyństwu w sztuce – harmonię. Z punktu widzenia estetyki moralnej byli barbarzyńcami eleganccy patrycjusze rzymscy, trzy razy dziennie odwiedzający termy Karakalli – natomiast nie byli barbarzyńcami brudni i niecywilizowani męczennicy chrześcijaństwa, ginący w oczach tych wykwintnisiów na arenie Colosseum.

W sztuce narodów, będącej wyrazem ich kultury duchowej, spotykamy rozmaite objawy barbarzyństwa. Upajamy się poematami, które w formie umiarkowanej i harmonijnej malują najohydniejsze zbrodnie przeciw Duchowi Świętemu, podziwiamy gest wspaniałych morderców, to znów uznajemy barbarzyństwo w utworach sielankowej, gołębiej miłości – z powodu zdziczałej formy. W porównaniu z Platonem był Homer barbarzyńcą pomimo harmonijnej formy swoich eposów, gdyż oddawał namiętności swoich bohaterów w nagiej postaci, niczego nie przemilczając i nie modyfikując. Od Homera zapewne bierze swój początek sadyzm w literaturze. Ale ten sam Homer w porównaniu ze sztuką epicką asyryjsko-babilońską wydaje się arbitrem elegancji. Jak dalece względne jest pojęcie barbarzyństwa w sztuce, dowiedzie plastyka i architektura gotycka, jeśli je porównamy z klasyczną plastyką i architekturą grecką. Treść utworów malarstwa i architektury gotyckiej jest przeważnie dogmatyczna, głęboko moralna, ale wyraz jej bywa często anarchiczny, rzec by się chciało: amoralny, niewzdrygający się przed ohydą. Rozwiążność tematów pogańskiej sztuki Greków w porównaniu z surową dyscypliną tematów sztuki gotyckiej jest niekiedy tak przerażająca, iż tematy owe stałyby się ostatnim krzykiem barbarzyństwa, gdyby je odziać w obcisłe „dzikie” szaty gotyku. Już w samym założeniu greckiej sztuki, na ogół idealistycznej, tkwi poskromienie barbarzyństwa. Ilekroć Grecy uzmysławiają przerażenie, tak wielką rolę grające w ich symbolice, starają się nadać temu przerażeniu jak najłagodniejsze rysy. Wszystkich nas musiał zadziwić spokój na twarzach umierających bohaterów, których nam przedstawiła rzeźba grecka z epoki klasycyzmu. Okazuje się, że pokonanie naturalizmu w sztuce greckiej było równocześnie wielką jej zdobyczą.

Ciekawym przykładem barbarzyństwa w sztuce jest ewolucja Goethego, którego twórczość była zbiorowiskiem wszystkich stylów. Proszę zauważyć, jak pod wpływem strasburskiej katedry staje się ten wytworny pseudoklasyczny autor „singspielów”, przypominających swoim układem strzyżone szpalery Wersalu, nieomal dzikusiem. Szekspir był największym barbarzyńcą sztuki czasów nowożytnych. W porównaniu z Racine’em, na którego scenie rzadko ukazują się trupy, Szekspir morduje swych bohaterów, ile tylko wlezie, truje ich w oczach widzów, męczy hrabiego Kentu w *Królu Learze*

niemiłosiernie, z zamięłowaniem czyni nas świadkami agonii naszych ulubieńców, przenosi akcję do zamtułów, lubuje się w burdach ulicznych i karczemnych. W słynnym liście do Herdera Goethe nie może wyjść ze zdumienia nad tą gwałtownością Szekspira, w końcu sam jej ulega i, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zamienia się ten pudrowany i operuczony Goethe w autora na wskroś barbarzyńskiego *Goetza von Berlichingen*. W *Goetzu* poeta przebiera już w słowach, burzy harmonię, pisze wulgarną nieraz prozą dramat tego „rycerza żelaznej ręki”. Ta nowa twórczość Goethego przybiera na tężyznie wyrazu, choć z punktu widzenia klasycyzmu jej siła moralna słabnie.

Raz po raz w dziejach sztuki powstają barbarzyńcy i zrywają z harmonią konstrukcji. Wtedy nawiedza świat nowy, ożywczy, jak gdyby elektryczny prąd, poruszany barbarzyńskimi falami życia. Słynna walka klasyków z romantykami w Polsce była walką o barbarzyństwo formy, tak skwapliwie zalecane przez Brodzińskiego¹.

Bardzo często słyszy się zdanie, że kultura niemiecka w porównaniu z francuską jest typowo barbarzyńska. Oczywiście nie mam tu na myśli poglądów wojennych, chodzi o styl sztuki, który w samej rzeczy jest u Niemców obciążony dziedzicznie wybujałością refleksji i zamięłowaniem do brutalizowania, podczas gdy Francuzi umieją najbrutalniejsze sprawy pokrywać tiulem ironii. W muzyce Beethoven często bywa barbarzyńcą, w porównaniu na przykład z Mozartem. Rozerwał on konwencjonalną harmonię, układając swe symfonie i sonaty z samych niejako żywiołów. Elementarność w sztuce, elementarność treści i wyrazu, będącą świadomym zaprzeczeniem form cywilizacyjnych, choć nie zaprzeczeniem kultury, można we wzmożonym stopniu zauważyć w tak zwanym stylu ekspresjonistycznym. Ostatnim wyrazem kulturalnego barbarzyństwa w poezji, cofnięciem się do najelementarniejszych dźwięków i obrazów, jest dadaizm.

Każdy artysta ulegający swojej wizyjnej czy muzycznej wyobraźni, której nie umie czy też nie chce ujarzmić, jest *barbarofonos*: brzmi szorstko i pierwotnie. W sferze tragicznych, elementarnych

¹ Kazimierz Brodziński swoją rozprawą *O klasyczności i romantyczności tudzież o duchu poezji polskiej* opublikowaną w „Pamiętniku Warszawskim” w 1818 roku rozpoczął spór klasyków z romantykami.

konfliktów barbarzyństwo bywa często nieuniknione. Taki Dostojewski jest nie do pomyślenia w formie opanowanej i zharmonizowanej. Podobnie Strindberg i Przybyszewski.

Szalony taniec miłości i śmierci nie jest menuetem ani gawotem, lecz krwawym i żalonym, a przecież niekiedy dostojnym korowodem dionizyjskim, a czkawka śmierci dziwnie się łączy z zachłyśnięciem rozkoszy.

Ze wspomnień byłego pacyfisty

Antoniemu Słonimskiemu

I.

Opinię czytelników przepraszam za to, że osmielałam się w jej obecności tak bezceremonialnie zabierać głos *pro domo sua*¹. Za okoliczność łagodzącą mój nietakt niechaj służy świadomość, że to *pro domo sua* odnosi się do pisarza kompletnie bezdomnego. Nie znam dachu, który odważyłbym się nazwać własnym, ani dachu, z którego powiewa moja chorągiew, i nawet w przybliżeniu nie umiałbym podać mego ideowego adresu. To właśnie, iż nie jestem meldowany w żadnym ze znanych komisariatów literacko-społecznych, jest jednym z powodów skłaniających mnie do ogłoszenia niniejszych uwag i wspomnień. Ogłaszać wspomnienia w moim wieku jest również nietaktem, którego bym nie popełnił, gdybym w stosunku do spraw sprzed jedenastu lat nie czuł się starcem z siwą brodą.

Łaskawa opinia raczy niekiedy łączyć moje skromne nazwisko z pewną dziś już zbanalizowaną ideologią, której służyłem przed laty z zapalem, jakkolwiek nie znałem jej nazwy. Ideologia ta, czyli tak zwany pacyfizm, już samym brzmieniem swej pięknej nazwy czaruje dziś tylu ludzi, którzy obojętnie lub z pogardą przyjmowali jej narodziny, a raczej renesans w latach wielkiej wojny, iż można ją uważać za podstawę nowego snobizmu literackiego i towarzyskiego. Z tej przyczyny należy ją poddać rewizji. Podejmę się tego niewdzięcznego zadania we własnym – jak już wspomniałem – interesie. Każdy, kto w Polsce zawdzięczającej swą niepodległość wojnie krytykuje pacyfizm, naraża się na zarzut sojuszu z militarystką, imperiaлизmem i tym podobnymi. Z góry przeto zaznaczam, że kontrowersję moją prowadzę na terenie absolutnym, nie licząc się z miejscem ani czasem. Polskie powojenne życie umysłowe człapie z dziesięcioletnim opóźnieniem w ogonie ruchów ideowych Europy, a na podwórko nasze dostają się już tylko ogryzki gdzie indziej dawno już spożytej żywności. Świadomie ignoruję ów rynkowy „moment”, kiedy szerokie warstwy publiczności zaczynają życzliwie przyjmować importowane z zagranicy książki, filmy i sztuki teatralne, które nie tyle szerzą

¹ Łac. dla własnego domu; we własnej sprawie, dla swojej korzyści.

odrazę do wojny, ile hartują wrażliwość widzów, przyzwyczajają do widoku eksplozji granatów i do mocnych detonacji. Europa Zachodnia i Ameryka posiadają już drugie pokolenie pacyfistycznych literatów. Nazwijmy tych utalentowanych pamiętnikarzy neopacyfistami. Ich pacyfizm dojrzał nie na wojnie, lecz podczas pokoju i odznacza się wybitną nieporadnością w stosunku do problemów wywołanych pokojem. Pisma tych popularnych kronikarzy własnej martyrologii, zredagowane już w atmosferze spokojnej, sprzyjające powierzchownemu pacyfizmowi mieszczañskiemu, niesłusznie w cień odsunęły pierwszych, heroicznych w swym osamotnieniu apostołów pokoju, którzy jeszcze podczas wojny zdemaskowali jej nikczemność. Ów, że tak powiem, galilejski, krwawiący okres dziewiczego pacyfizmu szczyli się wielkimi nazwiskami Romaina Rollanda, Duhamela, Barbusse'a, Vildraca we Francji, Nicolaia, Latzko, Leonharda Franka, Schickelego, Fritza von Unruh, Hillera, Krausa w Niemczech i Austrii i wielu innych nieznanymi mi poetów i publicystów na wszystkich obszarach językowych objętych wojną. Ci pierwsi pacyfiści tworzą pokaźny poczet nowej *legenda aurea*².

U nas pierwszym pismem literackim, które podczas wojny nie bało się drukować antywojennych utworów, był dwutygodnik krakowski „Maski”, świetnie kierowany przez Tadeusza Świątką. Pierwszym znanym mi w tym czasie teoretykiem pacyfizmu w Polsce był Irzykowski, a w poezji pierwsi odezwali się o wojnie w tonie szlachetnym Kasprowicz (w *Księdze ubogich*) i Staff (w *Tęczy łez i krwi*). Rola „Masek” oraz wspomnianych wielkich poetów lirycznych zmieniła się jednak zupełnie z chwilą wskrzeszenia państwa polskiego. Jak wiadomo, wskrzeszenie to nie wszędzie było radosną konsekwencją końca wojny światowej i klęski państw centralnych. Gdziekolwiek spowodowało ono nowe i ciężkie komplikacje wojenne. W obliczu wojen już o własną skórę poeci starszego pokolenia, nietający przedtem swej awersji do wojny, dyskretnie umilkli, nie chcąc pacyfistycznymi zgrzytami przeszkadzać entuzjastycznej atmosferze walk o utrwalenie granic polski. Pacyfistyczne stanowisko „Masek” w czasie wojny Austrii z Włochami i Rosją, jeżeli chodzi o stosunek do austriackiej cenzury wojennej, musiało być trudne, jednakże było aprobowane

² Nawiązanie do *Złotej Legendy*, średniowiecznego zbioru żywotów świętych Jakuba de Voragine.

przez wewnętrzną cenzurę polskich czytelników. Pacyfizm ogółu inteligencji polskiej w latach wojny, zwłaszcza po Benjaminowie i Szczypiornie, był nie tyle wyrazem absolutnej niechęci do wojny, ile formą niechęci do państw zaborczych, konsumujących dla swoich, a nie dla polskich celów – najlepsze polskie żywoty. Z dniem 1 listopada 1918 roku „Maski” popadły w zakłopotanie: nie mogąc wszak w dalszym ciągu gnębić wojny, skoro wielka wojna się skończyła, a świeżo zaczęta mała wojenka polsko-ukraińska była narodową koniecznością. Za wiele smaku miały „Maski”, żeby raptem zmienić front i drukować artykuły zagrzewające do boju. Zachowały się więc neutralnie, ogłaszając tylko rzeczy niezwiązane z wypadkami aktualnymi, rzeczy coraz bardziej błahe, i z wolna przestały wychodzić.

W tym czasie, o ile mi wiadomo, tylko wśród najmłodszych poetów polskich, nieobarczonych romantyczną tradycją, wedle której przelew krwi dzieli się na dwie kategorie – o święte i nieświęte sprawy – tu i ówdzie odezwał się stłumiony głos protestu. Bardzo często odruchy te szły w parze z gorącym życzeniem odmiany porządku społecznego. Pierwszym znanym mi utworem tego typu jest wspaniały poemat Słonimskiego *Czarna wiosna*. Jest to odważny dokument zbuntowanego sumienia, w którym miłość i nienawiść wybuchają równie mocno i znajdują ujście w harmonijnej poetyczności. Ze względu na dominujący ton rewolucyjny trudno ten piękny utwór – mimo obecnych w nim akcentów antywojennych – uważać za pacyfistyczny. Pierwszą zdecydowanie pacyfistyczną publikacją Słonimskiego jest dopiero wiersz *Audjencja*, ogłoszony w zbiorze *Godzina poezji* w roku 1923.

2.

Teraz pozwolę sobie sięgnąć do tych lat tragicznych 1918–1919, kiedy i mnie dana była łaska wysłownienia powszechnych prawie cierpień, a czynię to tym skwapliwiej, że już te cierpienia zaczynają w pamięci mej zastygać, obiektywizować się i ustępować nowym cierpieniom, których źródłem jest nie wojna, lecz pokój. Prawie wszyscy, co w ostatnich miesiącach wojny pełnili służbę w armii austriackiej jako prości szeregowcy, w braku lepszego pokarmu żywili się nadzieją, że ta wojna niedługo się skończy i nigdy się już nie powtórzy. Każde słowo o końcu wojny, przemycane ze świata

zewnątrznego, przyjmowane było z religijnym niemal wzruszeniem. Śniły się wówczas udręczonym żołnierzom jakieś tęcze rozpięte nad ziemią na znak miru i przymierza, jak po biblijnym potopie. Roili jakieś niesłychanie błogie żywoty, mające się zacząć natychmiast po demobilizacji, jakieś idealne zapiecki Pana Boga, za którymi leżeć będą bez ruchu, nakarmieni i pocieszeni, niewinni i sprawiedliwi, i spać, i spać, i suszyć zbolące gnaty. Wierzyli w automatyczną poprawę stosunków międzyludzkich, wywołaną przez sam fakt zakończenia wojny, w braterstwo ludów, w powszechną sprawiedliwość i w urzeczywistnienie innych ideałów. Zdawało się, że nasza ludzkość wojskowa i cywilna otrzymała już taką nauczkę, iż raz na zawsze odechce się jej wojen, podjętych choćby w najwznioślejszych celach. Zmęczenie, wyczerpanie, obrzydzenie – oto źródła prymitywnego pacyfizmu uczuciowego, jaki ogarnąć wszystkie okopy i etapy. Przypominam sobie również radość mas żołnierskich na wiadomość o wybuchu rewolucji rosyjskiej w roku 1917, która ponętym hasłem „chleba i pokoju” jednała sobie wszystkich głodnych i zmordowanych. Spodziewano się w głębi duszy – w pułkach galicyjskich zwłaszcza – że o ile rządy nie zawrą w krótkim czasie pokoju, to i w Wiedniu i w Budapeszcie, i w Berlinie powtórzą się wypadki petersburskie. Wizja pokoju była tak uroczą, iż niewiele już miejsca zostawiła żołnierzom polskim i ukraińskim na uczucia patriotyczne, które przed wojną czyniły z tych żołnierzy zawziętych wrogów. Wspólna nadzieja rychłego wypoczynku bratała ich, jak ich bratał wspólny los wojenny. Przyznać trzeba, że większość żołnierzy nie zastanawiała się nad skutkami końca wojny. Naturalnie, że te skutki – inne otwierały perspektywy zwyciężającym wojskom koalicji, a inne niedobitkom siły zbrojnej Austro-Węgier i Niemiec. Gdy nadszedł utęskniony koniec – żołnierze koalicji w triumfalnych marszach wracali do domu przez triumfalne łuki, rozgoryczeni zaś na sprawców przegranej wojny Madziarzy i Niemcy dali upust swej goryczy w nowych upustach krwi, tym razem „bratniej”.

Od dawna działacze narodowi – polscy i ukraińscy – przygotowywali za plecami walczących we Włoszech rodaków akcję zbrojną zmierzającą do opanowania ziemi galicyjskiej na wypadek rozpadnięcia się Austrii. Wydatnej pomocy w tej akcji udzieliły Ukraincom austriackie komendy, dyslokując stacjonujące w miastach galicyjskich załogi

w ten sposób, żeby we Lwowie w chwili decydującej nie było ani jednej polskiej kompanii. Jakoż 1 listopada 1918 roku na ratuszu lwowskim zawieszono niebiesko-żółtą chorągiew ukraińską. Ten fakt przekreślił wszystkie nadzieje i pacyfistyczne rachuby dwóch poetów polskich, byłych żołnierzy austriackich: śp. Jana Stura i Józefa Witlina. Dnia tego mianowicie wybuchła nowa wojna polsko-ukraińska. Jej przebieg jest ogólnie znany. Nieznany jest przebieg walk, jakie w tym dniu zaczęły się toczyć, że się tak poetycznie wyrażę, w moim sumieniu, a których rezultatem jest zbiór poematów pt. *Hymny*.

W owych pamiętnych dniach listopadowych 1918 roku, jak każdy mieszkaniec Lwowa, postawieni zostaliśmy wobec kategorycznego pytania: czy Lwów ma być polski, czy ukraiński? Trzeciego wyjścia z sytuacji nie było, na ulicach Lwowa już strzelano. Obaj pacyfiści – śp. przyjaciel mój Jan Stur i ja – odpowiedzieliśmy bez namysłu: polski. W takim razie należało popierać tę wojnę, która już była faktem dokonanym. Nie uczyniliśmy tego. Nasz sentymentalny patriotyzm za mocno kolidował z pacyfizmem. Trzeba było na poczekaniu stworzyć hierarchię uczuć. I to się nie udało. W sprzecznych uczuciach naszych panowała zupełna równowaga: nie mogliśmy ani pacyfizmowi poddać przywiązania do polskiego Lwowa, ani na rzecz tej polskości zrezygnować z pacyfizmu. W końcu padliśmy ofiarą tragicznego rozdwojenia, z którego jedynym wyjściem była poezja. Co do mnie, z żadną rzeczywistością nie mogłem się pogodzić. Musiałem więc uciec od niej duchem, skoro ciało moje było uwięzione w ostrzeliwanym przez pół roku, wygłodzonym i krwawiącym Lwowie. W tych długich miesiącach zażartej walki poezja była mi jedynym ratunkiem przed rozpaczą. Mogę bez przesady wyznać, że oszalałbym wówczas, gdybym nie doznał łaski poezji. W tej sferze, rządzonej wyższą, irracjonalną logiką, jakąś najsuwerenniejszą racją stanu, było już wszystko jedno, do kogo Lwów będzie należał. W tym najkonkretniejszym ze światów: w świecie wyobraźni, znalazłem swoją prawdę, swój dom, swoją ojczyznę. Jakże sielankowa w swojej prostocie wydała mi się wówczas cała monstualna wojna światowa, podczas której miałem czyste sumienie, gdyż mogłem wobec niej zająć zdecydowanie odporne stanowisko. Natomiast ta domowa wojna polsko-ukraińska, wraz z pogromem Żydów we Lwowie, na każdym kroku stawiała

mnie wobec tragicznych dylematów, na które ani w sumieniu, ani w rozsądku nie znajdowałem odpowiedzi.

Jeżeli austriacką wojnę mogłem z czystym sumieniem nazwać zbrodnią, za którą ponoszą odpowiedzialność monarchowie, dyplomaci, dziennikarze i dostawcy, to jakżeż miałem się zachować wobec walk o Lwów, których wynik nie był mi obojętny? Czyż mogłem potem, wobec upragnionego przeze mnie zwycięstwa polskiego, zamknąć oczy na trzydniowy pogrom Żydów? Oto byłem świadkiem zjawiska, które przewartościowało cały mój dotychczasowy pogląd na wojnę. Obrońcy Lwowa i Ukrainy, z taką pasją go oblegający, nie byli masą ogłupionych, bezwolnych, pod przymusem działających niewolników obcej samowoli i tyranii. Te dzieci, te kobiety, ci wczoraj jeszcze znużeni walką żołnierze armii austriackiej – nagle zapomnieli o piekle czteroletnich doświadczeń, po prostu unieważnili tamte trudny i doświadczenia, żeby arcyświadomie walczyć o swój Lwów. I walczyli, i umierali po obu stronach, te dzieci Lwowa, ci wolontariusze wielkiej i własnej namiętności. Konduktorki tramwajowe w jednym szeregu z uczniami szkół średnich, wypuszczeni z kryminałów zbrodniarze obok profesorów uniwersytetu. Jak to nazwać? Szaleństwem? Awanturą? Wyrachowaniem? Nikt z walczących wówczas nie zastanawiał się nad różnicami klasowymi ani nad tym, kto w razie zwycięstwa będzie ciągnął zyski z ich przelanej krwi. Nie było wówczas mowy o żadnych królach ani o bankierach i fabrykantach, w których interesie leżą ponoć wszystkie wojny. Stwierdzam najuczciwiej, że ujrzałem wówczas na własne oczy żywy przykład wielkiego zaślepienia miłosnego zwanego patriotyzmem. Naturalnie, że taka desperacka miłość do rodzinnego miasta i rodzinnej ziemi nie zawsze wolna jest od osobistych ambicji, i jeżeli chodzi o młodzież – od żądzy przygód, a jeżeli o bandytów – od żądzy bezkarnych gwałtów i rabunków. I nie jest taka miłość bezinteresowna. Można bezinteresownie kochać Wenecję, zachwycać się nią w charakterze turysty, ale za Wenecję oddać życie skłonni są tylko weneccanie, którzy pragnęli żyć, i żyć szczęśliwie. Na ogół każda miłość ludzka wyraża się albo przez chęć posiadania umiłowanego przedmiotu, albo przez wyrzeczenie się go. Jedna i druga forma miłości wymaga ofiar od miłującego. Wyrzeczenie się przedmiotu umiłowania

często prowadzi jednostki zdolne do rezygnacji – ku bohaterstwu. W stosunku jednak do miłości ziemi ta forma nie ma zastosowania.

Nienawiść jako odwrotna strona miłości w walce o Lwów rozlała się trzema szerokimi korytami krwi – polskiej, ukraińskiej i żydowskiej – po całą Małopolsce wschodniej i do dziś dnia jeszcze użyźnia tę piękną ziemię.

W owym czasie, ulegając wewnętrznym nakazom, napisałem *Hymn nienawiści*, *Kołysankę*, *Trwogę przed śmiercią*, *Hymn o łyżce zupy*, *Tęsknotę za przyjacielem* i *Grzebanie wroga*. „Treść” do tych utworów czerpałem ściśle z rzeczywistości, ale nie w tym celu, aby jej schlebiać, jak to dziś czynią niektórzy młodzi poeci (słowiańscy i germańscy), lecz po to jedynie, aby tę rzeczywistość, potworną i haniebną – przez poezję przewyciężyć i unicestwić. Nigdy nie pisałem wierszy tak pełnych dosłownej autentyczności, jak w owych dniach trwogi przed śmiercią i grzebania wrogów. Jakże mdłe wydaje mi się dzisiaj każde wierszowane oburzenie programowych neopacyfistów, którzy nigdy nie widzieli zwłok poległych przyjaciół i nieprzyjaciół, i niewinniejszych jeszcze zwłok pomordowanych zwierząt! Pamiętam ów wieczór, kiedy wraz ze śp. Janem Sturem wracałem z „grzebania wrogów”. Był to Poniedziałek Wielkanocny, po okrutnej zimie pierwsze powiewy wiosenne roznosiły trupią woń, wracaliśmy pełni żalu i gniewu, i upokorzenia. Pamiętam te łyżki, co staczały się po brodzie mego towarzysza, już dziś pochowanego w tej samej lwowskiej ziemi, gdy z pięściami zaciśniętymi ku niebu wygrażał: „Kochać! Kochać!”. Następnego dnia napisałem hymn *Grzebanie wroga*.

Później czytaliśmy nasze wiersze publicznie. W naszej młodzieńczej wyobraźni przypisywaliśmy temu faktowi wielkie znaczenie społeczne. Zdawało się nam, że wiersze te mają moc zmiażdżenia miażdżącej nas wojny, i z naiwnym zdumieniem przyjęliśmy do wiadomości, że publiczność w roku 1920 godzi się i na naszą poezję, i na nową wojnę z bolszewikami. To nam zmieszało szyki. Zaczęliśmy się oburzać, pomstować, grozić końcem świata. W przekonaniu, że jesteśmy bojownikami nowej prawdy, oczekiwaliśmy represji ze strony władzy i czynników obywatelskich – jednakże nie zrobiono nam tej przyjemności i nie aresztowano nas. Później przekonaliśmy się, że od zamierzchłych czasów ludzkość toleruje

zarówno tych pisarzy, którzy ją drażnią, jak tych, którzy żyją ze schlebiana jej.

3.

W owych czasach, to jest w roku 1919, przypadł mi wielki zaszczyt poznania jednego z najmądrzejszych ludzi w Polsce: Ostapa Ortwi-
na. Prawie przez trzy lata spotykaliśmy się codziennie, a z rozmów
prowadzonych z tym wszechstronnie wykształconym i niezwykle
życzliwym krytykiem nauczyłem się znacznie więcej – jak to dziś
widzę – niż z czytanych w tych latach książek. Major Ortwin, pełniący
wówczas funkcję sędziego przy sądzie wojskowym, ustosunko-
wał się sceptycznie do naszego pacyfizmu, a jego argumenty prawie
zawsze uważałem za słuszne. W każdym razie dawały mi one więcej
do myślenia niż moje własne argumenty pacyfistyczne. Za wszel-
ką cenę starałem się zrozumieć, dlaczego ten mądry i niezwyklej
dobroci człowiek, ten głęboki myśliciel, do którego odnosiłem się
z bezgranicznym zaufaniem – jest zapalonym militarystą. Zrozu-
miałem to dopiero w kilka lat później, kiedy rzeczywistość życia
była już na tyle spokojniejsza, iż mogłem do niej powrócić z mego
poetyckiego azylu, czy też – jak kto woli – wygnania. W roku 1924
wycofałem się z tak zwanego życia publicznego i zamieszkałem
na wsi, w małym folwarczku, należącym do pewnej inteligentnej
rodziny znanej ze swych bardzo lewicowych przekonań. W ciszy
i w skupieniu zacząłem pracować nad pogłębieniem podstaw pacy-
fizmu. Śledziłem przy tym uważnie rozwój stosunków społecznych
i politycznych w kraju i za granicą i z oburzeniem przyjmowałem
wszystko, co wskazywało na możliwość nowej wojny. Owocem tej
pracy jest zbiór szkiców pt. *Wojna, pokój i dusza poety*. W szkicu
tytułowym usiłowałem poddać wojnę gruntownej rewizji, roz-
kładając ją na elementy, przy czym okazało się, iż zająłem wobec
zjawiska wojny stanowisko relatywistyczne. Dworek, w którym
mieszkałem, stał w zagajniku, oddalonym od szosy o jakiś kilometr.
W okolicy tej, w czasach wojennych, często zdarzały się napady
bandyckie. Folwarczek moich gospodarzy był nieduży, ziemia licha,
zabudowania skromne, główną własność stanowiły dwa wielkie,
z pietyzmem utrzymywane parki, sad, ogród warzywny i zagajnik.
Od dwudziestu z górą lat w mająteczku tym pełnił służbę nocnego

stróża krzepki starzec, uzbrojony w rewolwer, latarkę elektryczną i gwizdek. Chodził przez całą noc w obrębie folwarku w towarzystwie suki wilczycy i gwizdał na znak, że czuwa. Zauważyłem, iż obecność jego w nocy dawała mi zawsze miłą świadomość bezpieczeństwa i była rękojmią mego dobrego snu. Często zdarzało się, że stary stróż nocny, obowiązany chodzić zimą i latem, na mrozie i deszczu, od zmroku aż do świtu – zdrzemnął się w jakiejś stodole. Ilekroć budziłem się i nie słyszałem gwizdania, opanowywał mnie niepokój, wówczas w sumieniu i w umyśle pacyfisty powstały pierwsze wątpliwości. Zaczynałem rozumieć Ortwina.

Zapewne, gdy chodził o bezpieczeństwo domu, w którym mieszkałem, mogłem łatwo znaleźć usprawiedliwienie mego pozytywnego stosunku do zbrojnej obrony. Mogłem powiedzieć sobie, że ludzkość nie składa się z samych bandytów, czyhających po nocach na cudzą własność i życie, a tylko nielicznie przedsiębiorcy gwałtów zmuszają resztę ludzkości, niewinnej może i nieświadomej, do lichy płatnych usług bandyckich. Przekonałem się jednak niebawem, że zbiorowa drapieżność ludzka, ćwiczona w biały dzień we wszystkich szkołach handlowych i przemysłowych cywilizowanego świata, ta podwójna buchalteria, ten cały system dualistyczny, dzielący ludzi na tych, co „mają”, i tych, co są „winni” – jest groźniejszym wrogiem pokoju i etyki od mizernej żądzy rabunku poszczególnych nędzarzy i że raczej z nędzarami można się dogadać. Biada stróżom dziennym i nocnym tego świata, jeżeli się zdrzemną w nie swoich zresztą stodołach!

Ale nawet i w moim poszczególnym wypadku nie było rady. Czyż należało na folwarku wywiesić napis: „Tu nie opłaci się rabować!” lub: „Nie przywiązujemy wielkiej wagi do własności prywatnej”, lub: „Czekajcie na zmianę ustroju, a te dwie chude szkapysy i ten centnar żyta będzie wasz!”. Przypuśćmy, że rabusie nie są analfabetami i przeczytają te napisy, czyż można było liczyć na ich lojalność? Czy zasłużyliśmy na nią? Nie można było na poczekaniu zmienić rzeczywistości, więc trzeba było pogodzić się z istniejącym stanem, w którym na razie nie ma żadnego porozumienia. Bandyci nie znają i nie chcą znać przekonań ludzi, których własność jest celem ich napadów, a właściciele wiedzą o bandytach tylko to, że za pomocą kul rewolwerowych można ich odegnać. Z tej sytuacji były tylko

dwa wyjścia: albo dać się ograbić i ewentualnie zamordować, albo nie dopuścić do tego. Jest jeszcze trzecie wyjście, o którym dowiedziałem się później.

Kiedy św. Franciszek z Asyżu stanął ze swymi pierwszymi uczniami przed biskupem Gwidonem, oznajmiając mu swe pragnienie życia w absolutnym ubóstwie, biskup zdziwił się bardzo i zaproponował św. Franciszkowi założenie bractwa, któremu chętnie by oddał skromny domek z małą posesją, ogródkiem i tak dalej. Nie rozumiał biskup Asyżu, jak można żyć bez najmniejszej choćby własności. Święty Franciszek odpowiedział z wielką stanowczością: „*O domine mi!* Jeżeli będziemy mieli jakąkolwiek własność, potrzebna nam będzie również broń do obrony i walki z sąsiadami, a skutkiem tych walk wielką szkodę ponosi miłość Boga i miłość człowieka. Przeto, by tę miłość zachować nieskałaną i czystą, wszyscy trwamy bezwzględnie i absolutnie w naszym postanowieniu nieposiadania niczego na tym świecie”.

Słowa te pochodzą z najautentyczniejszego źródła do żywota św. Franciszka, z *Legendy trzech towarzyszy* (rozdział IX), trzech ostatnich towarzyszy, którzy św. Franciszka znali osobiście. Zapewne wiele naiwności znajdzie współczesny racjonalista w tej odpowiedzi średniowiecznego świętego, będącej praktyczną parafrazą słów Chrystusa, jednakże słowa te były przez długi czas brane dosłownie i służyły za podstawę pewnego systemu współżycia komunistycznego w znaczeniu religijnym. Współczesnym Europejczykom bliższa będzie nauka świętego żyjącego dziś w Indiach, Gandhiego, oparta na podobnych założeniach.

Tam, na owej wsi, zacząłem zastanawiać się nad tym, czy jest możliwe, żeby na tym świecie nie było już o co prowadzić wojny, i jak to zrobić, żeby już nie było takiej rzeczy, której warto bronić. Jak zdevaluować wszystką własność? Jakimi sposobami pozbawić siebie samego chęci posiadania czegokolwiek? Jak nie być wrażliwym na własny głód i ubóstwo? Oczywiście, że takie rozmyślenia prowadzą raczej do religijnych konsekwencji, a nie do historycznego materializmu. Okazało się jednak (i temu nie można się dziwić), że ogół ludzi nie ma zamiaru rezygnować ze swych pragnień doczesnych. Przeciwnie, pragnienia te z każdym dniem rozrastają się, tyją i kolidują z innymi pragnieniami. Ogół ludzi ujętych w ramy

klas i narodów chce walczyć „do ostatniej kropli krwi” o wszystkie gdańskie korytarze doczesnego bytu. I jest rzeczą bardzo bolesną, że ludzie sami pełnić muszą funkcje nocnych stróżów i nocnych psów własnego lub obcego dobrobytu. Wszystko jedno, czy kapitał używa do tego celu proletariatu, a sam śpi spokojnie w cichych dworach, czy też uświadomiony proletariat z własnej i nieprzymuszonej woli pragnie wywalczyć sobie lepszą egzystencję. Nic tu nie zmieni tragicznego stanu ludzkiej moralności. Mam wrażenie, iż będzie raczej na odwrót: ze zmianą moralności może zmienią się stosunki ekonomiczne, i dlatego zajmuje mnie przede wszystkim moralna strona ludzkiego bytu. Chwila, kiedy ze zjadaczy chleba przemienimy się w aniołów, jeszcze nie nadeszła, a przybliżenie tej chwili jest szczytnym zadaniem wszystkich, którzy biorą za złe głodnym, iż walczą o chleb, a sytym, iż walczą o masło i o piwo, i o kiełbasę, i kawior.

4.

Negatywna krytyka wojny łatwiejsza jest od negatywnej krytyki pokoju, wojna bowiem skupia w sobie tyle elementów zła, iż nie trzeba na jej potępienie specjalnie subtelnych kategorii. Jeżeli powiadam: pokój – mam na myśli dwie jego formy, znane mi z autopsji. Pokój przedwojenny i obecny, zwany powojennym, jakkolwiek ze względu na przyszłą wojnę powinien raczej nosić nazwę przedwojennego. Rozumie się jednak, że chodzi mi o lata poprzedzające wojnę 1914–1918–1920, w odróżnieniu od lat po roku 1920. Ów pokój przedwojenny zwykliśmy idealizować, ponieważ minął razem z naszą młodością, obecny pokój zaś wielu ludziom wydaje się zły, a to ze względów, którym poświęcamy niniejszy artykuł. Gdy mówimy o cierpieniach wojennych, nie musimy jaśniej się tłumaczyć, cierpienia człowieka na wojnie są nazbyt brutalne, iżby miano je kwestionować. Jednakże na owej płaszczyźnie, która moim zdaniem jest jedynie płaszczyzną godną pisarza, to znaczy duchowej, zdarzyć się może, iż te cierpienia wojenne błędą w porównaniu z beznadziejną udręką fałszywego pokoju. Cierpieniom wojennym towarzyszyły liczne i bardzo piękne złudzenia, a ulegaliśmy im bezkrytycznie i gromadnie. Najbardziej steranych żołnierzy – jak to wyżej opisałem – nie opuszczała czasu wojny błoga nadzieja lepszej

przyszłości, i ona to, niby jakaś duchowa wata, wchłonęła w siebie całą krew wielkiej wojny.

Jeżeli na wojnie można było tęsknić za pokojem, przyzywać go resztkami pogruchotanego serca, za czym mają dzisiaj tęsknić bankruci pokoju, dla których łono jego nie matczynym jest, ale macoszym? Za Paneuropą, za ustrojem komunistycznym czy za szczęściem pośmiertnym? Projektodawcy ludzkiego szczęścia w ramach realnej możliwości zapominają o tym, że wojna stawiała nam tak wielkie wymagania, że nie zadowolimy się byle jakim pokojem. Ostatecznie z minioną wojną można było pogodzić się, nawet musieliśmy się pogodzić, w chwili gdy stała się ona faktem dokonanym. Nie my pisaliśmy jej regulaminy, na których mocy ona paraliżowała naszą wolę. Ale z tym, co nastąpiło po wojnie i fałszywie nazywa się pokojem, trudno się pogodzić. Tu już możemy wpłynąć na regulamin, tu już wiele, jeżeli nie wszystko, od nas samych zależy. Niestety, ze smutkiem stwierdzić trzeba, że ze wzrostem spokoju naszych sumień maleją szanse prawdziwego pokoju na ziemi. Spokojne sumienie człowieka powojennego jest najbardziej niepokojącym objawem i nie wiadomo, co więcej nas zdeprawowało: wojna czy pokój? Rozróżniam pokój żywych i pokój umarłych. Pokój umarłych jest prawdziwym pokojem: pełnowartościowym, uczciwym. Z wizją tego pokoju w gasnących oczach polegli na wszystkich frontach nieznanymi żołnierze. Ten pokój był rzeczywiście święty, bo niedożyty.

Nasz pokój powojenny jest podły. Możliwe, że niczym nie różni się od pokoju przedwojennego. Tym gorzej. I w samej rzeczy pod wieloma względami oba te pokoje wyglądają identycznie. Ta sama etyka, te same namiętności i pragnienia, jakkolwiek zaspokajane w innych warunkach. Jednakże przed wojną szło się do celu przeważnie tylko po symbolicznych „trupach”, a dziś wspinamy się po milionach rzeczywistych zwłok oraz po milionach żywych trupów. Ten powojenny pokój odsłonił nam najtragiczniejszą z prawd: naszym wrogiem nie był zabijany przez nas lub zabijający nas „nieprzyjaciół”, lecz jest nim raczej co trzeci „rodak”. Jak zmusić tego bliźniego, żeby nas już nie nienawidził? Ogniem i mieczem?

„Nienawidź sam siebie, jak nienawidzisz bliźniego!” – tak może brzmieć kwintesencja nowej ewangelii. Takie kazanie, wygłoszone w dolinach ludzkiej pychy, większy odniosłoby skutek niż owo

Kazanie na Górze, którego na serio nie biorą nawet zawodowi głosiciele miłości. Więc jakże? Czyżby człowiek był aż tak podłym stworzeniem, że tylko w najostatniejszym cierpieniu okazuje swą szlachetność? Czyżby ludzie byli naprawdę ludzcy tylko w nieludzkich okolicznościach? Podczas wojny byliśmy świadkami tak potężnych aktów ludzkiej wielkości, dobroci i poświęcenia, że zaryzykować trzeba twierdzenie, iż ta wojna podlejsza była od ludzi, którzy w niej brali udział. Jak to jest możliwe?

Zdaje się, że wojna mechanicznie unicestwia nagromadzoną w człowieku podczas pokoju pychę, podłość i nienawiść, a każąc mu wykonywać najgorsze etyczne czynności – ukazuje mu wszystką ich ohydę, małość i potworne szaleństwo. Z chwilą gdy człowiek zaczyna egzekwować swe własne instynkty, instynkty te w nim zamierają i rodzą inne, szlachetniejsze. Dlatego podczas pokoju człowiek jest podlejszy niż na wojnie, jakkolwiek nie morduje. Groszowa miłość, zwana miłosierdziem i sympatią, którą nieraz w czasie pokoju obdarzamy cierpiącego bliźniego, niegodna jest nawet rozwiązać rzemyka u stóp tej wielkiej miłości, znanej nam z wielkiej wojny i z wielkiej poezji. (W Warszawie grają sztukę Sheriffa *Kres wędrówki*, w której mimo całej grozy i pękających granatów więcej jest miłości niż nienawiści. I jakiej miłości!). Tylko w obliczu tak potwornych spraw, jakie nam wyreżyserowała wojna, ludzie, którzy w życiu cywilnym zagryzaliby się może pogardą i pychą, stają się prawdziwymi braćmi. Są to chyba najsmutniejsze słowa, jakie kiedykolwiek napisałem. Jednak w tych sprawach nie mogę być lirykiem.

Jeżeli chodzi o porównanie pokoju przedwojennego z obecnym, wypada ono na niekorzyść pokoju obecnego już choćby przez fakt, iż pokój przedwojenny nie miał za sobą doświadczenia tak straszliwej wojny. Przypuśćmy nawet, że pokój przedwojenny gorszy był od dzisiejszego, ale nie wolno nam zapominać, iż brak mu było tego krwawego odczynnika, który zabarwia dzisiaj całe nasze życie, nie powodując chemicznych zmian w naszej moralności. Czasem wydaje się, iż europejska ludzkość po prostu nie zasłużyła na tę wojnę, skoro wróciła z niej taka sama, jeżeli nie gorsza. Każde nieszczęście budzi na ogół respekt, spodziewamy się, iż uszlachetnia dotkniętego nim człowieka, toteż niemiłe ogarnia nas zdziwienie, gdy spotykamy go w takim samym stanie, w jakim był przed nieszczęściem. Nawet do

zbrodniarza, którego jedyną zasługą jest to, że przez piętnaście lat siedział w więzieniu, odnosimy się z pewnego rodzaju uszanowaniem, nie tyle w stosunku do jego osoby, ile do tej sumy cierpienia, które przez piętnaście lat w nim zamieszkało. Już w szkole podobny szacunek budził kolega, który stracił ojca lub matkę albo przeszedł przez jakąś niebezpieczną chorobę. Obecność śmierci w jego domu dystansowała nas od niego i zmieniała nasz żakowski doń stosunek. Okrążaliśmy go, jak gdyby był otoczony nimbem, czuło się bowiem, że ten chłopak był przez dłuższy czas w zetknięciu ze sprawami ostatecznymi i wracał do nas z owej tajemnej i sublimowanej strefy, w której ludzie wierzący czują obecność Boga. Mieliśmy nawet żal do tego chłopca za to, że zachowywał się normalnie, jak gdyby nigdy nic, i w dalszym ciągu płatał wraz z nami sztubackie figle. Nie zasłużył na tę rangę, którą gotowiliśmy byli przyznać mu za jego cierpienia.

To samo powiedzieć można o powojennej ludzkości. Zachowała się jak gdyby nigdy nic. Nie zasłużyła na to wielkie pohańbienie, jakim była wojna, bo i na pohańbienie trzeba zasłużyć. Chciałoby się o niej mówić z tą samą czcią i przerażeniem, z jakim mieszkańcy Florencji pokazywali sobie Dantego: „Oto jest człowiek, który za życia był w piekle!”. Myśmy też za życia byli w piekle, ale po powrocie z niego zachowujemy się tak, jakbyśmy byli w kabarecie. Tylko ci, co padli na tej wojnie, zostali przez nią wywyższeni i godni byli do czekać się owego idealnego pokoju, za którego iluzję z góry zapłacili własnym życiem. Ci, co z tej wojny wrócili i są tacy sami jak przed wojną, niewarci byli tego, by na nią pójść, i mają do wyboru dwie hańby: hańbę wojny i hańbę pokoju.

Zbyt wielkie były hasła, o które na wojnie mordowano się: wolność, równość, braterstwo, Bóg, ojczyzna, kultura, cywilizacja, sprawiedliwość, żebyśmy mieli je lekceważyć. Jeżeli wojna używała tych haseł bezprawnie, jeżeli je zdefraudowała, to pokój powinien im zwrócić ich pełną wartość w złotej walucie. Okazuje się jednak, że i w dalszym ciągu te hasła są obłudne, i nikt, lub prawie nikt, w nie nie wierzy. Skoro więc słusznie demaskuje się kłamstwo haseł wojny, należałoby z tą samą surowością zdemaskować hasła pokoju. Nie ma równości, wolności, braterstwa, sprawiedliwości i Boga w ludziach pragnących pokoju na przedwojennych zasadach etycznych, które doprowadziły do wojny, i okazuje się, że jesteśmy skłonni

do większych ofiar na rzecz wojny niż na rzecz pokoju. Wojnie mieliśmy poświęcić wszystko: życie, godność osobistą, szczęście domowe, rodzinę, mienie, wszelkie nasze zabytki sztuki i kultury. Gdy chodzi o pokój – niczego nie oddamy, ani ziemi, skąd nasz ród, ani pieniędzy, ani dobrego imienia. Nie zrezygnujemy nawet ze skrzynek pocztowych pomalowanych na nasz kolor.

5.

Jeżeli wojna jest hańbą – jest hańbą cywilizacji przede wszystkim. Zwolennicy cywilizacji i postępu, radia i samochodów i inni miłośnicy współczesnych przyjemności wskazują na stałą poprawię stosunków międzyludzkich, na rzekomy wzrost humanitaryzmu, na taylorizm, a ilustrują swą optymistyczną tezę przykładem zniesienia inkwizycji i handlu niewolnikami. Niewątpliwie mają rację, jeżeli chodzi o zmianę metod dręczenia ludzi przez ludzi. Zapominają jednak o tym, że inkwizycja była tylko jedną z form tego samego, do dziś dnia immanentnie tkwiącego w naturze ludzkiej okrucieństwa, którego nie unicestwia ani postęp, ani cywilizacja, ani ateizm, ani naukowa organizacja pracy. Wprost przeciwnie: postęp i cywilizacja udoskonaliły narzędzia tortur, zelektrykowały je i zrationalizowały, pozbawiając je cech indywidualnych i teatralnego splendoru. Podobnie i wojna współczesna zrezygnowała z błyszczących szyszaków i gwardyjskich złożonych mundurów, a za to wprowadziła znacznie okrutniejsze, choćby mniej efektowne gazy trujące, bomby i tanki. Te środki udręki można obsługiwać w nieefektywnym mundurze, przypominającym bluzę robotniczą lub kostium sportowy. Współczesny żołnierz jest przeważnie mechanikiem.

Przypuśćmy, że w wiekach średnich niemądrze i niesłusznie torturowano ludzi w celach, które dziś wydają się nam błahe i potworne; czyż można twierdzić, że od tego czasu zmalała suma okrucieństwa ludzkiego w świecie? Znudziły się tylko lub same wymarły zasady, w których imię wówczas maltretowano. Dzisiaj męczy się ludzi ulepszonymi systemami w imię słusznych – przypuśćmy – i mądrych spraw. Dla mnie osobiście jest rzeczą obojętną, czy jesteśmy zli i okrutni o błahostki czy o rzeczy wielkiej wagi. Cywilizacja nasza wyśmiewa wieki średnie, że męczyły ludzi o głupstwa, przypuszczalnie wieki średnie wyśmiewałyby współczesną cywilizację z tego

samego powodu. Dzisiaj też istnieje inkwizycja w życiu prywatnym i publicznym, a jeżeli operuje odmiennymi środkami niż ta, którą założył Innocenty III, to może dlatego, że dzięki cywilizacji zmieniła się nasza wrażliwość. To, co dawniej może wcale nie bolało, dzisiaj, dzięki postępowi, boli już tak jak wykłuwanie oczu lub łamanie kości.

I dzisiaj łamie się kołem, i nie tylko nasze fizyczne kości. Współczesna inkwizycja (posługująca się zresztą szczypczykami, wlewaniem wody przez nos, olejem rycynowym) umie również łamać kręgosłupy naszego charakteru, przetrzącać żebra naszej duszy, a współczesny pręgierz opinii publicznej – gazeta – niejednemu już człowiekowi obrzydził życie. Współcześni inkwizytorowie nie zawsze zabijają sami, często zmuszają swe ofiary do samobójstwa. Nikt inny, tylko cywilizacja przysłała im z pomocą. Ona to wydelikacila ludzkie nerwy (być może silniejsze i grubsze w wiekach średnich) i uczyniła z nich najczulszy odbiornik bólu. Jakoż współcześni inkwizytorowie wiedzą, co czynią, skoro starają się przede wszystkim zniszczyć nerwy swych ofiar. Zapewne, gdy chodzi o współczesne okrucieństwo, zawodowo stosowane w instytucjach publicznych, można by część winy – jak to czynią niektórzy materialści – zwalić na warunki ekonomiczne. Z pewnością istnieją dzisiaj agenci policyjni państw kapitalistycznych oraz funkcjonariusze sowieckich czerezwyczajek, którzy mszczą się na aresztantach za swe niskie gaże oraz za niemożność brania od nich łapówek. Mimo to okrucieństwo ludzkie – od początku świata – jest dość obficie reprezentowane także i w sferach ekonomicznie nasyconych, a nawet przesyconych, tak iż można je śmiało wyeliminować poza granice układów i walk klasowych.

Co się tyczy zaś tak pogardzanych przez postępowców wieków średnich, owego *tertium comparationis*³ wszelkiej „ciemnoty”, którym lubią popisywać się liberalni dziennikarze i wolnomyśliciele, to nawet powierzchownie obznajomiony z średniowieczem uczeń stwierdzi z łatwością, że te same dokumenty, co przekazały nam okrucieństwa inkwizycji i *autodafé*, przekazują nam co najmniej tyle przykładów wielkich cnót ludzkich, łagodności i tak wielkiej egzaltacji duchowej, jakiej nie znają już późniejsze „oświecone” wieki.

³ Łac. trzeci element służący za miarę porównania dwóch innych elementów.

Pozostaje też kwestią otwartą, gdzie więcej szukać barbarzyństwa: w wiekach, których pamięć konserwują freski Giotto, pieśni Jacopone da Todi i śpiew gregoriański, czy w epoce malarstwa kubistycznego, powieści Wallace'a i jazzu? Gdzie nagromadziło się więcej łagodności: w epoce walk religijnych, herezji i trubadurów czy w epoce ataków gazowych, walk klasowych i Majakowskiego? Przepraszam za to, że posłużę się zużytym, sentymentalnym pojęciem jak „serce”. Otóż wieki średnie były przede wszystkim opanowane kulturą wielkich serc, a ich okrucieństwo służyło fanatykom do gnębienia fanatyków. Dzisiejsze okrucieństwo cywilizatorów służy cynikom do gnębienia fanatyków lub głupców. I dziś jeszcze stwierdzi każdy podróżnik lub komiwojażer, że im dalej od centrów zelektryfikowanej, zacadzzonej benzyną cywilizacji, tym więcej dobroci ludzkiej. Kilku znawców świata utrzymuje, że jeszcze tylko na Syberii ludzie mają serca. Gdyby Mickiewicz znał współczesną cywilizację, pozazdrościłby może tej młodzieży pędzonej w kibitkach na Sybir, i kto wie, może sam przyłączyłby się do transportu. Wszak sam kiedyś wołał nie: „Mędrca szkiełko i oko”, tylko: „Miej serce i patrzaj w serce!”.

*

Fanatycy cywilizacji, upatrujący w niej jedyną rękojmię wiecznego pokoju, uważają każdego, kto tę cywilizację krytykuje, za człowieka „zacofanego”. Nie pojmują ci szlachetni romantycy pozytywizmu i racjonalizmu, że niezadowolenie z współczesnej cywilizacji nie oznacza jeszcze aprobaty pierwotnych form bytowania. Ci lirycy nie rozumieją tragiczmu współczesnego humanisty, który nie znajduje realnego wyjścia ze swej sytuacji i nie ma żadnych złudzeń. Taka sytuacja nie daje ani możliwości powrotu, ani nie stwarza żadnych szans na przyszłość. Podobnie nie każdy, kto neguje pacyfizm, jest *eo ipso*⁴ militarystą. W krajach, gdzie pisarze zajmują się przede wszystkim badaniem spraw zamkniętych ściśle w granicach ludzkiego charakteru, tragiczne osamotnienie prowadzi często do niespodziewanych odkryć. U nas, niestety, zwłaszcza w Warszawie, ciągle jeszcze pokutuje zasada, według której pisarz obowiązany

⁴ Łac. tym samym.

jest być rabinem i posiadać w zanadru gotowe odpowiedzi na wszystkie pytania, którymi zasypuje go życie prywatne i społeczne. Nie rozumie się u nas jeszcze tego, że sformułowanie i postawienie wielkiego znaku zapytania jest produktywniejsze od wynajdywania odpowiedzi prawie zawsze przekreślanych przez życie. Odpowiedzi, zwłaszcza wygłaszane w tonie proroczym, mogą być mylne, pytania zaś przeważnie bywają trafne.

Co do mnie, nauczyłem się pobłażać ludzkiej słabości i nie robić z siebie wyjątku. Pogodziłem się również ze smutną prawdą, że na tej ziemi nie będzie rajy i że trzeba żyć w ramach losu, którego nie zmienią nasze książki, choćby najpiękniejsze. Jeżeli chodzi o traktaty pokojowe, domagam się jedynie rewizji granic ludzkiego sumienia i ludzkich możliwości. Z uczestnikami bankietów pacyfistycznych i Paneuropejczykami niewiele mam wspólnego. Miłośnicy szyldów i sztandarów oskarżają mnie o zdradę sztandaru pacyfistycznego. Nie zdradzam sztandaru mojej młodości, obnoszonego już dzisiaj na majówkach, raczej on mnie zdradził: nie w takich go widywałem sytuacjach. Gwiżdżę na taki sztandar i opuszczam szeregi ciurów.

Chartres

Karolowi Stromengerowi

Słoneczny żar oślepia oczy, znużone rozgrzaną pstrokacizną paryskich ulic, i wyolbrzymia potworny ryk oszalałych samochodów. Ciało storturowane upałem i dusznością oraz dusza udręczona własną niemocą chętnie pozwalają się nieść pociągowi, który w błyskawicznym tempie mknie z Wersalu w kierunku Chartres. Za Wersalem, za Saint-Cyr ukazują się pierwsze, od tyłu miesiący niewidziane łany zbóż. Kłosa, jeszcze zielone, łagodnie falują po obu stronach pociągu, a on, jak dziki zwierzę, wypuszczony z żelaznej, rozpalonej klatki paryskiego dworca, z radością rzuca się w wonną zieleń, w cichy szum wolności, unosząc z sobą nasze płuca spragnione powietrza, oczy łaknące spokoju i serca głodne piękności.

Zawsze odnosiłem się sceptycznie do owych słynnych urzędowych piękności, oznaczonych w baedekerze trzema gwiazdkami. Stosunek mój do sławnych z urody miejsc na świecie aż nadto często paczyły ordynarne zachwyty nudnych ludzi i wyznaję, iż w drodze do Chartres wstydzilem się trochę, iż udaję się tam szlakiem utartego komunału. Zdarza się, iż ze zdrowej przekory wmawiamy w siebie, że Wenecja wcale nie jest tak piękna, jak to uważają nasi znajomi i nauczyciele geografii, a ta przekora, zwłaszcza gdy płonie z szczerzego przekonania, pozwala nam niekiedy zatriumfować nad komunałem. Często jednak, i to nawet bardzo często, zdarza się, iż ludzie, których zachwyty zniechęca nas do zachwycania się, mają rację. Przedmiot ich zachwyty, oglądany „na żywo”, skonfrontowany z naszym własnym smakiem, okazuje się nie tylko rzeczywiście piękny, ale niekiedy nawet przerasta nasze oczekiwania.

Jadę do Chartres. Katedrę w tym miasteczku uważają bakałarze za najpiękniejszą we Francji.

Pociąg, pijany wolnością, w zręcznych lansadach mija zgrabne zameczki, piękne parki i stawy, mija Rambouillet, letnią stolicę prezydenta Republiki, mija Maintenon i zatrzymuje się w Chartres. Już z okien wagonu widać dwie olbrzymie, smukłe wieże, wykluwające się strzelistymi iglicami spośród malowniczo rozmieszczonych, ale dość pospolitych budynków. Te wieże z daleka nie mają w sobie nic imponującego. Z pociągu zdążającego do Żyrardowa też widać

dwie duże gotyckie wieże, tylko z tą pozornie różnicą, iż są one z czerwonej młodej cegły, a nie ze starego szarego kamienia. Opuszczając halę dworca, przekonywam się, że to jednak nie Żyrardów. Z ubogim miasteczkiem tkackim na Mazowszu ma Chartres tylko tyle wspólnego, iż podobnie jak tam, tak i tu kościół nieproporcjonalnie przerasta swoimi rozmiarami karłowate otoczenie domków. To Guliwer wśród karłów.

Ledwo stanąłem na wzgórzu katedralnym, zdałem sobie sprawę, iż nie ma mowy o tym, iżbym mógł opisać potęgę i nieludzką piękność tej świątyni. Można ją chyba przerysować ołówkiem lub kredką. Zdaje mi się, że w żadnym języku nie ma słów, które zdołałyby choć w części oddać zarysy tej wielkości, elewację tych łuków, sklepień, wiązań i kontrefortów, muzykę naw i transeptu, magiczną grę rozet i witraży. Do pewnego tylko stopnia udało się to Huysmansowi¹. Dwaj Polacy, którzy godni byli przerysować linie tej katedry, już nie żyją. Tylko natchnione ołówki Stanisława Wyspiańskiego i Stanisława Nowakowskiego były do tego powołane. Piękny obraz Utrilla sygnalizuje zaledwie rzeczywiste zjawisko katedry. Nas stać najwyżej na opis własnego wspomnienia, na relację własnej relacji do tego, co widzieliśmy. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Od architektury czy od rzeźb i witraży, od wrażenia szczegółów czy od wrażenia całości?

Katedra w Chartres – to cały, zamknięty w sobie świat. Żeby ten świat choć w przybliżeniu ogarnąć – na to trzeba by spędzić tutaj co najmniej tydzień. Nie, nawet wspomnienie tej katedry przerasta moje siły i ubogą wiedzę. Nie znam również technicznej nomenklatury tego budownictwa. Ale wiem jedno: nie tylko to jest ważne, co wynosimy z Chartres, ważne jest również to, cośmy z sobą przynieśli, a przede wszystkim, skąd przybywamy. Od tego zależy wartość i siła, z jaką katedra na nas oddziaływa. Cokolwiek byśmy tutaj z sobą przynieśli, skądkolwiek byśmy przybyli – wszystko zmaleje w obliczu tej wielkości. I nasz ból, i nasza radość, i pycha, i miłość własna. Stoimy pośrodku tłumu kamiennych postaci – pełnych nie tylko życia i cierpienia, mądrości i światłości – wszystkie je przepęnia jednocześnie to, co jest żywotów ludzkich uwieńczeniem, tęsknot ludzkich spełnieniem, nagrodą za cnoty i karą za przewiny.

¹ Mowa tu o powieści *Katedra* dekadentckiego francuskiego pisarza Jorisa-Karla Huysmansa.

Stanęliśmy, jak Dante, *in mezzo del cammino*², skąd widzimy i piekło, i czyściec, i niebo. Jesteśmy niejako w stolicy, w samym centrum owej strefy, gdzie myśl ludzka o Bogu graniczy z myślą samego Boga o człowieku. Jeżeli gdzie, to tu, w Chartres, moglibyśmy dowiedzieć się, co o nas myśli nasz Stwórca, o ile w ogóle jesteśmy godni tego, żeby o nas myślał. A gdy zważymy, że to wszystko: te figury świętych, męczenników, aniołów i cherubinów, judzkich królów i greckich mędrców i te szkła malowane, i ten kolosalny kamienny gmach – ludzkie wzniosły ręce, poczuwamy się głęboko wzruszeni ową wielką łaską, która naszym braciom sprzed wieków objawiła się i pozwoliła na ludzki obraz i ludzkie podobieństwo kształtować boskie oblicze.

Ci Francuzi i te Francuzki z północnych departamentów, o typach przeważnie galijskich i normandzkich, ludzie, którzy bezimiennym Francuzom rzeźbiarzom służyli za modele, mają w sobie tyle surowości i tyle niezziemskiej powagi, iż wierzyć się nie chce, że naprawdę są ludzkim dziełem. Matka Boska szyjąca (na płaskorzeźbie pokrywającej ścianę „Tour de Choeur” w prezbiterium) – to młoda matrona normandzka, a jednak nikt, kto na Nią spojrzy, nie będzie wątpił, iż szyje pieluszki dla Boskiego Syna. Taki już los Świętej Rodziny, znanej nam z rzeźb i fresków: są Włochami, Flamandami, Francuzami, Hiszpanami, Polakami i noszą stroje kraju i epoki, w której żyli Jej twórcy. Tylko bizantyjskie malarstwo zdaje się być wolne od regionalizmu. Wiele cech bizantyjskich mają postacie sztywnym szeregiem ustawione u portali gotyckiej katedry. Twarze ich jednak są niemal naturalistyczne, jak twarze malowane w Asyżu i we Florencji przez Giotta.

Zdaje się, że geniusz zachodniego chrześcijaństwa obrał sobie stolicę w Chartres. Trudne jest piękno tej gotyckiej architektury i rzeźby, trudne i nieuśmiechnięte. We francuskich sklepieniach, łukach i kontrefortach na próżno szukamy wdzięku kolorowych włoskich, zwłaszcza tokańskich struktur. Tu mury, ani wewnątrz, ani zewnątrz, nie są powleczone freskami, tu aniołowie nie mają kolorowych skrzydeł, a święci nie mają złotych aureoli nad głowami.

² Nawiązanie do pierwszego wersetu Pieśni I *Boskiej komedii* Dantego. Z przekładu Juliana Korsaka: „Z prostego toru w naszych dni połowie / Wszedłem w las ciemny; jaka gęstwa dzika, / Jakie w tym lesie okropne pustkowie, / żyjący język tego nie wypowie;”.

Niebo tu nie jest błękitne, lecz chmurne i ołowiane. Nagi i szary jest francuski gotyk, jedynie witraże mienia się barwami tęczy, wśród których przeważa fioleto.

Nagi i szary jest ten gotyk, jak sama prawda, którą ucieleśnia, jak proch ziemi, z którego nasze ciała powstały i w który z powrotem się obróca. Surowa, groźna, a nie słodka, nieigrająca jest prawda gotyckiego Boga. Oto On: stoi pośrodku południowego portalu z księgą w ręku: to Chrystus nauczający. Nagie stopy oparł na ciele lwa i na ciele smoka, ale wiedzę Swoją oparł na miłości. Tak wyobrażają sobie często Chrystusa rzeźbiarze średniowieczni, pamiętni słów psalmu XC: *Super aspidem et basiliscum ambulabis et conculcabis leonem et draconem*³. Ale widzimy Go jeszcze w innych postaciach: Króla i Sędziego. Król zasiada w pełnym majestacie na tympanonie portalu zachodniego, powyżej Chrystusa nauczyciela, w towarzystwie Matki Boskiej i Jana, najmilszego ucznia. Oboje apelują do Najwyższego Miłosierdzia, prosząc o łaskę dla oskarżonej ludzkości. Sześciu aniołów zgrupowało się wokoło tej centralnej sceny. Każdy z nich trzyma insygnia Męki, żeby przypomnieć sądzonym, iż Ten, który dzisiaj sądzi, sam kiedyś był skazańcem i oddał za nich życie. Jeden anioł, tuż przy św. Janie, trzyma bicz oraz prymitywną kolumnę, do której był przywiązany Jezus w pałacu namiestnikowskim. Anioł, umieszczony za Dziewicą, dzierży lancę. Inni aniołowie niosą cierniową koronę, gwoździe, całun, krzyż i chustę św. Weroniki. Potem szeregi cherubinów i serafinów; gotyckim, połamanym półkolem otaczają Sąd. Potem szeregi alegorycznych postaci i cnót, władz, potęg rządzących, znów archaniołowie i aniołowie – aż do tych z trąbami, którzy umarłych zwołują. Na dźwięk trąb umarli podnoszą się z grobów, jedni biją się w piersi, inni za pomocą gestów usiłują wykazać swoją niewinność. Archanioł Michał waży dusze. Widać potępionych, których złe demony porywają do piekieł. Widać bezwstydną ciała ludzkie, porywane przez potwory. Po drugiej stronie fryzu aniołowie wiodą sprawiedliwych do raju. Widać łono Abrahama, na które aniołowie kładą dusze niewinnych.

Moglibyśmy tak bez końca wymieniać szczegóły tego Sądu, a jest to zaledwie opis części tympanonu i fryzu jednego z trzech portali. A czyje pióro odda linie majestatycznych ciał i twarze sztywnych

³ „Będziesz stąpał po wieżach i źmijach, a lwa i smoka będziesz mógł podeptać”.

świętych, królów i królowych, męczenników i wyznawców, w długich szeregach strzegących wrót i portyków?

Każda z tych postaci posiada nie tylko własną twarz i własne ciało wyrzeźbione w kamieniu. Każda z nich nosi w sobie ów najwyższy sens, którego zrozumienie przekracza już granice ludzkiego rozumu i tylko niekiedy sercem możemy się go domyślić. A kto z żywych zrozumie anioła, którego pierś okrywa tarcza zegara słonecznego? Może tą tarczą sama wieczność zasłania się przed doczesnością? Co się śni św. Marcinowi? Co mieści się w spojrzeniu, którym św. Anna obdarza swe dziecko na ręku? Co mówią zbołałe wargi człowieka, którego głos wołał na puszczy, Jana Chrzciciela, i do kogo mówią? A kto wytłumaczy gest ręki Boskiej w chwili, gdy Adama powołuje do życia? Oto ręka, która wie, co czyni, jedyna ręka, która to wie. I tak bez końca mogliśmy stawiać pytania, na które odpowiedź zawarta jest w tych „żywych kamieniach”, chociaż nie umiemy jej odczytać.

A teraz cóż nam pozostaje? Nerwowo, w pośpiechu przyjeżdżamy od kruchych i wątpliwych prawd i reguł naszego bytu do tej olbrzymiej, tyle lat trwającej i w głązy zaklętej prawdy. Po cośmy tu przyjechali? Nakarmić oczy pięknnością? Zapewne, spojrzenia nasze nie splugawią czystości tej katedry. Nie ma obawy: katedra wytrzyma nasz wzrok, jak wytrzymała wszystkie pożary, które ją nawiedziły w ciągu wieków, wojny i rewolucje. Po tych kamieniach ześliznęły się miliony ócz ludzkich, zachwyconych i sceptycznych, a katedra trwa niewzruszona. Ale co z nami się stanie, jeśli my nie wytrzymamy na sobie spojrzenia katedry? Co będzie, jeśli oczy tych rzeźb, te święte gesty rąk – urzekną nas i już nie puszczą od siebie? Co uczynimy wówczas? Czy mamy zrzucić z siebie wszystką pychę, zapomnieć o tym, co trawi i spala nas na popiół, i zostać już tu na zawsze? Czy też mamy udać się na dworzec i wrócić tam, skąd przybyliśmy, i zabrać sobie na pamiątkę kilka fotografii katedry, które zawiesimy nad naszymi biurkami i łózkami?

Nad wieżami katedry krążą aeroplany wojskowe. W pobliżu, na przeciwnym wzgórzu, znajdują się hangary. Nad wielowieczną elewacją tych luków, nad krótkotrwałą elewacją naszych małych serc – wzbijają się maszyny, w których siedzą ludzie. Jak postąpić, żeby było najlepiej? Może wejść do tej angielskiej herbaciarni naprzeciw południowego portalu katedry i posiedzieć tu aż do Ostatecznego

Sądu, kiedy figury z tympanonu, który widać przez okna herbaciarni, przestaną być kamieniami? Tak chyba będzie wyglądał Sędzia, który policzy nasze cnoty i zbrodnie, pomści nasze krzywdy i wynagrodzi Sprawiedliwych. Czy tu mamy Nań czekać, w tej herbaciarni, czy wrócić tam, skąd przyszliśmy?

Kamienni aniołowie mają skrzydła, żywi ludzie mają tylko aeroplany. Uciekajmy stąd.

O potrzebie nowej moralności

Uchodźca – to nie tylko człowiek, który „w czas morowy lękliwą niósł za granicę głowę”¹ i uszedł żywy z pożaru, zagłady, niewoli. W „lękliwej głowie” coś przecież się dzieje, jakieś myśli fermentują, rodzą się, umierają, zmartwychwstają. Od ocalonych ciał uchodźców wojennych – przyszłość, ta wysoka instancja, do której adresujemy nasze marzenia, pretensje i skargi, nie będzie żądała rachunku za czas spędzony w bezpieczeństwie, sytości i spokoju. Zażąda go natomiast od dusz nieskażonych niewolą, od dusz wypoczętych i wyspanych, a to z tym większą surowością, im pomyślniejsze były warunki naszego istnienia. Jeżeli nie jest pychą i uzurpacją twierdzenie, że za wygląd duchowy społeczeństwa odpowiedzialna jest jego elita umysłowa, to wolno sądzić, że za wygląd duchowy naszej obecnej emigracji odpowiedzialność poniesiemy my, garstka poetów i pisarzy w krajach wolnych, za wolność walczących i wolność miłujących. Nie możemy dziś, niestety, troszczyć się produktywnie o materialne życie ciemzonego kraju, z tym większą gorliwością winniśmy dbać o rezerwat duchowej kultury polskiej, rozproszony w różnych częściach globu. Z tym większą odwagą i szczerością winniśmy prawdzie zaglądać w oczy, gdyż ona jedna tylko przydatna będzie kiedyś do moralnej odbudowy ojczyzny. Już dziś powinniśmy gromadzić w sobie elementy prawd, z którymi zamierzamy powrócić do Polski, żywi lub umarli.

Ta wojna jest chyba od czasów Attyli pierwszym w dziejach Europy totalnym najazdem barbarzyństwa na całokształt ludzkiego uduchowienia. Do tej pory nawet najdziksi niszczyciele świata i jego kultur mieli pewne hamulce i wstydzieli się występować jawnie z zagładą wartości duchowych. Hitler ze swymi pomocnikami pierwszy raz w dziejach naszego kontynentu bezwstydnie odkrył przyłbicę. Ten ucieleśniony grzech przeciw Duchowi najpierw we własnym kraju wytepił lub zmusił do ucieczki wszystkich twórców i artystów, co mu nie chcieli służyć. Potem zabrał się do reszty świata, zaczawszy od Polski, gdzie napotkał najzaciętszy opór. Za ten opór postanowił

¹ Nawiązanie do epilogu *Pana Tadeusza* Adama Mickiewicza: „Biada nam zbiegi, żeśmy w czas morowy / Lękliwe nieśli za granicę głowy!”.

unicestwić naszą kulturę nawet na najniższych jej szczeblach. Dawniejsi gwałtownicy i tyrani nieraz zatrzymywali się z szacunkiem, częstokroć udawanym, na progu domu poety podbitego narodu. Uznali, że wypada im szanować dzieła obcej myśli i obcej sztuki, chociażby z lęku przed tak zwanym wyrokiem historii, która na tym właśnie punkcie bywała zawsze najdrażliwsza. Darowywała wielkim zbrodniarzom rzezie niewiniałek, zapominała im masakry bezbronnej ludności i burzenie jej siedzib, jeśli oszczędzili twory myśli i wyobraźni. Hitler nie dba o sąd historii. Z cyniczną otwartością godzi przede wszystkim w duchowe życie podbitych narodów, osobliwie ich religię i sztukę. Jego armie i służalcze instytucje walczą nie tylko przeciw armiom i ludności cywilnej, one walczą przeciw językowi narodu, jego nauce, walczą przeciw nam, pisarzom. Skoro tak jest, powinniśmy uznać siebie za wojsko, a nasze pióra za broń. Bronimy bowiem od zagłady nie tylko nasz język, lecz stanowimy niejako zaporę żywego ognia bliższą niebu niż zapory balonów uwieszone pod pułapami bohaterskich miast, broniących się przed nocnymi nalotami aparatów Goeringa. Świadomość tej wojennej misji nakłada na nas obowiązek wysokiej i być może nowej moralności.

Dlaczego nowej? Zdawałoby się, że naród polski, w swej przeważającej większości, posiada ostrą i wzniosłą moralność, która nieraz go przeprowadzała przez dziejowe odmęty. Przeciw tej moralności właśnie, przeciw moralności chrześcijańskiej wystąpił Hitler, więc zdawałoby się, że walcząc z Hitlerem, niejako automatycznie walczymy w obronie tej moralności. Tak jest w teorii, lecz w praktyce używać musimy broni przeciwnika. Kto chciałby pokonać Hitlera i hitleryzm przy pomocy miłosierdzia, byłby nowym Don Kichotem, tylko bardziej szkodliwym niż rycerz z La Manczy.

Byłoby małpowaniem strusia, stchórczeniem myśli lub w najłagodniejszej ocenie – wyjąłowieniem świadomości, gdybyśmy chcieli przed sobą samymi ukryć fakt, iż ta polska wojna z Niemcami głęboko podkopła podstawy moralności chrześcijańskiej, a więc i Polaków. Przede wszystkim – Polaków. Na pytanie: czym żyje dzisiaj ludność okupowanej Polski? – możemy odpowiedzieć jednym słowem: nienawiścią. Nienawiść to potężna witamina wygłodzonych milionowych rzesz. Utrzymuje ona przy życiu i pozwala przetrwać najsrozsze opresje. Nienawiść bliźniego, który nie tylko

w tej wojnie jest naszym wrogiem. Już dzieci w przedszkolach roją krwawe odwety, staruszkowie o gołębih sercach modlą się o doczekanie chwili, gdy będzie im dane oglądać znieawidzonego wroga trupem zalegającego ulice naszych miast. Być może, iż pośród setek tysięcy niewinnie rozstrzelanych męczenników Polski, pośród setek tysięcy torturowanych istnieje jakaś święta dusza, przebacząca oprawcom i błagająca Boga o nawrócenie samego Hitlera. Ale święci zawsze należeli do wyjątków i stanowili nie armię, lecz sztab armii wojującego Kościoła. Pospolity szeregowiec w Polsce wyłamuje się z dyscypliny chrześcijańskiej etyki i chyba sam Bóg mu to przebaczy. Największą krzywdą, jaką Hitler wyrządził narodowi polskiemu, jest nie zniszczenie kraju i eksterminacja ludności, lecz to, że zachwiał podstawami chrześcijańskiej miłości i zaszczerpił szatański jad nienawiści. Albowiem Zły jest nie tylko dlatego zły, że sam czyni zło, ale i przez to, że dobrych przywodzi do złego.

Wiemy, a jeśli nie wiemy, to przeczuwamy, że po powrocie do kraju zastaniemy zmiany w psychice polskiej, wobec której mamy poważne obowiązki. Spełnienie tych obowiązków powinno się rozpocząć już dziś, na emigracji. Odmieniona psychika polska zasypie nas, powracających, setkami pytań natury moralnej i zmarnujemy lata swobody, jeżeli nie potrafimy na nie odpowiedzieć. Nasz kraj, przez swe męczeństwo, zasłużył sobie na to, żebyśmy przywieźli mu z emigracji chociażby zarys jakiejś nowej moralności, która by uspokoiła sumienia, będąc w zgodzie z prawdą, a nie wywoływała zażenowania.

Blaski i nędze wygnania

Już to jest niemalą „nędzą” wygnania, że Państwo muszą słuchać tutaj mojej kiepskiej angielszczyzny, a ja muszę silić się na mówienie do Was w obcym języku.

Rozważania, którymi pozwalam sobie podzielić się z Państwem, stanowią wstęp do eseju, nad którym zacząłem pracować od zakończenia wojny. Esej ten, w moim zamierzeniu, winien być czymś w rodzaju zarysu fizjologii literatur emigracyjnych. Gdy mówię: esej, świadomie używam tego wyrazu w jego dosłownym znaczeniu. Przywykliśmy terminem tym określać każdą pracę z dziedziny krytyki literackiej, artystycznej czy pokrewnych dziedzin, a już sama nazwa tego stowarzyszenia, którego mam zaszczyt być członkiem i pod którego auspicjami tutaj przemawiam, mieści w sobie słowo: *essayist*. *P.E.N. – Playwrights, Essayists, Novelists*. W ścisłym wszakże znaczeniu esej nie jest niczym innym, tylko próbą, a eseista – pisarzem, który czegoś próbuje. Przeważnie próbuje znaleźć właściwy sens zjawisk, które bada. Wiemy, że od próby do ostatecznego wykonania jakiegoś zamysłu jest jeszcze daleko. I nawet dzieło Montaigne'a¹, będące czymś o wiele ważniejszym niż to, na co wskazuje tytuł, czy też dzieło Locke'a: *Essay Concerning Toleration* oraz *Essay Concerning Human Understanding*², nie zwalniają nas od obowiązku skromności, od obowiązku przywrócenia słowu: esej jego pierwotnego znaczenia.

A zatem w eseju, którego wstępem jest dzisiejsza pogadanka, próbuję ustalić pewne zasady czy też prawa rządzące życiem i śmiercią twórczości literackiej na emigracji. Nie jest to emigracja dobrowolna, lecz taka, do której pisarza zmusiła gorzka konieczność, katastrofa, klęska. A także potrzeba czynnego przeciwstawienia się klęsce oraz towarzysząca tej potrzebie nadzieja zwycięstwa. W każdym razie emigrację naszego typu wywołał stan

¹ Mowa tu o *Próbach* (fr. *Essais*) renesansowego pisarza i filozofa Montaigne'a, zbiorze esejów wydanym w 1580 roku we Francji. Uważa się, że *Próby* zapoczątkowały nowy gatunek literacki – esej. Na język polski przełożył je w 1917 roku Tadeusz Boy-Żeleński.

² Zob. J. Locke, *List o tolerancji: tekst łaciński i przekład polski*, tłum. L. Joachimowicz, Warszawa 1963 oraz tegoż, *Rozważania dotyczące rozumu ludzkiego*, tłum. I. Dąb-ska, Kęty 2001.

zagrożenia jeśli nie fizycznej osoby pisarza, to jego twórczości. I dlatego przyjęliśmy tak patetycznie brzmiące określenie: wygnanie. Słowo „wygnanie” nie zawsze kojarzy się z ponurym obrazem ludzi wypędzanych batem przez innych ludzi. Wśród pisarzy jest wielu wygnańców, których nikt nie wyganiał. Opuścili swój kraj dobrowolnie, nie chcąc poddać się warunkom, których by tam znieść nie umieli.

Użyłem też określenia: fizjologia literatury. To określenie nie jest moim wynalazkiem. Zawdzięczam je zmarłemu w roku 1936 krytykowi francuskiemu Albertowi Thibaudet, któremu poza tym zawdzięczam jeszcze wiele innych rzeczy. O ile mnie pamięć nie myli, Thibaudet pierwszy użył wyrazu: fizjologia w połączeniu z literaturą.

Nim wszakże zastanowimy się nad tym, jakie to specyficzne prawa rządzą twórczością literacką na wyganianiu i powodują, że ta twórczość jest inna niż piśmiennictwo rozwijające się w kraju, skąd pochodzą pisarze wygnańcy, pomyślmy nad głębszym znaczeniem samego słowa: wygnanie. Pod koniec ostatniej wojny, a więc wiosną roku 1945, Tomasz Mann siobchodził w Nowym Jorku 70. rocznicę urodzin. W czasie uroczystości ku swojej czci wygłosił on przemówienie, w którym między innymi objaśnił wspólne pochodzenie angielskiego słowa: *alien* i niemieckiego *Elend*. *Elend* znaczyło niegdyś to samo co: *Alien Land*. Dzisiaj znaczy ono już wyłącznie: niedola, nędza. A przecież być *an alien* nie zawsze jest rzeczą przykrą i nie każdy *alien* czuje się nędzarzem, ani w materialnym, ani w moralnym znaczeniu tego smutnego słowa. Fakt przebywania w obcym kraju dzięki regularnej wizie w paszporcie, albo też bez wizy (z czego w ogromnym zakresie korzystają obywatele Stanów Zjednoczonych we wszystkich niemal krajach Europy), nie tylko nie jest faktem godnym pożałowania, ale przeciwnie – często budzi zazdrość ludzi osiadłych u siebie w ojczyźnie, a niemogących sobie pozwolić na podróże po obcych krajach.

W pięknej antyfonie *Salve Regina* śpiewanej w kościołach katolickich znajdujemy dwukrotnie słowa: wygnanie i wygnaniec. Autor antyfony nazywa najpierw cały rodzaj ludzki: *exules, filii Hae-vae*, a potem ziemski nas żywot kwalifikuje jako *exilium*. Skądże to jesteście wygnani? Od wczesnego dzieciństwa prześladował mnie obraz anioła z ognistym mieczem. Była to reprodukcja

jakiegoś rokokowego miedziorytu czy stalorytu: już nie pamiętam. Oczywiście ten anioł wypędzał Adama i Ewę z Raju. Takie właśnie wygnanie miał na myśli pobożny autor antyfony *Salve Regina*. A zatem, przyjmując pogląd wyrażony w tej antyfonie, już pierwszym naszym rodzicom zawdzięczamy, że pobyt nasz na tej ziemi, bez względu na to, w którym jej miejscu przebywamy, i bez względu na to, czy źle, czy dobrze tam się czujemy, jest wygnaniem. Wygnaniem z takiej krainy, której osobiście nie znamy. Ta sama doktryna, która nakazuje wierzyć, że ziemski nasz byt jest wygnaniem, obdarza równocześnie nadzieją, obiecując, że będzie nam dane powrócić tam, skąd wypędzono naszych pierwszych rodziców. Oczywiście, musimy przedtem tu, na ziemi spełnić pewne trudne, a nieodzowne warunki.

W obecnych i nie tylko obecnych czasach ludzie przeważnie nie chcą uznać doczesnego życia za wygnanie. Ani z Raju, ani skądkolwiek, chociaż to ziemskie życie nie dla wszystkich jest pełne uroku i słodczy. Przeciwnie: właśnie ci, którym doczesne życie nie szczędzi zawodów i cierpień, ci, którzy powinni tego życia nienawidzić, są do niego najmocniej przywiązani. Wielu też ludzi nie czerpie otuchy z świadomości, że kiedyś, po tym wygnaniu, *post hoc exilium*, będą mogli przebywać w swojej prawdziwej ojczyźnie, i to nie czasowo, ale wiecznie. Od takich ludzi trudno wymagać, aby tęsknili do Raju, którego nie znają. Jedynie pobyt na ziemi wydaje się im rzeczywisty; tutaj i tylko tutaj jest ich dom, wszystko jedno jaki: wspaniały pałac czy ohydna rudera. Tylko na ziemi upływa im życie, wszystko jedno jakie: dobre czy złe. I nieraz to życie poświęcają, aby odrestaurować swój walący się dom. Jeśli już nie dla siebie, to dla swoich potomków. I nawet gdy to się nie udaje, gdy całe ich istnienie jest nieprzerwanym pasmem rozczarowań i klęsk, nie mają zamiaru wyrzekać się swego ziemskiego obywatelstwa. Wcale nie ubiegają się o pierwsze papiery obywatela wieczności. Tacy ludzie dobrze wiedzą, a jeśli nie wiedzą, to czują, że ich pobyt na ziemi nie jest trwały. Mimo to zachowują się tak, jakby miał wiecznie trwać, jakby celem życia było samo życie. Świadomie czy nieświadomie, ludzie ci są egzystencjalistami najrozmaitszych, *nota bene* niereligijnych odcieni. Ale przyjmijmy, że ci ludzie się mylą, natomiast nie myli się autor antyfony *Salve Regina* oraz liczni autorowie innych tekstów

wierszem i prozą, wyrażających pokrewny pogląd na świat i na zaświat. Jeżeli prawdą jest, że całe nasze życie jest wygnaniem, to my, członkowie Międzynarodowego Pen Clubu na Wygnaniu, jesteśmy podwójnymi wygnańcami. Kto wie, czy w tej świadomości nie tkwi załączek „blasków” naszego położenia.

Nieraz nam mówiono, że każdy naprawdę oryginalny artysta jest cudzoziemcem we własnej ojczyźnie. Już sam fakt jego odrębności i przekornego niesolidaryzowania się z *commonsense*’em, fakt, że wszystko, co ów artysta ze sobą przynosi, jest niezwykle, niekiedy dziwaczne i przeważnie obce nawet najbliższemu otoczeniu, czyni go wygnańcem. Wygnańcem, choćby od urodzenia do śmierci mieszkał w tym samym własnym i luksusowym domu. Nie będziemy tu podawali długiej listy nazwisk bohaterskich czy tragicznych samotników, którzy dopiero po zejściu ze świata stali się temu światu bliscy i mili, i dopiero *post hoc exilium* przestali być wygnańcami we własnym społeczeństwie. Prawie każdy naród szczyli się swymi *poètes maudits*³, swoim Edgarem Allanem Poe, Baudelaire’em, Rimbaudem, Hart Crane’em. Każdy naród ma swego van Gogha i Cézanne’a. Skoro więc każdy człowiek, póki żyje, jest wygnańcem, a co drugi artysta, poeta czy pisarz jest wygnańcem, dlatego że na swój własny sposób widzi i wyraża świat, w takim razie my, członkowie Międzynarodowego Pen Clubu na Wygnaniu, oddział amerykański, po trzykroć jesteśmy wygnańcami. W moim skromnym mniemaniu jest to nie tylko nieszczęście, może to również być przywilej. Nikt chyba nie zaprzeczy, że na wiele spraw ziemskiego bytu jedynie artyści, a więc wygnańcy, umieją rzucić właściwe światło, jedynie poeci umieją spojrzeć na *condition humaine* z odpowiedniego dystansu. Znakomitą perspektywę funduje im utrata ojczyzny. Powiadam: ojczyzny, żeby nie nadużywać tytułu arcydzieła Milтона⁴.

Ale zejdźmy na ziemię, gdzie emigracja polityczna jest przede wszystkim nieszczęściem. Kto z tego nieszczęścia stwarza sobie religię, nie będzie zbawiony. I daleki od chwały jest ten, kto nie

³ Fr. poeci wyklęci.

⁴ Wittlin nawiązuje tutaj do tytułu poematu epickiego Johna Milтона *Raj utracony*.

potrafi tego nieszczęścia przezwyciężyć, lecz uważa je za normalną formę bytu, poza którą jest już tylko niebyt.

Wybitny pisarz E.M. Cioran, emigrant rumuński, żyjący w Paryżu i piszący po francusku, autor fascynujących książek: *Précis de décomposition* i *Syllogisme de l'amertume*⁵, laureat Prix Rivarol, nagrody dla cudzoziemców piszących w języku francuskim, poświęcił naszemu zagadnieniu niezwykle bystre rozważania. Cioran zastanawia się między innymi nad dolą poety na wygnaniu i obawia się, że ta dola może doprowadzić do tego, iż poeta zasmakuje w wygnaniu. „Nikt nie potrafi – powiada Cioran – zakonserwować młodości swoich smutków. Smutek zużywa się. Tak też jest z tęsknotą do kraju, z wszelką nostalgią. Natchnienie wysycha w poecie z powodu braku różnorodności w doznaniach i braku autentyczności niepokoju”⁶. Oczywiście wygnanie, w czysto świeckim i brutalnym znaczeniu tego słowa, nie jest wyłącznie sprawą pisarza, który, jak wiemy, jest już i tak wygnańcem z przyczyny swego powołania. Nie tylko pisarze odczuwają blaski i nędze *exilium*.

W tragedii Szekspira pt. *Król Ryszard II* władca ten skazuje księcia Norfolkku na dożywotnie wygnanie. O ile nam wiadomo, Duke of Norfolk nie był literatem, a jednak po usłyszeniu królewskiego wyroku wybuchnął on takim lamentem:

Twardy to wyrok, królu miłościwy,
I niespodziany z twoich ust królewskich.
Jam na nagrodę lepszą niżli takie
Straszne odcięcie zasłużył u ciebie.
Teraz zapomnieć muszę mej rodzinnej
Angielskiej mowy, której się uczyłem
Przez lat czterdzieści. Na cóż mi się teraz
Zda język więcej niżli gęśl lub arfa
Bez strun lub w skrzynce czarowny instrument,
Albo wyjęty, lecz oddany w rękę,
Która nie umie zgodzić jego tonów?
Tyś mi uwięził język w ust mych głębi
Za tą podwójną warg i zębów kratą,
A mdłą, nieczułą, jałową ciemnotą
Stawił jak stróża, by mnie pilnowała.

⁵ Zob. E.M. Cioran, *Zarys rozkładu*, Warszawa 2015 oraz tegoż, *Sylogizmy goryczy*, Warszawa 2009.

⁶ E.M. Cioran, *Dogodności i niedogodności wygnania*, „Kultura” 1952, nr 6, s. 5; ten i inne cytaty z „Kultury” podane przez Wittlina niedokładnie.

Jam już za stary, by się łaścić mamce,
Zanadtom w lata zaszedł, by być uczniem.
Śmierć więc bezmowną twój wyrok zamyka,
Bo dźwięk rodzinny wydziera z języka.

(Przekład Leona Ulricha. Akt I, scena III)

Skoro więc księżę Norfolku tak bardzo ubolewa nad grożącą mu na wygnaniu utratą ojczystego języka, jakże bolesna jest ona dla pisarza! Nawet pisarze przebywający na wygnaniu w krajach, gdzie potocznym językiem jest ich własny język, nie czują się tam całkiem w domu. Na przykład pisarze z Hiszpanii w krajach Ameryki Łacińskiej. Niestety, nie żyjemy już w świecie, w którym greka lub łacina były wspólnym narzędziem poezji i prozy wśród oświeconej elity różnych narodów, i wielkich, i małych. Żyjemy w świecie, w którym nawet język islandzki stawia współczesnemu pisarzowi w Islandii te same wymagania i wywołuje u jego współobywateli ten sam rezonans, co w Anglii i Stanach Zjednoczonych język angielski. A przecież językiem islandzkim posługuje się niewiele ponad sto tysięcy ludzi.

Wykorzenienie pisarza z ziemi, na której dłużej czy krócej żył w symbiozie z językiem tej ziemi, może być okrutnym gwałtem. Odcięcie od rodzinnego pnia odczuwają boleśnie nawet pisarze przebywający poza swym krajem czasowo i dobrowolnie. Na przykład Dostojewski, który pisał z Vevey w Szwajcarii do Mikołaja Mikołajewicza Strachowa:

À propos mojej pracy tutaj, rzeczywiście, będę pozostawał w tyle, jeśli idzie o znajomość tego, co się u nas dzieje, chociaż wiem o tym lepiej niż ty, bo każdego dnia czytam trzy dzienniki rosyjskie od deski do deski i otrzymuję dwa czasopisma. Odzwyczaję się od żywego prądu istnienia, nie tylko od idei istnienia, ale od samej esencji. A jak to oddziałuje na pracę literacką!

Dostojewski nie jest typowym przykładem pisarza, który źle znosi wykorzenienie. Powyżej przytoczone słowa pisał on nie jako wygnaniec, lecz jako dobrowolny podróżnik po nie ulubianej Europie Zachodniej. Spędził w niej cztery lata. A jednak niewiele z tego Zachodu przesączyło się do jego twórczości. Jakby w końskich okularach chodził Dostojewski po ulicach Berlina, Drezna, Florencji. Niemców nie znosił, ale też nie pragnął poznać bliżej ich życia, cywilizacji i kultury. O kulturze zachodniej Europy miał urobione, *nota*

bene niepochlebne, mniemanie, jeszcze zanim udał się na Zachód. W Dreźnie, owszem, odwiedzał muzea i galerie. Ale od muzeów bardziej pociągały go niemieckie kasyna gry. Niby to dla poratowania zdrowia pojechał autor *Gracza* do Wiesbaden i do szwajcarskiej miejscowości Saxon-les-Bains, gdzie były nie tylko wody lecznicze, ale i słynne kasyno. Najważniejszym „echem” pobytu w Europie Zachodniej jest w wielkich powieściach Dostojewskiego, obok ruletki i sylwetek graczy, gilotyna w Lyonie i ostatnie chwile skazańca. Opowiada o tym książkę Myszkin w *Idiocie*. Oczywiście, bardziej interesowało Dostojewskiego to, co czuje człowiek na kilka minut przed odcięciem głowy, niż ludzie otaczający gilotynę, niż miasto Lyon i w ogóle Francja. Cztery lata pobytu na Zachodzie spłynęły po Dostojewskim beletryście jak mdła i nieczysta woda. Być może jednak, że bez tych czterech lat nie mielibyśmy Iwana Karamazowa ani *Opowieści o Wielkim Inkwizytorze*, mimo iż niechęć do Zachodu i do katolicyzmu przywiózł Dostojewski z Rosji. Jeśli więc jego wyobraźnia przez te cztery lata życia poza Rosją czerpała niejakie pożywienie z tego, co działo się dookoła, były to dla tej wyobraźni, jeśli tak rzec wolno, raczej witaminy negatywne. Bo i na Zachodzie żył Dostojewski Rosją i po rosyjsku sondował głębiny rosyjskich dusz. To zaś, że scena zgilotynowania zbrodniarza, którą, podobnie jak bohater *Idioty*, Myszkin, oglądał Dostojewski w Bazylei, na ilustracji w jakimś piśmie, uczyniła na nim tak wstrząsające wrażenie, nie jest wyłącznie pamiątką z podróży po Europie Zachodniej. Autor *Idioty* sam stał niegdyś na szafocie jako skazaniec, co prawda nie w Lyonie, lecz w Rosji, a miano go nie zgilotynować, tylko rozstrzelać. Przywiózł więc Dostojewski z Zachodu do swojej tematyki to, co tej tematyce odpowiadało od dawna. Nie groziło mu wyjałowienie, którego tak nerwowo obawiał się w Vevey, pisząc ów list do Strachowa. Wykorzenienie czy wyjałowienie grozi raczej takiemu artyście, który łatwo i chętnie ulega fascynacji obcego świata, ale nie potrafi go w sobie zasymilować tak, aby obczyzna stała się dlań pełnowartościowym tworzywem. Niektórzy artyści nawet umyślnie starają się o to, aby ich dzieła miały jak najmniej składników życia ich ojczyzny. Uganiają się po świecie w poszukiwaniu egzotyki, obcego kolorytu i obcej *condtion humaine*. Nie mówimy tu o tych, co zawodowo uprawiają pisarstwo podróżnicze. Spójrzmy na przykład na

twórczość Hemingwaya. Ludzie w najważniejszych jego książkach „operują” przeważnie na nieamerykańskich terenach, o ile w ogóle są Amerykanami. Widzimy ich we Włoszech, Hiszpanii, Francji, w Afryce, na Kubie. Sam Hemingway chyba większą część swego arcybujnego życia spędził poza Stanami Zjednoczonymi. Od wielu lat ma on swoją stałą siedzibę na Kubie, skąd wyrusza w różne części świata w poszukiwaniu niezwykłych wrażeń. Niewątpliwie uważa on za pożyteczne dla swej twórczości przebywanie poza krajem rodzinnym, z którego, o ile nam wiadomo, nikt nigdy go nie wyganiał⁷.

Nasz Witold Gombrowicz od dwudziestu lat przebywa w Argentynie, ale nie przestaje tam myśleć na swój, nader swoisty, sposób o Polsce i Polakach. W ciekawej polemice ze wspomnianym wyżej emigrantem rumuńskim Cioranem słusznie powiada Gombrowicz, że „jest rzeczą obojętną, w jakim miejscu świata męczą się pisarze”⁸. Albowiem: „każdy wybitny pisarz wskutek wybitności swojej był cudzoziemcem nawet u siebie w domu”⁹. Gorzki smak tej prawdy znają wszyscy prawdziwi twórcy nowych wartości w sztuce, choćby byli członkami Akademii lub laureatami Nobla.

W języku hiszpańskim istnieje na określenie wygnańca wyraz: *destierro*, człowiek pozbawiony ziemi. Ja bym dodał jeszcze inne określenie: *destiempo*, człowiek pozbawiony czasu. To znaczy: tego czasu, który upływa obecnie w jego własnym kraju. Czas na wygnaniu jest zupełnie inny. Jest to czas nienormalny, prawie że obłąkany. Wygnaniec bowiem żyje w dwóch różnych czasach jednocześnie: w terażniejszości i w przeszłości. Życie przeszłością bywa niekiedy intensywniejsze od życia terażniejszością i tyranizuje całą jego psychikę. Ma to swoje dobre i złe strony. Zaczniemy od złych. Wygnańcowi żyjącemu przeszłością zagraża mnóstwo niebezpieczeństw, na przykład niebezpieczeństwo wzdychania do rzeczy błahych, których istotny lub rzekomy czar przeminął raz na zawsze. Grozi mu niebezpieczeństwo wzdychania nawet do martwych rekwizytów, jakimi posługiwały się w swych dramatach lub farsach dawniejsze, dziś już nieżywe światy. W normalnym,

⁷ Ostatnio osiedlił się w górach stanu Idaho [przyp. J. Wittlina].

⁸ Komentarz Gombrowicza do artykułu E.M. Ciorana *Dogodności i niedogodności wygnania*, „Kultura” 1952, nr 6, s. 7.

⁹ Tamże, s. 6.

przedwygnaćczym istnieniu te rekwizyty w ogóle nie zasługiwały na uwagę. Dam przykład z własnego doświadczenia. W roku 1950 w Nowym Jorku często zatrzymywałem się przed oknem wystawowym pewnego antykwariusza na Lexington Avenue. Były tam stare zbroje, stara broń, hełmy i czaka. Szczególnie przykuwał mnie widok czaka oficera sztabowego IV Pułku Austriacko-Węgierskich Ułanów. Pułk ten przed pierwszą wojną światową stacjonował we Lwowie. Proszę jednak nie myśleć, że ja służyłem w tym pułku (byłem tylko zwykłym piechurzem). Rozmarzenie na widok takiego czaka byłoby w normalnej egzystencji groźnym infantylizmem. Ale w roku 1950 w Nowym Jorku, po drugiej wojnie światowej, a w czasie wojny koreańskiej – przyznaję to bez fałszywego wstydu – ułańskie czako budziło nostalgię. Za czym? Za austriacko-węgierską kawalerią czy w ogóle za wojskiem? Nic podobnego. Budziło nostalgię za dawnością, za światem, który przestał istnieć w roku 1914, a który może był lepszy od obecnego. A może tylko w naszym urojeniu był lepszy. To czako budziło tęsknotę do dawnej Europy, do barwności ówczesnego życia, do podejrzanego zresztą uczucia bezpieczeństwa i, *last but not least*, do naszej własnej młodości. Zapatrzenie się w nieużyteczny dziś rekwizyt – oto jedno z niebezpieczeństw czyhających na pisarza wygnańca. Każdemu z nas grozi takie czy inne czako. A wraz z tym czakiem grozi fałszywa ocena przebrzmiałych wypadków i zapomnianych ludzi. Fałszywa, bo okryta mgiełką rozrzewnienia.

Pisarzowi na wygnaniu grozi też zanik zdolności do selekcji wspomnień jako materiału nadającego się do literackiego opracowania. Życie wygnańca, jak życie każdego człowieka, rwie naprzód, ale wygnaniec niejako zawodowo cofa się wstecz. Stąd nieraz rodzą się poważne, a nawet tragiczne koleje życiowe i literackie. Zdarza się, że emigrant żyje w zupełniej próżni, którą jego wyobraźnia zaludnia wyłącznie zjawami z umarłego świata. Nie każdy pisarz na wygnaniu jest Proustem, Joyce'em czy Mickiewiczem. Ci wielcy pisarze odważnie zapuszczali się *à la recherche du temps perdu*¹⁰, ale nie po to, aby przeszłość gloryfikować, jeno po to, aby ją bezlitośnie demaskować, albo też, jak Mickiewicz, pobłażliwie się nią bawić.

¹⁰ Fr. w poszukiwaniu straconego czasu – Wittlin nawiązuje tutaj do *opus magnum* Marcela Prousta, siedmiotomowego cyklu powieściowego o tym samym tytule.

Nazwijmy więc ten odcinek badań fizjologii literatur na emigracji: „dobrodziejstwem i przekleństwem retrospekcji”. Dobrodziejstwo jest równie wielkie jak przekleństwo. Profesor Harry Levin w swej książce o Jamesie Joyce słusznie pisze: „Pierwszą zasadą artystycznej gospodarki było odosobnienie. Joyce odwrócił się od swej narodowości i religii, ale odnalazł swe środki wyrazu i język, nawróciwszy się ku narodowości i religii”.

Joyce był dobrowolnym emigrantem, tak zwanym *expatriate*, i kto wie, czy nie właśnie dzięki temu, że spędził większą część życia w Paryżu, Trieście i Zurychu, a nie w swoim rodzinnym Dublinie, stworzył własny, autentyczny styl i język. I stworzył nowy Dublin, całkowicie zbudowany z elementów jego poetyckiej wizji.

Jednakże częściej się zdarza, że pisarz odcięty od swego narodu i przebywający przez dłuższy czas poza ojczyzną ponosi z tej przyczyny dotkliwe straty. Na przykład Turgieniew, uważany za najbardziej zżytego z Francją spośród wielkich pisarzy rosyjskich XIX wieku. Dwie jego powieści: *Dym* i *Ziemia dziewicza*, w których usiłował odtworzyć życie w Rosji toczące się w czasie jego długiego pobytu w Paryżu, padły ofiarą wykorzenia autora.

Pisarz wygnaniec żyje w społeczności zwężonej, w której niełatwo jest tworzyć, a tym bardziej ogłaszać dzieła rewoltujące. Taka zwężona społeczność najchętniej daje posłuch temu, co już od dawna zna. Od artysty wymaga przeważnie potwierdzenia własnych smaków i przyzwyczajzeń. Toteż ciężko jest pisarzowi na wygnaniu narzucić emigracji swój smak i swoją nowość. Biada mu, jeśli ulegnie. Bo jeśli w normalnym społeczeństwie każdemu artyście grozi największy jego wróg, którym jest chęć podobania się, niebezpieczeństwo od strony tego wroga jest stokroć większe w społeczności zwężonej, gettowej, skazanej na własne siły i zasoby. Na emigracji prawie z reguły następuje pomieszanie pojęć i kryteriów, powstają nieprawdopodobne hierarchie, nie ma bowiem istotnych mierników prawdziwej wartości pracy pisarza. O tej wartości rozstrzygają przeważnie względy uczuciowe, przebrzmiałe mity i przebrzmiałe prawidła estetyki narodowej, jakimi kierowały się dawne emigracje w ocenie swoich „wieszczów”. Ta konfuzja szczególnie dotkliwie dała się we znaki polskiej emigracji w czasie ostatniej wojny. O tym będzie mowa w dalszych częściach „zarysu fizjologii literatur emigracyjnych”.

W miarę jak wygnanie się przeciąga, a piśmiennictwo oddala się od życia własnego narodu, nawet stosunkowo młodym pisarzom trudno jest uchronić się od „miłego” gawędziarstwa. Oderwanie się od problematyki i tematyki swego czasu może być jednak zbawienne nawet dla pisarza przebywającego we własnym, a wolnym kraju. Każdy bowiem, kto zbyt namiętnie tkwi w swoim czasie, może się stać jego niewolnikiem. Biada pisarzowi uwięzionemu dożywotnio w swoich dniach i nocach! Tylko *destiempo* jest naprawdę wolny i czas swój osądza w niezawisłości od niego. Każdy prawie pisarz, nawet taki, którego ambicją jest mniej lub więcej wierne „odbicie” swojej epoki, dąży do przeskoczenia tej epoki. Wyrażając się pretenjonalnie: pragnie on produkować tak zwane ponadczasowe wartości. O ile takie wartości naprawdę pod słońcem istnieją. Pisarz *destierro-destiempo* od tego winien rozpocząć właściwą karierę, choćby przy tym skakaniu złamał kark.

Sprawa języka. Jeżeli przyjmiemy, że język jakiegoś narodu ulega zmianom zależnym od życia tego narodu, to na wygnaniu rozporządzany zaledwie takimi elementami języka, które:

- a) przywieźliśmy z własnego kraju,
- b) które zostały stworzone na obczyźnie przez dawniejszych emigrantów,
- c) które sami tworzymy na wygnaniu.

A zatem nasz język nie zawiera już elementów powstałych w kraju w czasie naszej nieobecności, mimo iż pilnie śledzimy wszystko, co tam się pisze. Żywą mowę naszego kraju poznajemy z drugiej ręki. Przeważnie z lektury.

Lektura. W normalnych warunkach lektura w języku ojczystym jest dodatkiem do toczącego się wokół nas życia. Jest dodatkiem do żywej mowy potocznej, jest pożywką tak zwanych władz umysłowych, pobudzającą wrażliwość i wyobraźnię. Na wygnaniu lektura w języku ojczystym staje się często jedynym źródłem tak zwanych wzruszeń patriotycznych.

Można też na emigracji zaobserwować ciekawe zjawisko, które nazwałbym powrotem słów. Słowa zapomniane, nieużywane już w obecnym naszym życiu, wracają do świadomości w postaci wspomnień. Właściwie pozostała z nich tylko dźwiękowa zawartość; sens użytkowy dawno już z nich wyparował. Takie słowo jest

już nie głosem życia, lecz jego echem. Jest pustą muszlą, w której czasem słycać szum życia. Przyłożmy ją do ucha: owszem – gra. Niekiedy nawet piękniej niż dawniej, gdy było wypełnione żyjącym organizmem. Słowo-wspomnienie znaczy też często co innego niż ongi, w kraju rodzinnym. I tak wyobraźnię wygnańca wypełniają wspomnienia nie tylko opuszczonych miejsc, pozostawionych tam ludzi, wspomnienia często błahych wypadków, które z oddalenia nabrały ważności. Wyobraźnię tę wypełniają również wspomnienia słów słyszanych jedynie przed wygnaniem. Takie słowa nawiedzają pisarza jak cienie. Po pewnym czasie cienie te zaczynają żyć własnym, cieniowym życiem, stając się mitami. Każdy pisarz na wygnaniu posiada cały zapas mitów słownych. Zaczyna też u pisarza, a szczególnie u poety emigracyjnego, działać osobliwa magia słów, które w życiu codziennym nic lub prawie nic nie znaczą. I znów proszę pomyśleć o Joysie, który z dala od Anglii budował całe kosmosy ze słów przez siebie wynalezionych lub przez siebie przetworzonych.

Wspomniany już Cioran zastanawia się nad losem pisarza, który pracuje na wygnaniu w obcym języku. Dochodzi on do takiego wniosku: „Kto porzuca swój język dla innego, zmienia osobowość, dokonywa heroicznej zdrady, zrywając ze swoją przeszłością i do pewnego stopnia ze samym sobą”¹¹. Widzi też Cioran dwie formy wyzwolenia dla poety na wygnaniu. Formy te są, jego zdaniem, radykalnie sprzeczne. To – humor i wiara. „Zależnie od temperamentu – powiada Cioran – ulega poeta pobożności lub sarkazmowi”¹². Nie rozumiem, dlaczego nie można pogodzić humoru z wiarą. Léon Bloy był bardzo wierzącym człowiekiem, a jednak w jego pismach nie brak gorzkiego sarkazmu. Nie widzę też przyczyny, dla której humor mamy pozostawić wyłącznie diabłu. Jedną z fałszywych legend rozpowszechnionych u schyłku XIX wieku było przekonanie, że niebo jest beznadziejnie nudne, piekło zaś – jakimś niezwykle interesującym klubem „intelektualistów”, czymś w rodzaju super Pen Clubu. Do rozpowszechnienia tej legendy przyczynił się walenie G.B. Shaw świetną sztuką *Człowiek i nadczłowiek*. Dla mnie sama nuda jest piekłem.

¹¹ E.M. Cioran, *Dogodności i niedogodności wygnania*, „Kultura” 1952, nr 6, s. 3.

¹² Tamże, s. 6.

Nie mogę też podzielić poglądu Ciorana, że wygnanie jest szkołą szaleństwa. Owszem, wszyscy na emigracji jesteśmy z lekka pomyleni, ale niejeden z nas właśnie na obczyźnie zaczął myśleć rozsądnie, a co się tyczy pisarzy, niejeden na wygnaniu odnalazł właściwą swoją drogę i stworzył wybitne dzieła, których nie mógłby napisać u siebie w domu. Dość przypomnieć bogaty dorobek emigrantów niemieckich z lat 1933–1945. Nie zawsze wygnanie jest szkołą szaleństwa. Może też być szkołą jasnego i przenikliwego patrzenia na świat. U siebie w domu, w zgiełku życia publicznego, pisarz napotyka nieprzezwyciężone przeszkody w bezstronnej ocenie tych zjawisk. Czasem bywa współtwórcą tych zjawisk, więc trudno mu być bezstronnym. Na obczyźnie dopiero widzi wyraźnie ich kształt i rozpoznaje ich wartość. Tak niekiedy człowiek dopiero w więzieniu czuje się wolny, bo odcięty od wszystkiego, co go na wolności pętało. Jak Guillaume Apollinaire w samotnej celi paryskiego „Santé”. Wyraził to w pięknym wierszu *A la Santé*:

*Nous sommes seuls dans ma cellule
Belle clarté raison*¹³

(Pewien niefortunny tłumacz polski przełożył tytuł tego wiersza: *Na zdrowie!*).

Nawet Sartre, gdy szukał *Dróg wolności*, kazał w drugim tomie swego cyklu powieściowego, w *Le Sursis*¹⁴, jednemu z bohaterów, Mathieu Delarue, wołać: „*La liberté c’est l’exile et je suis condamné à être libre*”. Wszyscy na wygnaniu możemy powtórzyć te słowa, a pisarz emigracyjny, jeśli dobrowolnie nie odda się w niewolę emigracyjnych dekalogów, może z osamotnienia uczynić bazę swej twórczości.

Samotność ostudza pasję, ale też zaostrza spostrzegawczość. Samotność jest cudowną glebą, na której rodzi się zdolność bezczasowego widzenia doczesności.

Ale nie każdy twórca wyrzeka się sławy i nie każdy potrafi zwalczać swą próżność. Winien on jednak uświadomić sobie, że gwiazdą

¹³ Wittlin niedokładnie cytuje wiersz, drugi wers powinien brzmieć: *Belle clarté Chère raison*. W tłumaczeniu Artura Międzyrzeckiego – pod tytułem *W więzieniu Santé* – jest: „Znów sami w celi tej jesteśmy / Jasności piękna Myśli cenna”. Wiersz pochodzi z tomu *Alkohole* z 1913 roku.

¹⁴ J.-P. Sartre, *Zwłoka*, tłum. J. Rogoziński, Warszawa 1958.

można być tylko na autentycznym firmamencie, a nie na sztucznym. A wygnanie pozwala mi błyszczeć tylko na tle urojonego nieba lub raczej na tle dekoracji przedstawiającej niebo.

„How do you spell your name?” Jak pan sylabizuje swoje nazwisko? Takie pytanie wciąż stawiają cudzoziemcowi na obczyźnie. Pisarzowi też. A pisarz na ogół lubi swoje nazwisko, ceni je i uważa, że to nazwisko przynajmniej powinno być znane, jeśli nie jest lubiane lub cenione. Pytanie: „How do you spell your name?” nie sprawia mu przyjemności. Niektórzy uważają je nawet za obelgę. Co prawda znamy pisarzy, których nazwiska zabłyśły dopiero na emigracji i dzięki emigracji. Samemu faktowi wygnania zawdzięczają oni sławę. Z reguły jednak większość pisarzy na wygnaniu ma „status” anonimów i odczuwa to jako „nędzę”. Nie będziemy analizowali tego faktu. Raczej zwrócimy uwagę na dobre strony bezimienności pisarza. Wygnanie i przebywanie tam, gdzie jest on mało znany albo całkiem nieznan, może być dlań doskonałą okazją do porównania własnego sądu o sobie z tym, co pisarz ten naprawę reprezentuje. Może on przede wszystkim porównać swoje dzieła z dziełami wybitnych tubylców. Taka konfrontacja niejednokrotnie prowadzi do zabójczej megalomanii lub wytwarza równie zabójczy kompleks niższości. Na ogół jednak sprzyja właściwemu wartościowaniu. Pomyślmy teraz o roli tych wielkich artystów, którzy zdobili mozaikami bizantyjskie bazyliki, budowali romańskie i gotyckie katedry, a w tych katedrach stawiali witraże i figury świętych Pańskich i męczenników. Nie tylko my, dzisiaj, nie znamy nazwisk tych prawdziwie natchnionych artystów, ale i oni sami nie liczyli na to, że potomność je odkryje. Pracowali dla samego piękna swej pracy, dla samej – proszę mi wybaczyć – świętości pracy.

Anonimowość dać może twórcy duże korzyści i ma nawet pewien urok. Jakże często pisarze i artyści dopasowują swe dzieła, a także idee do imienia, które zdobyli w świecie dzięki poprzednim pracom. Taka zależność bardzo źle wpływa na ich nowe dzieła. Artysta staje się niewolnikiem własnego imienia. Pracując natomiast „na zasadzie” anonimów, może nie oglądać się wstecz, na to, czego już dokonał, lecz z każdym nowym dziełem może rozpoczynać nowe życie, jak gdyby w stanie dziewictwa. „To forget its creators is one of the functions of the creation” – pisał największy może dziś pis-

arz angielski E.M. Forster w eseju pt. *Anonimity*. Jedną z funkcji tworzenia jest to, że twórca zapomina o sobie. Albowiem: „The poet wrote the poem, no doubt, but he forgot himself while he wrote it and we forget him while we read”. (Niewątpliwie poeta napisał poemat, ale zapomniał o sobie w czasie pisania, tak jak my, czytając poemat, zapominamy o poecie). „It was not the speaker who was in the beginning, but the Word”. (Na początku był nie mówca, lecz było Słowo).

Mówiąc o korzyściach o uroku twórczości bezimiennej, nikomu z kolegów i koleżanek piszących na emigracji nie zalecam ogłaszania książek anonimowo. Broń Boże! Ale wszystkim kolegom i koleżankom, no i sobie także życzę, by dzieła nasze miały tak szeroki rozgłos jak *Loreley*¹⁵, choć nazwisko twórcy tego utworu lirycznego przez dwanaście lat było tabu w jego własnej ojczyźnie.

Ale z drugiej strony to, iż twórczość na wygnaniu nie ma rozległego pola radiacji i musi rezygnować z aury, która niegdyś otaczała nasze nazwiska, przeważnie tę twórczość hamuje. Trudno czuć się użytecznym tam, gdzie nas nie potrzebują. Twórcy katedr i witraży wiedzieli, że w tych katedrach będą się modliły tłumy. Nawet szewcem być trudno tam, gdzie ludzie wolą chodzić boso. Szevec, który szyje buty dla imaginacyjnych nóg, może z czasem stracić ochotę do szewstwa i wziąć się do innej roboty. Każdy z piszących emigrantów znalazł się może w podobnym położeniu. Ale nie każdy porzucił swoje szewstwo. Zwyciężyła w nim jakaś iluzja czy nadzieja. Pisarz tworzący bez natychmiastowego rezonansu tworzy na zapas, spodziewając się, że dzieła jego będą rozchwytywane w przyszłości. Tak było ze Stendhalem, który w pewnej mierze był również wygnańcem w Civitavecchia. Świadomie ofiarował swą *Pustelnię parmeńską* – „to the happy few”, nielicznym szczęśliwcom. Dokładnie też przepowiedział lata, kiedy go odkryje szersza publiczność, i lata, kiedy będzie należycie zrozumiany i oceniony. Niejeden powieściopisarz bez rezonansu, czy to we własnym kraju, czy na wygnaniu, żyje podobną nadzieją. Ufa, że stanie się nowym Stendhalem. Taki maksymalny stosunek do własnej nadziei nakłada również maksymalne obowiązki. Kto pragnie, żeby go czytano

¹⁵ Autorem tego wiersza jest niemiecki poeta żydowskiego pochodzenia Heinrich Heine.

za lat pięćdziesiąt czy sto, musi pisać inaczej niż autor folgujący chwilowym upodobaniom.

Nie wiemy, jak będzie wyglądał świat czytelników za lat pięćdziesiąt czy sto. Liczymy wszakże na to, że i wówczas będą jeszcze ludzie wrażliwi na pewne bodźce moralne, estetyczne, a może i religijne. Tak jak my dzisiaj, mimo błyskawicznie postępującej barbaryzacji, nie straciliśmy jeszcze wrażliwości na tak zwane ogólnoludzkie sprawy i pozczasowe, czy też ponadczasowe wartości, przekazane nam w literaturach starożytnych czy pismach z XV, XVI lub XVII wieku. W XXII stuleciu może już ludzie nie będą grali w football. Tragedia footballisty będzie wówczas atrakcją dla czytelnika tylko wtedy, gdy w niej znajdzie „czysto ludzkie” elementy, niezależne od samej gry w piłkę nożną. Żaden generał nie zdobywa dziś oblężonych miast przy pomocy drewnianych koni, w których brzuchu siedzą uzbrojeni żołnierze. A jednak nawet w erze atomowo-wodorowej interesują nas dobrze opowiedziane dzieje tamtego oblężenia. Oto jest wdzięczna pokusa dla pisarza na emigracji. Oto blaski wygnania. Możemy szyc buty dla nóg, które za sto lat dopiero będą deptały ziemię. *Nota bene* jeśli będzie jeszcze co deptać.

Ale czas kończyć. Wróćmy do tego, od czegośmy zaczęli te luźne dywagacje. Jeżeli, jak chce autor *Salve Regina*, życie nasze na ziemi jest wygnaniem, musieliśmy na to wygnanie przynieść z sobą jakieś mgliste pojęcia o Raju utraconym dzięki naszym grzesznym rodzicom. Wśród grozy życia i piekła na ziemi raz po raz odzywa się w nas nagle tęsknota do czegoś, co nie jest piekłem ani grozą, ani wygnaniem. Kto wie, czy misją pisarzy i artystów nie jest wychwytywanie i postaciowanie tych właśnie tęsknot i przeczuć.

Sądzę, że pracując na wygnaniu, mniej lub bardziej anonimowo, możemy zbliżyć się do tych artystów, którzy w średniowieczu przygotowywali duszę człowieka do innego, już nie wygnańczego bytu. Do takiego, gdzie nikt nikogo nie pyta: „How do you spell your name?”.



Nota bibliograficzna

Na podstawie opracowania Joanny Krasnodębskiej [w:] J. Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Kraków 2000 oraz przypisów do poszczególnych tekstów:

Barbarzyństwo, zarys odczytu wygłoszonego w Krakowie i Łodzi w maju 1924 r.; pierwodruk: J. Wittlin, *Wojna, pokój i dusza poety. Szkice literackie i przemówienia*, Zamość 1925, s. 55–70.

Ze wspomnień byłego pacyfisty, pierwodruk: „Wiadomości Literackie” 1929, nr 1 (314), s. 1–2.

O potrzebie nowej moralności, pierwodruk: „Tygodniowy Serwis Literacki Koła Pisarzy z Polski” 1941, nr 4, s. 1–2.

Blaski i nędze wygnania, Odczyt wygłoszony po angielsku w nowojorskim „P.E.N. Club in Exile” 27 lutego 1957 roku oraz 2 grudnia 1958 na Kongresie „P.E.N. Clubów in Exile” w Monachium; pierwodruk: „Kultura” 1959, nr 9 (143), s. 3–15.

Chartres, pierwodruk: „Tygodnik Ilustrowany” 1930, nr 30, s. 624–625.

Od wydawcy

Od wielu lat z kręgu środowisk polonistycznych płyną alarmujące głosy o stanie świadomości literackiej Polaków. Chcielibyśmy, aby obejmowała ona pełny kanon literatury polskiej, ale nie mamy pewności, że tak jest. Chcielibyśmy także, by funkcjonowały w niej nazwiska autorów spoza kanonu szkolnych lektur, ale wiemy, że tak nie jest. Sporo napisano już o tym, że literatura bywa dziś wypychana z miejsca, które jeszcze niedawno zajmowała w hierarchii dóbr kultury. Widzieliśmy i wciąż obserwujemy, jak stopniowo traci ona swoje ważne miejsce w formowaniu języka komunikacji społecznej.

Dość dużo wiemy również o kryzysie czytelnictwa – o tym, że ma on dwa wymiary. Najbardziej uchwytne jest ten ilościowy – Polacy czytają niewiele. Warto pamiętać jednak również o aspekcie jakościowym. Opracowany jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym i doskonalony po drugiej wojnie światowej system kształcenia kompetencji czytelniczych zwrócony był przede wszystkim ku literaturze pięknej. Jak piszą badacze, jeszcze w latach 80. polscy uczniowie – inaczej niż ich koledzy w Europie Zachodniej – mieli szansę zdobywania umiejętności umożliwiających dekodowanie tekstów trudnych – wyrafinowanych artystycznie. W latach 90. ów sprawdzony system został jednak odrzucony na rzecz takiego, który pozwala opanować przede wszystkim umiejętność czytania tekstów użytkowych. Skutki widzimy dziś gołym okiem. Koordynatorzy Olimpiady Literatury i Języka Polskiego oraz uniwersyteccy wykładowcy od dawna utyskują na obniżający się poziom umiejętności czytania i pisania wśród kandydatów na studia polonistyczne oraz wśród studentów polonistyki. Ci z kolei skarżą się na brak rzetelnych i zarazem przystępnie napisanych opracowań. Czy mają rację? Wydaje się, że tak. Brakuje dziś książek przypominających choćby te, które ukazywały się w ramach „Biblioteki Analiz Literackich”. Stąd pomysł powołania do życia niniejszej serii wydawniczej.

Kierujemy ją do uczniów, studentów, nauczycieli i wszystkich tych, którzy nie stracili jeszcze wiary w wartość literatury jako narzędzia komunikacji w ramach pewnej kulturowej i narodowej wspólnoty. Pamiętając, że pisarzom tworzącym dawniej poświęcono już wiele opracowań naukowych i popularnych, będziemy w niej prezentować wyłącznie dorobek autorów współczesnych. Chcemy oddać w ręce czytelników zarówno reprezentatywny wybór tekstów danego pisarza czy poety, jak i wybór kontekstów ważnych dla jego twórczości – biograficznych, ideowych, gatunkowych i tym podobnych. Zależy nam na tym, by dać czytelnikom klucz umożliwiający otwarcie samego wnętrza tekstów literackich. Właśnie dlatego każdy tom zawiera propozycje interpretacji kilku utworów – istotnych w dorobku danego twórcy. Zdajemy sobie sprawę, że proponowane przez nas opracowania nie są w stanie wypełnić wszystkich luk polskiej świadomości literackiej. Wierzimy jednak, że stając się częścią szerszej zakrojonych działań służących zahamowaniu czy nawet odwróceniu opisanych wyżej tendencji, będą one ważnym elementem procesu przywracania naszej zbiorowej pamięci nie tylko znaczących pisarzy oraz ich dzieł.

Redakcja

Streszczenie

Książka jest opracowaniem twórczości literackiej Józefa Wittlina (1896–1976), prozaika, poety i eseisty, od 1939 roku przebywającego na emigracji. Spuścizna autora omawiana jest w porządku wyznaczanym przez tematykę jego pisarstwa. W dziełach istotną pozycję zajmuje problematyka zła moralnego i fizycznego, odwiecznie obecnego w ludzkim świecie, lecz w cywilizacji nowoczesnej przyjmującego wyjątkowe formy i rozmiary. Odpowiedzi na kwestię zła poszukuje pisarz na drodze refleksji społecznej, ale przede wszystkim – antropologicznej i metafizycznej. Etyka, za jaką się opowiada, nie ma charakteru konfesyjnego, pozostaje jednak w związku z wartościami chrześcijańskimi (dobro, pokora, przebaczenie, współczucie), a wzorcem moralnym pozostaje św. Franciszek z Asyżu, którego dzieje wskazują na mądrość układania stosunków międzyludzkich w zgodzie z dewizą „pokój i dobro”. W podobny sposób pojmuje Wittlin zadania literatury: nie jest ona powołana do pełnienia misji religijnej, dokonywania w imieniu czytelnika rozstrzygnięć ani ferowania wyroków. Jej rola polegać powinna na budzeniu moralnej wrażliwości czytelnika i jego etycznej samodzielności; jednym z ważnych środków literackich wiodących do tego celu jest szeroko wykorzystywana przez Wittlina ironia. Istotną rolę literatury widział także Wittlin w pełnieniu przez nią funkcji mitu: przynoszeniu odpowiedzi na ponadczasowe pytania, jakie stawia sobie każdy człowiek, i oswojaniu na tej drodze konkretnego ludzkiego doświadczenia przez wskazanie na jego uniwersalny wymiar.

Summary

The book is a monograph of the literary oeuvre of Józef Wittlin (1896–1976), a novelist writer, poet and essayist, from 1939 staying in exile. His legacy is discussed in the order determined by the subject matter of his literary works. The issue of moral and physical evil – which has been eternally present in the human world yet is taking unique forms and sizes in modern civilization – occupies an important position in the Wittlin's works. The writer seeks the answer to the issue of evil on the path of social and, above all, anthropological and metaphysical reflection. The ethics he supports is of a confessional nature, but it is connected to Christian values (kindness, humility, forgiveness, compassion), and he considers St. Francis of Assisi his ethical model. The life of St. Francis proves that following the device of being “peaceful and kind” is the wise way of interpersonal relations. In a similar way Wittlin understands the task of literature: it is not called to perform a religious mission, to make decisions on the behalf of its readers, or to pronounce sentences. Its role should be based on the awakening of readers' moral sensitivity and their ethical independence; irony is one of important literary means leading to this goal broadly used by Wittlin. Another role of literature Wittlin considered important is the function of myth it performs by answering universal questions asked by every human being, and adapting in this way an individual human experience by pointing to its universal dimension.

Spis treści

Wykaz stosowanych skrótów dzieł literackich

Józefa Wittlina5

Rozdział I

Orfeusz w piekle XX wieku. Biografia Józefa Wittlina7

Rozdział II

„Świat zawsze wygląda tak” albo „groza naszego istnienia”

O twórczości Józefa Wittlina11

1. Wobec zła12

2. Zadania pisarza33

Rozdział III

„Świecie! Ty – moja ojczyzno!”

Interpretacje wybranych utworów45

1. *Ból drzewa*. Dramat kozła ofiarnego45

2. *Kołysanka dla mojej córeczki*. Nie widzieć, nie słyszeć...50

3. *Sól ziemi* – scena przysięgi wojskowej. Ironia i współczucie55

4. *Chartres*. Patrząc.....61

Bibliografia przedmiotowa69

Nota o autorce71

Antologia73

Nota edytorska75

Poezja77

Hymny (1920).....79

Przedśpiew.....79

Trwoga przed śmiercią.....80

Grzebanie wroga86

Pochwała miecza93

Hymn o łyżce zupy96

Hymn o rękach.....	98
Kołysanka.....	100
Ballada – hymn	101
Ból drzewa.....	103
Psalm.....	109
Poezje	113
Pieśń wigilijna o Adamie Mickiewiczu.....	113
Elegia do Homera	114
Gazeta	116
Święty Franciszek i biedni Żydzi.....	118
Skrucha w Asyżu.....	119
Kołysanka dla mojej córeczki.....	120
Litania.....	121
Żydom w Polsce	123
Na Sądny Dzień żydowski roku 1942 (5703).....	124
Stabat Mater.....	125
Moja pieśń myśliwska.....	126
Ściśle osobiste.....	127
Z drzewa poznania.....	128
Lament barana ofiarnego	129
Poeta emigracyjny	131
Postscriptum do mojego życia	132
Proza	133
Sól ziemi	135
Rozdział I.....	135
Rozdział III – scena przysięgi wojskowej.....	149
Eseje	155
Barbarzyństwo	157
Ze wspomnień byłego pacyfisty	165
Chartres	183
O potrzebie nowej moralności.....	189
Blaski i nędze wygnania	193
Nota bibliograficzna	209
Od wydawcy	211
Streszczenie	213
Summary	215

Table of Contents

List of used abbreviations of literary works by Józef Wittlin	5
Chapter I. Orpheus in the hell of the twentieth century. Biography of Józef Wittlin	7
Chapter II. „Świat zawsze wygląda tak” [‘The world always looks like this’], or „groza naszego istnienia” [‘the horror of our existence’]. On the work of Józef Wittlin	11
1. Towards evil.....	12
2. Writer’s tasks.....	39
Chapter III. „Świecie! Ty – moja ojczyzno!” [‘World! You – my homeland!’]. Interpretations of selected works	45
1. <i>Ból drzewa</i> [Pain of a tree]. The scapegoat’s drama.....	45
2. <i>Kołysanka dla mojej córeczki</i> [A lullaby for my little daughter]. Do not see, do not hear.. ..	50
3. <i>Sól ziemi</i> [Salt of the earth] – a scene of military oath. Irony and compassion.....	55
4. <i>Chartres</i> . Watching.....	61
Subject bibliography	69
Note about the author	71
Anthology	73
Editor’s note	75
Poetry	77
Hymny [Hymns]	79
Przedśpiew [Pre-singing].....	79
Trwoga przed śmiercią [Fear of death].....	80
Grzebanie wroga [Burying the enemy].....	86
Pochwała miecza [Praise of the sword].....	93
Hymn o łyżce zupy [Hymn about the spoon of soup].....	96
Hymn o rękach [Hymn about the hands].....	98

Kołysanka [Lullaby]	100
Ballada – hymn [Ballad - hymn]	101
Ból drzewa [Pain of a tree].....	103
Psalm.....	109
Poezje [Poems].....	113
Pieśń wigilijna o Adamie Mickiewiczu [A Christmas Eve song about Adam Mickiewicz]	113
Elegia do Homera [Elegy to Homer]	114
Gazeta [Newspaper]	116
Święty Franciszek i biedni Żydzi [Saint Francis and poor Jews]	118
Skrucha w Asyżu [Repentance in Assisi]	119
Kołysanka dla mojej córeczki [A lullaby for my little daughter].....	120
Litania [Litany].....	121
Żydom w Polsce [For Jews in Poland]	123
Na Sądny Dzień żydowski roku 1942 (5703) [On the Jewish Judgement Day of 1942 (5703)].....	124
Stabat Mater	125
Moja pieśń myśliwska [My hunting song].....	126
Ściśle osobiste [Strictly personal]	127
Z drzewa poznania [From the tree of knowledge].....	128
Lament barana ofiarnego [A lament of the sacrificial ram].....	129
Poeta emigracyjny [An emigre poet]	131
Postscriptum do mojego życia [Postscript to my life]	132
Prose.....	133
Sól ziemi [Salt of the earth].....	135
Chapter I.....	135
Chapter III – the scene of military oath	149
Essays.....	155
Barbarzyństwo [Barbarity]	157
Ze wspomnień byłego pacyfisty [From the memories of a former pacifist]	165
Chartres	183
O potrzebie nowej moralności [About the need for new morality] ...	189
Błaski i nędze wygnania [Pros and cons of exile].....	193
Biographical note	209
From the publisher	211
Summary (PI).....	213
Summary.....	215

Dotychczas wydane

Dotychczas w serii Biblioteki Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis” wydano:

Adrian Gleń, *Języki rzeczywistości. O twórczości Juliana Kornhausera*, Kraków 2018.

Andrzej Sulikowski, *Rynek i coraz dalsze okolice. O twórczości Janusza Szubera*, Kraków 2018.

Maciej Woźniak, *Podróż przez rzeczywistość. O twórczości Marka Nowakowskiego*, Kraków 2018.

Konrad Tatarowski, Renata Nolbrzak, *Liryka i polityka. Jacek Bierezin, Zbigniew Dominiak, Zdzisław Jaskuła, Witold Sułkowski – o twórczości poetów podziemnego pisma „PULS”*, Kraków 2019.

Jan Błoński, *Język właściwie użyty. Szkice o poezji polskiej drugiej połowy XX wieku*, Kraków 2019.

Dorota Heck, *Topika, tren i tło. O poezji Wojciecha Wencla*, Kraków 2019.

Zbigniew Chojnowski, *Postacie kobiecości. O poezji Kazimiery Iłakowiczówny*, Kraków 2019.

WYDAWCY:

Wydawnictwo Naukowe
Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
ul. Dewajtis 5,
01-815 Warszawa



Wydawnictwo Naukowe
UKSW

Instytut Literatury
31-112 Kraków, ul. Smoleńsk 16/1



NAKŁAD:
9000 egz.

LICZBA ARKUSZY:
14

Książkę złożono fontami: Humanist i Brygada 1918
oraz wydrukowano na papierze Amber Graphic, 90 g

DRUK I OPRAWA:
Drukarnia Leyko Sp. z o.o.
ul. Tadeusza Romanowicza 11, 30-702 Kraków